

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janusz Głowacki

**Polowanie na muchy
i inne
opowiadania**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WIRÓWKA NONSENSU

Byłem już prawie zupełnie spokojny, nie czułem ani wielkiego napięcia, ani żalu nad sobą i bezradnej złości, ani późniejszego odprężenia i ulgi, które miałem przez moment zaraz po wyjściu od Ewy. Zresztą to uczucie trwało najkrócej, może przez kilkadziesiąt metrów, kiedy rozluźniłem ręce i szedłem prawie pustą jeszcze ulicą, wciągając i wolno wypuszczając powietrze. Ciesząc się prawie, że na razie już wszystko zakończone – to, że na razie, pomyślałem dopiero później, kiedy nie czułem już wcale ulgi, tylko szedłem licząc kroki, stawiając między latarniami raz mniejsze, raz większe, ale wtedy to już nie było odprężenie.

– Więc w ogóle wymyśliliśmy z docentem Rożkiem tę naukę, taki gatunek teorii informacji, wymyśliliśmy w kawiarni, bo już wtedy skończyły mi się wyjazdy na spotkania i udowadnianie, że Boga nie ma, co, jak wiadomo, jest kompletnym nonsensem. Chcesz czkawkowca?

Jan B. wyciągnął z kieszeni wytartego lodenowego płaszcza paczkę mazurów. Zatrzymaliśmy się, kiedy zaczął szukać zapalek. Spotkałem go godzinę temu na reprezentacyjnej ulicy blisko centrum, w miejscu gdzie łączyło się z nią kilka innych i gdzie można było spotkać o tej samej porze tych samych ludzi pozaczepianych o urzędy, których tu było sporo, o kawiarnie i sklepy. Szliśmy razem dość długo i Jan B. mówił trochę sepleniąc, nie ogolony, w przybrudzonej białej koszuli. Do mnie nie docierało najpierw prawie nic, bo spotkałem go już wtedy, kiedy dawno minęło uczucie ulgi i próbowałem przeanalizować wczorajszy wieczór. Zresztą Jan B. nie zwracał na to uwagi, zupełnie wystarczała mu moja ułożona w wyraz zainteresowania twarz, z przyjemnością, szybko wyrzucał zdania.

Ja analizowałem wczorajszy wieczór zaczynając właściwie nie od imienin koleżanki Ewy, młodej lekarki, na których byliśmy bardzo ostrożni, bo traktowaliśmy je chyba oboje trochę jak próbę, i które ciągnęły się bardzo długo. Starannie dobierałem przez parę godzin słowa, uśmiechy. Zatańczyłem z Ewą tylko raz, co zresztą nie sprawiało mi przykrości, bo w ogóle nie lubię tańczyć, opowiedziałem parę dowcipów, z których dwa się podobały, i utrzymywaliśmy się niezłe w tonie ogólnej wesołości. Zaczynałem od momentu, kiedy już później, po wyjściu, szliśmy, najpierw w milczeniu, a potem rozmawiając obojętnie. Ewa mówiła o zmęczeniu, że było nudno, i dość śmiesznie pokazywała głupie miny jednego z gości. Ja chętnie się zgadzałem, ale czułem w sobie napięcie i byłem pewien, że musi zaraz dojść do innej rozmowy, takiej, jaką mieliśmy dwa dni temu i jeszcze przedtem wiele razy.

– Co sądzisz o wypiciu kawy w „Snobie”? – Jan B. zwolnił przy małej kawiarni mieszczącej się w gmachu ekskluzywnego wydawnictwa. – Pośledzilibyśmy nieco wirówkę nonsensu, czyli taniec małp w społecznej próżni, w klatce, która nie wydaje żadnego rezonansu.

Właściwie było mi wszystko jedno, ale po namyśle postanowiłem jednak nie wchodzić. Bardziej odpoczywałem i odprężyłem się idąc. Jan B. zgodził się ze mną, ponieważ odkąd przestał pisywać głębokie szkice krytyczne o filozofach niemieckich i zajął się układaniem kronik współczesnych, których na razie drukować nie zamierzał, jego sytuacja materialna znacznie się pogorszyła. Zwłaszcza że ostatnim ze szkiców zraził do siebie znaczną część środowiska. Postanowił więc nie rozstawać się ze mną przed wspólnym wypiciem kawy lub znalezieniem innego inwestora.

– Więc dalej, wracając do tej nauki, dawałem wykłady. Wożono mnie do różnych laickich ośrodków, między innymi do kół ZMS-u. Stawiałem im różne bezsensowne pytania, na przykład: W okolicy rozeszła się wieść o ukazaniu się ducha. Co powinien zrobić aktywista ZMS? Patrzą na mnie uważnie, wszyscy krótko ostrzyżeni, w dzinsach...

Potem zaczęło się szybko, najpierw ona mówiła bardzo dużo, zupełnie niepotrzebnie, i właściwie kiedy odeszła ode mnie na ulicy, zaczęła nagle biec, a potem znowu szła kilkadziesiąt metrów przede mną, trzeba było odwrócić się i odejść. Ale szedłem za nią w odległości kilkudziesięciu kroków, upewniając się, że robię to tylko z lojalności, z troski o nią, żeby sobie czegoś nie zrobiła, żeby ktoś jej na przykład nie napadł. Mówiłem sobie, że robię to tylko dlatego, zaciskając pięści i myśląc, że chyba chciałbym jej więcej nie zobaczyć, nie kończyć tej niepotrzebnej rozmowy. Ale szedłem dalej, chociaż właściwie byłem pewien, że pójdzie prosto do domu i że nikt jej nie zaczepi, bo była prawie piąta rano i na przystankach zaczęli już zbierać się ludzie. Potem zatrzymała się, zaczęła na mnie i poszliśmy do niej do domu, na razie spokojnie.

– I wtedy oni nagle zaczynają poważnie mi odpowiadać. Jeden podnosi rękę, oczywiście krótko ostrzyżony i w dzinsach, i mówi, że owszem, sprawa jest ważna, i na przykład raz na torach, tam gdzie przejechało dróżnika, zaczęło straszyć. A na to podnosi rękę drugi i mówi, że to nonsens, cała rzecz jest naukowa i że to sprawa telepatii. Że była taka historia, że matka położyła ośmiomiesięczne dziecko na torze, bo było nieślubne, a w pociągu, który nadjeżdżał, siedziało drugie ośmiomiesięczne i że w ostatniej chwili to na szynach nadało do tego w przedziale ultrakrótkie fale, to w przedziale pociągnęło za hamulec i pociąg stanął...

Zaczelśmy znowu mówić już w domu, najpierw cicho, potem głośniej, choć wiedzieliśmy, że matka uważnie, z satysfakcją słucha z drugiego pokoju. Nie umiałem przerwać tej rozmowy, chociaż nie mogła właściwie nic zmienić ani naprawić. Mówiliśmy długo, bo mieliśmy już ogromną odporność i przygotowanie, potem ona podniosła się i powiedziała, że wyjdzie, a wtedy podniosłem się i ja i wyszedłem zostawiając za sobą przyczajoną w drzwiach matkę. Zbiegłem ze schodów. Zaczekałem chwilę na dole, potem szedłem szybko, wiedząc na pewno, że ta rozmowa nie jest jeszcze zakończona. Półtora roku temu, w dwa tygodnie po poznaniu, kiedy wszystko było jeszcze oczywiste, niespodziewanie mieliśmy pierwsze starcie i właściwie już można było przewidzieć dalszy ciąg. Gdy wtedy wyszedłem bardzo łatwo, trzaskając drzwiami, nie spodziewałem się wcale, że jeszcze zadzwoni, nawet mnie jej spokojny głos w słuchawce ogromnie zaskoczył.

– Niestety, urwało się to także – smutnie zaseplecił Jan B. – Ale a propos: kiedy ty wreszcie skończysz z tą bezsensowną Ewą, z tymi bezsensownymi recenzjami i zajmiesz się w końcu poważnie prowokacją, szantażem i donosem? Moje uszanowanie, witamy, witamy.

– Co jest? – zatrzymał się Jarosław, młody dramaturg, który mimo dwudziestu ośmiu lat miał już wystawionych kilka sztuk, dwie kolejne żony i prawie zupełnie siwe włosy. Poznałem go, kiedy byłem z matką u Tomasza, pięćdziesięcioletniego subtelnego eseisty, krytyka i powieściopisarza. Tomasz wyrażał się o nim z wielkim uznaniem, „jakkolwiek jego tryb życia...” – rozkładał ręce. Od czasu spotkania u Tomasza młody dramaturg traktował mnie z wielką sympatią i bardzo uprzejmie.

– Co u Tomasza? – spytał teraz. U Tomasza nie byłem dość dawno, ale powiedziałem, że wszystko w porządku.

– Czytałem twoją recenzję, masz dobre pióro – stwierdził z przekonaniem, starannie odmierzając słowa.

Oczywiście, wiedziałem, że recenzji nie czytał. Było to omówienie nieciekawej monografii historycznej, jedna z moich dwu napisanych dotąd recenzji, którą załatwiła mi matka w poważnym miesięczniku dzięki przyjaźni z Tomaszem. Tomasz załatwił mi tam ryczałt – co sprawiło, że mój ojciec ustosunkował się z większą wyrozumiałością do przyjaźni matki z Tomaszem, nawet może z pewnym szacunkiem, ponieważ odkąd skończyłem historię, sam przez parę lat bez rezultatu starał się załatwić mi pracę w Instytucie Historycznym. Prawdę mówiąc, nie miałem o to pretensji do ojca, nie czując specjalnej ochoty do pracy naukowej, a pensja, którą bym tam otrzymywał, nie była też szczególnie zachęcająca.

– Powinieneś pisać o prozie, Tomasz ci to załatwi. Powiedziałem, że cieszę się z jego uznania, ale że oczywiście nie ma w ogóle o czym mówić.

– Chodźcie – machnął ręką Jarosław do czekających z szacunkiem w odległości paru metrów wysokiej blondynki, nie wyglądającej na więcej niż szesnaście lat, i szerokiego, dokładnie owiniętego modnym płaszczem. – Szkoda, że zamilkłeś – zwrócił się do Jana B. – to duża szkoda.

– Niewątpliwie – skrzywił się Jan B. – Tylko że absolutnie nie mam o czym pisać.

– To życzliwa dama – pokazał Jarosław blondynkę. – Zatrzymałem ją parę minut temu i powiedziałem: „Będę cię dzisiaj rznął”, a ona na to: „To już twoja sprawa.”

– Normalnie – powiedziała cicho dziewczyna. Miała szczupłą, delikatną twarz, wąskie, blade usta.

Jan B. zachował pełną obojętność, a owinięty płaszczem jeden z licznych czcicieli Jarosława, posiadający jako jedyną zaletę zamożnych, często wyjeżdżających rodziców, roześmiał się z uznaniem.

– Wybieramy się gdzieś później. Może się przyłączycie?

Oświadczyłem, że mam ważną sprawę do załatwienia. Chciałem przede wszystkim zadzwonić do domu i zorientować się, czy nie dzwoniła Ewa. Od tego uzależniałem kolejne przemyślenie sytuacji. Potem doszedłem do wniosku, że może lepiej w ogóle zajrzeć do domu, mógłbym wtedy skończyć recenzję, którą już dawno powinienem oddać. Poza tym byłem bardzo zmęczony, bolały mnie nogi i wiedziałem, że powinienem się położyć chociaż na godzinę.

Jan B. zakręcił się zdezorientowany. – Aha, Jarosławie, mam dla ciebie świetną historyjkę. Niemieccy ranni żołnierze wzięci przez nas do niewoli. Tłum kobiet oblega pociąg sanitarny. To jest już po powstaniu. Machają pięściami i krzyczą... Ale, ale, czy nie wstąpilibyśmy na kawę?

– Dobrze – powiedział wolno Jarosław. – Chodźmy, Co dalej... Z wami – zwrócił się do dziewczyny i szerokiego, schowanego w płaszczu – spotkamy się za godzinę na obiedzie. Teraz idę porozmawiać z przyjacielem.

– Więc wtedy jedna z kobiet na dworcu zaczyna krzyczeć: „Ciszej, bo nie słyhać, jak jęcza!” Smaczne, co? Mówię tobie pierwszemu, możesz wykorzystać.

Dzidka otworzyła drzwi i rozjaśniła się w ostentacyjnie serdecznym uśmiechu. – Świetnie, że jesteś. – Przygładziła krótko obcięte czarne włosy. – Właśnie podają obiad. Wiktor wrócił dziś wcześniej z Instytucji – dorzuciła jeszcze, kiedy wyminąłem ją już i usiadłem w pierwszym, największym pokoju w jednym z wyplatanych foteli, ustawionych dookoła stołu.

– Dzwonił ktoś?

– Oczywiście – znów serdeczny uśmiech Dzidki. – Dzwoniono.

Odczekałem chwilę i zapytałem bardzo spokojnie: – Ewa?

– Nie, Ewa nie dzwoniła. – Dzidka krążyła teraz szybko między kuchnią a stołem. – Dzwoniła Ilona, prosiła, żebyś koniecznie zadzwonił, jak tylko przyjdiesz. Dzwoniła dwa

razy. – Znów energicznie zawróciła w stronę kuchni, krótka spódnica podkreślała długość jej nóg. – Zaraz podaję zupę.

Z gabinetu – tak nazywał się pokój na końcu korytarza – wynurzył się ojciec. Był w spodniach od garnituru, spod rozpiętej koszuli wyglądała koszulka gimnastyczna, co zdaniem ojca podkreślało jego męskość i przychylny stosunek do ćwiczeń fizycznych. – Smacznego wszystkim – ciężko opuścił się na krzesło. Miał trochę po pięćdziesiątce i ostatnio mocno przytył. – Ciekawe, co też dzisiaj dostaniemy? – zatarł ręce i spojrzał na mnie uważnie. – A ty zmizerniałeś, niedobrze. Prawda, Dzidka, że zmizerniał?

– Tak, może rzeczywiście. – Uśmiechnęła się znowu, dwudziestopięcioletnia studentka biologii, która przelotny romans z moim ojcem w czasie jego nieoficjalnego pobytu nad morzem potraktowała bardzo poważnie, chociaż ojciec nie był nawet dyrektorem, ale tylko wicedyrektorem Instytucji, po powrocie do Warszawy zaczęła odwiedzać go regularnie i wykorzystując jego narastający konflikt z matką, która wtedy właśnie coraz częściej przebywała u Tomasza, uparcie starała się zamieszkać na stałe w obszernym czteropokojowym mieszkaniu ojca z centralnym, loggią, widokiem na park i długim hallem. Zaczęła ostatnio przejmować wszystkie funkcje matki łącznie z prowadzeniem gospodarstwa, znosząc zmienne humory ojca, który wolałby może widywać ją rzadziej w domu, ceniąc nobliwy wygląd i kulturę matki, jej znajomość trzech języków, pracę nad przekładami książek. Matka odsuwając się coraz bardziej w stronę Tomasza traktowała Dzidkę z pogardliwą obojętnością. W przekonaniu, że jest jednak z ojcem nieco zżyta, upewniałem się podczas wspólnych spotkań, kiedy zgodnie zajmowali się próbami wyprowadzenia Dzidki z równowagi. Myślę, że ojciec w gruncie rzeczy troskliwie utwierdzał się w przekonaniu, iż matka opuszcza go głównie ze względu na Dzidkę. Było to oczywiście zupełnie nieprawdziwe, ale jedyne dla niego do przyjęcia racjonalne uzasadnienie zmiany w uczuciach matki. Posiadał jednak przy tym na tyle zdrowego rozsądku, że Dzidki pozbywać się nie zamierzał, jakkolwiek sprawa rozwodu i ewentualnego małżeństwa była przez niego poruszana w sposób raczej mglisty.

– Może jeszcze zupy? – Znów ciepły uśmiech Dzidki w moją stronę.

– Co z matką? – odpowiedziałem jej uśmiechem.

– Nie przyjdzie – powiedziała szybko – jest u Tomasza.

– Co cię obchodzi, gdzie jest? – ojciec podniósł szeroką twarz znad zupy. – Nie przyjdzie, to nie przyjdzie.

– U pana Tomasza – poprawiłem Dzidkę i patrząc na jej twarz zaczerwienioną nagle, powtórzyłem: – pana Tomasza. – Poczulem na moment odprężenie i nawet było mi przez chwilę trochę jej żal, ale dodałem: – O ile wiem, nie jesteś z nim jeszcze w bardzo bliskich stosunkach.

Teraz poczerwieniał ojciec, ale zaraz opanował się, odprężył i roześmiał głośno. Ja patrzyłem dalej na Dzidkę, czekałem na jej wybuch i wiedziałem, że nie nastąpi. Oczywiście, opanowała się wiedząc, że na żadne poparcie ze strony ojca liczyć nie może, a czuła się jeszcze za słaba na prowadzenie dodatkowych rozgrywek ze mną. Uśmiechnęła się więc znów o wiele za serdecznie i podsunęła mi półmisek z mięsem. – Przecież to lubisz, a jesteś mizerny.

Zastanawiałem się, czy w ogóle można przełamać jej opanowanie, interesowało mnie to właściwie tylko teoretycznie, bo jej obecność w domu nie przeszkadzała mi, nawet ciekaw byłem końcowej rozgrywki, w którą wciągała się z takim uporem.

– No i cóż u ciebie? – Już przy herbacie rozparł się wygodnie w fotelu ojciec. Rozpinając kolejny guzik koszuli odsłonił rudawy zarost wyglądający spod gimnastycznej koszulki. – No, opowiadaj. Pracujesz ostatnio, piszesz coś? Do domu często nie wracasz, a to niedobrze. Czy utrzymujesz znajomość z tą magister architektury, Ewą? Owszem, ładna, oryginalna, tylko nerwowa. Ale pracowita – zastanowił się. – Nawet może ma na ciebie dobry wpływ, tylko że dużo tam ona nie wyciągnie. To nie przemysł. I męża już miała – pokiwał głową.

– Przeszkadza ci to?

– Nie, nie przeszkadza. Przynieś mi jeszcze, Dzidziu, herbaty.

Zastanowiłem się, co może teraz robić Ewa i czy zadzwoni. Przypuszczałem prawie na pewno, że Ewa nie poszła dziś do tej prywatnej firmy kończyć urządzenie wnętrza, za co spodziewała się sporej sumy pieniędzy. Leżała pewno na tapczanie; a ja nie miałem sił do niej dzwonić, nie miałem sił na rozważanie wszystkiego jeszcze raz i nie czułem do siebie żadnego żalu, może tylko o to, że w końcu dałem się wciągnąć, ale nawet te myśli nie były nowe. Wolałem poczekać.

– Ale, ale, wyobraź sobie, załatwiłem dzisiaj w Ministerstwie pewną sprawę Instytucji, i kogo spotykam? Miałeś kiedyś kolegę Edwarda, pamiętasz?

Kiwnąłem głową, że pamiętam Edwarda L. Był ze trzy lata starszy ode mnie i właściwie wcale nie był moim kolegą. Studiował ekonomię, potem przeniósł się na politechnikę, potem pracował zawodowo w zrzeszeniu studentów.

– Otóż kogo spotykam dziś w Ministerstwie? Właśnie jego. I proszę, jest wicedyrektorem departamentu. Przypomniałem mu się, powiedziałem, że jestem twoim ojcem, porozmawialiśmy. Przyjemny człowiek. Mówił mi, że byłeś zdolny, inteligentny i szkoda, że się marnujesz i wykolejasz. Powiedział nawet, żebyś wpadł do niego do resortu, to może ci coś stałego gdzieś załatwi.

– To ładnie z twojej strony, żeś z nim pogadał o mnie.

– A ładnie. Czas, żebyś coś zaczął. Owszem, rozumiem, że trzeba wolno i cierpliwie, to bardzo ważne, ale należy gdzieś się zaczepić konkretnie, nie żadne ryczałty. Zaczepić i potem też cierpliwie, inteligentnie. Na nerwowo i bez planu do niczego nie dojdiesz, jak na froncie.

– Zaciągnął się papierosem i sprawdził, czy Dzidka, która już sprzątnęła ze stołu i usiadła w fotelu bliżej okna, zachowując dystans, nie narzucając się, ale jednocześnie podkreślając celowość swojej obecności manipulacjami przy doniczce z kwiatami, słucha uważnie. – Wtedy na froncie – ciągnął zadowolony z jej uważnej, zasłuchanej twarzy – kiedy dostawałem krzyż, trzeba było też leżeć cierpliwie, podczołgać się potem i wyskoczyć naprzód. – Zamachał rękami.

– No i wyskoczyłeś na czas.

– Wyskoczyłem. Może cię to bawi, ale wyskoczyłem. Pewno – zastanowił się – powinienem w życiu zajść dalej, ale i tak nie było mi łatwo. W pokoju w biurze, gdzie pracowałem po wojnie, stały cztery szafy, a nas było trzech. Zawsze zaczynało się dzień od otwierania szaf. Najpierw ja otwierałem wszystkie, potem już tylko jedną, a potem ja mówiłem codziennie o ósmej: „Otworzymy szafy.”

– A tamtych dwóch jak podmieniłeś?

– Gorzej pracowali, wolniej. Wiesz, Dzidziu? Czytałem wczoraj w gazecie, że ktoś zbił kobietę po twarzy. Młody człowiek – spojrzał na mnie – w twoim wieku albo i młodszy. Ja rozumiem, wiele się zmienia, ale ja nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety w twarz. A wiecie dlaczego? Nie widziałem powodu. A poza tym – popatrzył dumnie – nigdy nie musiałem. Ten kolega twój, Edward, ma wóz służbowy.

– Ty też będziesz miał – pocieszyłem go – jak zostaniesz dyrektorem.

– Może będę – rozjaśnił się. – Ale ty nie.

– Pewno nie. – Wstałem od stołu. Nie miałem dziś szans na skończenie recenzji, ale nie chciałem też wychodzić z domu. Podszedłem do okna. Teraz uważne spojrzenie Dzidki, i znowu uśmiech. Jest ładna, zgrabna i wie o tym. Ciekaw byłem, ile musi kosztować ją to, żeby żyć z moim ojcem, znosić spotkania z matką i nie wycofać się. Właściwie miałem dla niej sporo uznania – postawiła na ojca i była konsekwentna, mając pełną akceptację swojej rodziny, mieszkającej w pięć osób w dwóch małych pokojach na Pradze. Na ulicy oglądali się za nią różni mężczyźni, ale ona nie interesowała się nikim. Nie interesowała się także zupełnie mną, chociaż w pierwszym okresie robiłem, w celach raczej doświadczalnych, pewne posunięcia. Była jeszcze jedna możliwość, że to wszystko nie sprawiało jej tak dużej przykro-

ści. Zresztą, rozgrywała bardzo dobrze i coraz częściej ojciec odczuwał jej niezbędność. Wiodła coraz bardziej ostentacyjne lekceważenie i niechęć matki w stosunku do ojca i miała pewność, że to nie pozostanie bez wpływu na jej pozycję. Na początku historii z Tomaszem, kiedy matka powoli zaczynała się przeprowadzać i parę razy nie nocowała w domu, nie ukrywając zresztą niczego przed ojcem, pozostawiając mu swobodę decyzji w sprawie rozwodu (notabene Dzikka już wtedy kilkakrotnie pojawiała się w naszym domu), ojciec odbył zasadniczą rozmowę z Tomaszem. Długo krzyczał przy telefonie, poczerwieniał, był bardzo godny i oskarżycielski. Mówił o podstawowej komórce społeczeństwa oraz o łajdactwie i niemoralności. Potem rzucił słuchawkę i przez parę dni był z siebie bardzo zadowolony. Tomasz wprawdzie odłożył słuchawkę już po paru słowach, ale ojciec i tak czuł, że wypełnił jak należy swój obowiązek, także wobec mnie, bo zażądał, abym był przy tej rozmowie obecny. Potem próbował jeszcze rozmawiać z matką, wreszcie oświadczył, że w każdym razie jego dom zawsze pozostanie dla niej otwarty, co było deklaracją raczej bez znaczenia, bo matka oznajmiła, że nie przenosi się definitywnie i zamierza nadal korzystać ze swojego pokoju oraz z całego mieszkania do momentu wyjaśnienia sprawy.

O czwartej nakręciłem numer Ewy. Słuchawkę podniosła matka. – Czy to może szanowny pan? Niestety, nie ma w domu mojej córki, tylko jest jej matka, z którą właśnie szanowny pan raczy rozmawiać.

– A czy nie zostawiła żadnej wiadomości? – Opanowałem się, jeszcze raz się opanowałem, żeby nie kazać jej zamknąć się i raz na zawsze uciąć tę obrzydliwą ironiczną grzeczność. Wiedziałem, że w końcu to zrobię, ale ciągle to odkładałem.

– Niestety, nie poleciła mi nic przekazać szanownemu panu. W każdym razie cieszę się, że pan zechciał...

Czułem, że Ewa też nie miałaby nic przeciwko temu, żebym porozmawiał z jej matką ostro. Chyba nawet chciała tego, czekała na to. Wiedziałem, że to podniosłoby mnie w jej oczach. Ale Ewa nigdy nie liczyła się z następstwami. To by już oznaczało otwartą wojnę. Oczywiście, kiedy myślałem o tym, że Ewa wyprowadzi się stamtąd i zamieszka gdzie indziej, może ze mną, zawsze łączyło mi się to z ostateczną rozmową z jej matką. Może nawet niechęć i niewiara jej matki w sens związku Ewy ze mną zbliżała mnie mocniej w krytycznych chwilach do Ewy. Oczywiście, dziś też była już na pewno po przemowie do córki, co zawsze potęgowało w Ewie nerwowe napięcie. Bo, co gorsza, ona nie zawsze mówiła głupio.

Więc Ewy jednak nie było w domu. Może poszła zajmować się wewnątrz tej firmy, pieniądze za to miała włożyć na książeczkę mieszkaniową. Matka nie zgadzała się na wymianę mieszkania na dwie kawalerki, mimo że Ewa obiecywała jej służącą i stałą opiekę. Przedtem myśleliśmy o jakimś pokoju sublokatorskim. Ostatnio nie mówiliśmy już o tych sprawach. Mogła poza tym wyjść na moment kupić coś.

– Coś się stało? – wychylił się ojciec z gabinetu. – Dzikka – rzucił w stronę kuchni – jeśli skończyłaś z naczyniami, to chodź.

– Zaraz będę gotowa.

Matka Ewy znów kilkoma dobrze dobranymi słowami wyprowadziła mnie z równowagi i nie dowiedziałem się niczego. Może nawet Ewa była w domu, ale ta nie chciała jej zawołać. Ale wtedy matka nie używałaby tego „szanowny pan”, przeznaczonego wyłącznie dla mnie. Już w drzwiach pokoju zawrócił mnie dzwonek telefonu.

– Aha, to ty. Czy nie ma jeszcze Celiny? – usłyszałem jak zawsze trochę zachrypnięty głos Tomasza. Ciągle nie mogłem się jeszcze zdobyć na zwracanie się do niego po imieniu mimo licznych przyzwoleń i niemal nakazów, używałem więc form wymijających. – Wyszła ode mnie przeszło godzinę temu, miała być u was na obiedzie. Zapomniałem zupełnie porozmawiać z nią o dość ważnej sprawie. Ależ, to w końcu nic tak pilnego – odpowiedział na moje uprzejme wyjaśnienia, że przykro mi, lecz Niestety matki jeszcze nie ma. – Świetnie w każ-

dym razie, że ty jesteś. Czy odniosłeś już – wymienił imię redaktora miesięcznika – tę recenzję?

Powiedziałem, że jeszcze nie, ale już piszę ostatnie zdania.

– Rozumiem. – Zawahał się chwilę. – Jeżeli znalazłbyś chwilę czasu, może zajrzysz do mnie na moment. Miałbym dla ciebie pewną dość atrakcyjną propozycję... Dobrze, czekam.

Wychodząc z domu minąłem się z idącą właśnie do pokoju ojca Dzidką. Była tylko w rozchylonym na piersiach szlafroku, wymieniliśmy uważne spojrzenia.

Tomasz przywitał mnie dość powściągliwie, chwilę nawet jakby zawahał się, zanim wskazał mi miejsce, i usiedliśmy w głębokich skórzanych fotelach na tle ciężkiej biblioteki. Nad zarzuconym maszynopisami biurkiem wisiał pejzaż Fałata. Tomasz trochę nerwowo zgarnął z biurka parę luźnych kartek, postawił butelkę koniaku i dwa kieliszki.

– Dawno nie rozmawialiśmy, odniosłem wrażenie, że nie masz specjalnej ochoty na rozmowę ze mną. – Ubrany był w elegancki flanelowy garnitur. Gęste siwe włosy szesane na bok.

Zaprotestowałem tłumacząc, że było mi niezręcznie, bo nie skończyłem recenzji, ale że oczywiście absolutnie go nie unikam. Przerwał mi niecierpliwym ruchem ręki.

– Oczywiście, byłoby nonsensem, gdybyś mnie unikał. Chodzi mi o taką rzecz. – Wysunął naprzód mocno zarysowaną szczękę, patrzył trochę nade mną, kiedy zapalał papierosa, wy czułem w nim pewne napięcie. – Zamówiono u mnie pewien scenariusz, dotyczący spraw współczesnej młodzieży. Pewne realia wymykają się już mojej obserwacji. – Podniósł się, podszedł do biblioteki i starannie wyrównywał książki. – Po prostu pewnych spraw już nie czuję. – Odwrócił się, spojrzał na mnie nieuważnie i nagle szybko wracając na fotel, napełnił kieliszki. – Chyba już rozumiesz – ciągnął dalej, kiedyśmy wypili. – No, to chyba jasne – wzruszył ramionami na mój trochę niepewny gest – to chyba jasne. Masz dwadzieścia sześć lat, własne problemy, znasz problemy innych w twoim wieku. Reasumując: mógłbyś mi pomóc rewanżując się choćby za te recenzje. – Znów przekręcił się w fotelu, patrząc teraz w stronę okna. – Oczywiście, zależnie od tego udziału – mówił jednostajnie – otrzymałbyś pewną część honorarium, może nawet uznałbym cię za współautora.

– Czy to pomysł mojej matki?

Tomasz odwrócił się, spojrzał na mnie ostro, ze złością, potem nagle uśmiechnął się i napełnił kieliszki.

– Znów nonsens. Wypijmy i przejdźmy do rzeczy. Musiałeś obracać się w różnych środowiskach, z pewnością masz mnóstwo obserwacji. Słyszałem, że w czasie studiów ćwiczyłeś boks i że zdarzyło ci się wykorzystywać to na ulicy.

Odpowiedziałem, że jest w tym dużo przesady, ale on zmów niecierpliwie machnął ręką.

– Pisać będę oczywiście ja, chociaż – zatrzymał się – ty też możesz spróbować pewne fragmenty, na przykład parę dialogów. Oczywiście cała sprawa pozostanie na razie w tajemnicy, także przed twoją matką. To będą nasze męskie sprawy. Wyglądasz na zaskoczonego? – uśmiechnął się. – Więc co, zgoda?

Powiedziałem, że nie wiem, czy będę mógł, to znaczy, czy będę umiał mu pomóc, ale zrobię wszystko... I potem, ciągle jeszcze niepewny, oszołomiony tym wszystkim, dodałem coś o wdzięczności.

Wtedy wzruszył ramionami. – Nic takiego – powiedział – nic takiego. – Podniósł się, przeszedł po pokoju, odwrócony tyłem przerzucał jakąś książkę. I kiedy zastanawiałem się, szukając słów, które powinienem wypowiedzieć, znów wrócił na fotel, podniósł kieliszek, szybko wypił i potem gwałtownym ruchem, podejmując decyzję, położył mi dłoń na ramieniu. – Lubię cię, słyszałem, że jesteś niezły huncwot. – I w momencie gdy zaczynałem już rozu-

mieć, ostrożnie przeniósł rękę na moje udo, twarz jego straciła całą ostrość, kiedy z wielkim napięciem, prawie żałośnie, błagalnie patrząc mi w oczy, wolno przesunął dłoń ku górze.

Odsunąłem się lekko z fotelem. Nie czułem już zdumienia, tylko wielkie wzbierające rozczarowanie. Cała ta propozycja stała się zupełnie nierealna, a jeszcze przed chwilą widziałem zachwycone twarze Ewy i mojej matki. Potem zacząłem myśleć o matce i niespodziewanie dla siebie, nagle omal się nie roześmiałem. Ale zacisnąłem mocno wargi i opanowałem się. Tomasz, obserwując mnie z napięciem, znów przysunął fotel.

– Przepraszam cię – powiedział cicho. – Bardzo przepraszam. Musimy Jeszcze porozmawiać, musimy się nad tym wszystkim razem zastanowić.

Nagły dzwonek telefonu podniósł go na nogi. Niechętnie wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju. – Konieczne teraz? – dobiegał mnie jego zdenerwowany głos. – Załatwimy to jutro. – No, proszę cię, nie upieraj się – dorzucił nagle miękko. – No, dobrze, dobrze, niech będzie.

Wrócił, spojrzał na mnie niepewnie i zatrzymał się przy oknie. – Będę cię musiał niestety przeprosić – powiedział znów niespodziewanie ostro. – Może wrócimy jeszcze do tej rozmowy. – I ciągle nie patrząc na mnie dorzucił: – Mam w tej chwili bardzo ważną sprawę.

Zbiegłem z drugiego piętra. Wychodząc z klatki schodowej minąłem wysokiego, rozkołysanego chłopca, który ruszył na górę.

Ostrożnie przekręciłem klucz w zamku. Stałem przedtem chwilę pod drzwiami nasłuchując. Nie miałem już siły telefonować, poza tym wiedziałem, że znów nie dogadam się z jej matką. Po rozmowie z Tomaszem chciałem jednak zobaczyć Ewę. Gdybym miał pewność, że wróciła, może nie musiałbym nawet z nią rozmawiać. Pchnąłem wolno drzwi, wszedłem do małego, zapchanego dwiema szafami korytarza. Drzwi do pokoju Ewy były otwarte, w kuchni było cicho, do matki Ewa ostatnio nie wchodziła. Właściwie mogłem już wyjść. Ale zrobiłem jeszcze parę kroków do długiego stolika, na którym Ewa zostawiała mi czasem krótkie kartki, zobaczyłem, że na porzrzucanych książkach nie leży nic, i teraz już na pewno mogłem wyjść. Ale właśnie wtedy powitała mnie z tyłu szanownym panem matka. Stała w drzwiach, drobna, sztywno wyprostowana, zupełnie niepodobna do Ewy, patrząc na mnie wielkimi, za blisko osadzonymi oczami. Musiała obserwować mnie już od dłuższego czasu i oczywiście mój niepokój i zaskoczenie sprawiły jej satysfakcję.

– Jednak szanowny pan zjawił się osobiście. No, proszę! – Poprawiła ręką o wiele na nią za długi, poprzecierany sweter Ewy. Ubierała się w domu zawsze ostentacyjnie niedbale, chcąc podkreślić swoje i córki kłopoty materialne. Był to jeszcze jeden argument przeciwko mnie. Ewa usiłowała walczyć z matką, ale ta nie miała zamiaru ustąpić: „Na więcej nas nie stać, będzie stać, to włożę co innego.” Nowy kostium, który dostała niedawno od Ewy, sprzedała znajomej, a pieniądze wpłaciła do PKO. „Ty nie dbasz o naszą przyszłość, to ja muszę.”

– Wybacz pan, że nie będę dotrzymywała mu towarzysztwa, ale w końcu znamy się tak dawno, że formy towarzyskie już nas nie obowiązują.

Od zakończenia wojny nie pracowała, przedtem prowadziła duży sklep konfekcyjny w śródmieściu. Mąż nie wrócił z wojny. Żyła z ocalonych .kosztowności, mając jednocześnie stałą pensję od Ewy. Uporczywie usiłowała pchnąć Ewę w stronę jej pierwszego męża, bardzo dobrze zarabiającego inżyniera budowlanego, z którym Ewa rozeszła się trzy lata temu. Inżynier wyjechał ostatnio jako ekspert do Ghany, gdzie zarabiał jeszcze lepiej, wrócił bez włosów, ale długą białą limuzyną, którą przez jakiś czas zatrzymywał przed domem Ewy, rozmawiał z nią, rozmawiał z matką, i potem przestał przyjeżdżać. Tego też matka nie mogła mi darować, uważając, zupełnie niesłusznie, że Ewa odrzuciła możliwość użytkowania białej limuzyny tylko ze względu na mnie.

Usłyszałem, że nastawia w kuchni czajnik. Wyciągnąłem się na szerokim tapczanie i zastanawiałem gdzie. jest Ewa, pomyślałem znów o Tomaszu, o z takim trudem zdobytym ry-

czalcie, o recenzjach, o nadziejach matki, i co, bym zrobił, gdybym był już teraz po napisaniu scenariusza z Tomaszem, o pracy Ewy przy urządzaniu wnętrza tej firmy. Po pierwszym małżeństwie Ewa odsunęła się od grupy dobrze ustawionych architektów, z którymi współpracowała zaraz po studiach. Teraz była jeszcze dalej, robiąc szybkie, dość głupie prace, co przekreślało jej szanse na wybicie się. To wszystko sam jej mówiłem i ona to zresztą wiedziała, ale nie miała już sił na szukanie, dojść, na próby odnawiania stosunków, znoszenie upokorzeń i niepowodzenia, rezygnowała więc z tego uważając, że w sumie coś jednak wygrała. Nie żałowała, że odeszła od męża, i nie żałowała, że jest ze mną. Obserwowałem jej wzrastające uzależnienie ode mnie i niepokoiło mnie i drażniło jej zaufanie, czułem się wciągany coraz bardziej, współodpowiedzialny za jej różne problemy, za matkę, za mieszkanie, za tę pracę. Jednocześnie coraz wyraźniej widziałem, ile mnie od niej dzieli. Nawet nie tych parę lat różnicy, ale inne myślenie o życiu, inna dojrzałość, jej wzrastająca nerwowość, w którą też byłem wplątany i za którą byłem również odpowiedzialny. Potem ona zaczęła to wyczuwać, potem rozumieć – wtedy zaczęły się rozmowy. Potem chciała odejść. Ale ja uczepliłem się jej, zatrzymałem ją kurczowo, chociaż miałem zupełnie inne plany na rozegranie życia, w których ona była wydarzeniem nonsensownym i niezrozumiałym. Ale nie mogłem też sobie powiedzieć, że rezygnuję z tych planów do końca, dlatego odwiedzałem Ilonę, dziesięć lat młodszą od Ewy maturzystkę, odwiedzałem ją na Saskiej Kępie – w ładnej willi. Chodziłem do niej z eseistą Janem B., któremu willa nadzwyczaj się podobała i który bardzo polubił picie koniaku z ojcem Ilony. Chodziłem tam, żeby się przekonać, że nie zrezygnowałem ze swoich koncepcji i że mogę się wycofać poza Ewę. Ale byłem z nią dalej, może nawet bardziej związany niż przedtem przez to, że chciała odejść i że ja ją zatrzymałem. Jednocześnie opowiadałem jej dużo różnych historii, rozbijając jej drażniącą naiwność, jej widzenie różnych spraw, które przyciągało mnie, zatrzymywało przy niej, ale wytrącało z równowagi i które musiałem niszczyć. Opowiadałem o jej przyjaciółkach i o jej znajomych historie prawdziwe i znów drażniło mnie jej oburzenie, zwrócone przeciwko nim i przeciw mnie. Opowiadałem coraz więcej, o wiele więcej, niż chciałem powiedzieć i niż to miało sens. Opowiadałem o Teresie–Psiarze i Baśce–Flecistce, i Paskudzie, o różnych z nimi wieczorach, na których byłem albo o których słyszałem, utwierdzając się w tym, że musi i że powinna to wiedzieć, i potem słuchałem jej krzyku, słuchałem spokojnie, bo byłem bardziej opanowany i mogłem nawet w momentach najgorszych dobierać słowa. Jednocześnie coraz bardziej narastało między nami napięcie, ona patrzyła już na mnie inaczej i musiałem teraz uważać spoglądając przy niej na inne kobiety, bo ona obserwowała je teraz według mojego klucza. I potem rozmawialiśmy znowu i coraz bardziej się w te rozmowy wciągałem, nie zawsze już mając przewagę.

W hallu zadzwonił telefon, potem usłyszałem szybkie kroki matki. To nie była Ewa. Spojrzałem na zegarek. Co mogła robić do ósmej na mieście? Wyszedłem na korytarz. – Jednak pan nas opuszcza. Zapomniałam panu przedtem powiedzieć, że Ewa wyszła dziś zaraz po panu, chyba o piątej rano.

Zastanawiałem się, czy mnie okłamuje i po co. Wyczuła to natychmiast i uśmiechnęła się: – Pan szanowny oczywiście może mi nie wierzyć. Nie mówiłam tego, gdyż sądziłam, że pan o tym wie, ale widocznie szanowny pan nie cieszy się pełnym zaufaniem mojej córki.

Wyszedłem na schody. Byłem nadal prawie pewny, że matka kłamie.

– Widać, że się szanowny pan za bardzo nie przejął – wychyliła się za mną.

– Spokój – zatrzymałem się. – Już!

Przestraszyła się, cofnęła szybko, bez słowa zamykając drzwi. Usłyszałem cichy trzask. Obserwowała mnie podniósłszy kłapkę przy drzwiach. Musiała być jednak zaskoczona – myślałem zbiegając na dół. Już dla siebie kończyłem z nią rozmowę, mówiąc wszystko. Stałem w bramie, zastanawiając się, jak wpadła na to, żeby wymyślić tę idiotyczną historię z wyjściem Ewy, ile musi mieć do mnie złości i niechęci. Ale zaraz w tę historię uwierzyłem i wiedziałem, że uwierzyłem w nią od początku i dlatego tylko wydobyłem dla matki te słowa.

Idąc w kierunku głównej ulicy znów wróciłem do przebiegu rozmowy z dzisiejszej nocy szukając w niej słów ostatecznych. Potem pomyślałem o mężu inżynierze i byłem już w centralnym punkcie głównej ulicy, w miejscu, które mijalem dzisiaj dwa razy, skręciłem koło zamkniętej już kawiarni elitarnego wydawnictwa i w restauracji po drugiej stronie, przerzucając książkę telefoniczną, przyjrzałem się sobie w wielkim lustrze przy szatni. Miałem opaloną twarz, na której nie widać było zmęczenia, może tylko w trochę zmrużonych oczach. Znalazłem ten numer, ale przedtem zadzwoniłem jeszcze do ojca i po paru słowach odłożyłem słuchawkę nie reagując na jego zainteresowanie. Potem nakręciłem znaleziony numer inżyniera i odłożyłem słuchawkę słysząc uprzejmy głos młodej kobiety. Dałem dwa złote szatniarzowi i odpowiedziałem na uśmiech stojącego obok mnie krępego blondyna z długimi falującymi włosami, opiętego w zniszczoną skórzaną kurtkę. Stał z hełmem motocyklowym w ręku, obrzucany niechętnym spojrzeniem szatniarza. Wyciągnął do mnie rękę. Przywitałem się, ale poznałem go dopiero po paru zdaniach, które wypowiedział szybko, cały czas ściskając mnie za rękę-Kończył razem ze mną historię, opowiadał teraz, że ożenił się, mieszka w sporym miasteczku, uczy historii, wziął Junaka na raty i dodatkowe godziny geografii. Mówił, ciągle nie wątpiąc w moje zainteresowanie, a ja słuchałem go nawet dość przychylnie, bo właśnie przypominałem sobie, że Ewa mówiła mi o powtórnym małżeństwie inżyniera. Odwróciłem się teraz w stronę sali, od barku pomachał do mnie Jarosław. Obok siedziała subtelną szesnastoletnia, wydobyty z płaszcza i przez to trochę pomniejszony wyznawca Jarosława oraz Jan B., który widocznie utrzymał się przy nich do wieczora.

– Napijesz się? – uśmiechnąłem się bez przekonania do kolegi ze studiów, który dalej ciągnął opowiadanie, ale bałem się, że lada chwila skończy i zacznie serdecznie a szczerze wypytywać, jak mi leci. Zmartwiłem się jego wyjaśnieniem, że nie może, bo właśnie prowadzi motor i musi dziś jeszcze przejechać prawie dwieście kilometrów, rozłożyłem bezradnie ręce, ucieszyłem się raz jeszcze z naszego nieoczekiwanego spotkania, usłyszałem, że on cieszy się także. I właśnie wtedy, już właściwie przy końcu, spytał, jak mi leci, a ja odpowiedziałem, że nieźle, dokładnie tak, jak to sobie przed chwilą wymyśliłem, poparłem to mocnym uściskiem dłoni i dodałem też, że się jeszcze nie ożeniłem.

– Pewnie – powiedział teraz on. Przyglądał mi się dokładnie, sprawdzał jakość butów, garnituru, krawata. – Pewnie – powtórzył. – Tutaj w mieście... – Posmutniał trochę. – No, lecę. Czekają tu na ciebie. No to cześć! Najserdeczniej.

– No to cześć! – Skręciłem w stronę Jarosława. – Na pewno się kiedyś spotkamy.

– Na pewno.

Zobaczyłem jeszcze, że przerzuca książkę telefoniczną, potem usiadłem na wolnym krześle przy barku. Jarosław przysunął w moją stronę przygotowany jarzębiak.

– Jeśli nie masz innych planów, może wpadniesz dziś z nami do niego – wskazał szerokiego. – Obiecuje koniak.

Powiedziałem, że może wpadnę, i Jarosław zamówił dla mnie następny jarzębiak. Z boku Jan B. obiecywał rewanż.

– Już wkrótce ukaze się specjalny numer – wymienił nazwę miesięcznika – poświęcony romantynom. Nie może w nim zabraknąć głosu eseisty Sobieskiego. Tak, tak, powinniście brać z niego wzór. Z daleka od łatwych koniunktur tworzy autentyczne wartości kulturowe.

Jan B. zdradził mi kiedyś, że posiada pewien udział w autorstwie tych esejów, przy czym rezygnuje z umieszczenia swojego nazwiska w zamian za pewne rekompensaty finansowe.

Kolega z uniwersytetu roześmiał się przy słuchawce, przekazując trochę za głośno pozdrowienia od siebie i żony.

Pomyślałem, że Ewa mogła po prostu iść do kina. Od dawna szykowała się na słynny film japońskiego reżysera. Wyszła rzeczywiście wcześniej rano, załatwiła sprawy ze swoją firmą; poszła do kina, a potem na spacer. Przez chwilę nawet ta myśl wydawała mi się zupełnie prawdopodobna.

– Tak, tak, niełatwo jest oderwać się od wirówki nonsensu w „Cafe Snob”, a eseista Sobieski to potrafi.

Oczywiście do kina na pewno nie poszła, nigdy nie chodziła sama. Mogła na przykład wstąpić do tych znajomych, u których byliśmy wczoraj, do tej lekarki, mogła czegoś u niej zapomnieć i teraz wrócić i zostać na herbacie. Albo mogły razem pójść do kina. Potem pomyślałem, że jeżeli rzeczywiście wyszła o piątej rano, to sprawa może wyglądać jeszcze gorzej, i wtedy właśnie przez chwilę zacząłem się bać. Ale odrzuciłem zaraz tę myśl i tę sprawę, czując znów ciężar odpowiedzialności i winy, wróciłem do historii z kinem, która nie była dla mnie taka niekorzystna – Ewa mogła uspokoić się, porozmawiać z ludźmi. Wydawało mi się, że za dużo rozmawialiśmy ze sobą, że za dużo sobie mówiliśmy, za często byliśmy razem. A może właśnie Ewa wyjechała na parę dni, na tydzień? Pomyślałem, że chyba nie czułbym się z tym źle. Potem znów zrobiło mi się jej żal i poczułem za to złość do siebie. Przypomniałem sobie, jak mówiła mi, że wyjedzie na parę dni, obserwując mnie uważnie, wyczekując mojej reakcji, a ja odpowiadałem wykrętnie, czując jej ciężką, duszącą podejrzliwość.

– Mamy wiadomości, że ona – pokazał Jarosław dziewczynę – ma ojca nauczyciela, który splukuje się na nią, oraz szesnaście lat. Ona uważa jednakże, że splukuje się na nią za mało, poza tym konfrontując zasady ojca z życiem oraz jego mieszkanie z innymi mieszkaniami jest właśnie w trakcie poszukiwania zasad innych.

– Ty jej znajdziesz, nie, Jarek? Znajdziesz jej – roześmiał się szeroki.

– To zresztą są tylko przypuszczenia – nie zwracając na niego uwagi ciągnął Jarosław – Kim jest twój ojciec? – spojrzał na dziewczynę.

– Pracuje w banku. – Dziewczyna starannie ułamywała główki zapalek.

– Jako właściciel?

– Co się, Jarek, wygłupiasz – roześmiał się szeroki. – Ty jak co powiesz...

Ten kolega ze studiów – chyba Władek – skończył rozmawiać przez telefon, skłonił się niezgrabnie w moją stronę i szedł opięty zniszczoną motocyklową kurtką, z hełmem w rękę, dochodził już do drzwi, i wtedy właśnie odleciał nagle śmiesznie do tyłu, zatoczył się na szatnię i zatrzymał podnosząc rękę do twarzy, a za nim wszedł duży, odrobinę chwiejący się na nogach, gładko przylizany właściciel warsztatu samochodowego, którego znałem z widzenia, któremu ostatnio szło coraz gorzej i zaczął ostro pić. Z tyłu przytrzymał go za rękę o wiele niższy, z małą szarą twarzą. Teczkę trzymał w jednej ręce, drugą wczepiał się w niego powtarzając: „Tadek, to nie ten.”

Władek rozejrzał się, przejechał spojrzeniem po mnie i poszedł w stronę drzwi.

– To nie ten – zapiszczał znowu mały, szary. – Coś ty, Tadek, coś ty!

– Panowie, dzwonię po milicję – wysunął się zza kontuaru szatniarz i zaraz, odepchnięty, poleciał na bok.

– Może i nie ten – powiedział duży z czerwoną gębą – może i nie ten, ale jak nie ten, to niech pokaże ptaka. Może pokazać, nie?

– Przepraszam pana – powiedział Władek cicho, dotknąwszy ręką twarzy. – Proszę mnie przepuścić.

– Nie przepraszaj, chamie, tylko pokaż ptaka. No już! – zamachnął się szeroko.

Jarosław złapał mnie mocno za marynarkę. – Czeka! – syknął – czeka!

– No już, wyjmuj!

– Coś ty, Tadek, coś ty!

Teraz krótko zamachnął się Władek. Duży poleciał na drzwi i wolno osunął się po nich na ziemię. Władek skręcił w stronę szarego, który zaszył się w kącie. Potem nagle włożył hełm na głowę i wyszedł.

– Ładnie go uderzył, musiał kiedyś ćwiczyć. Pan go zna? – zwrócił się do mnie szeroki, przyjaciel Jarosława.

– Może ćwiczył – odpowiedziałem.

Jarosław spokojnie podniósł kieliszek. – No i w porządku – powiedział. – Zawsze w końcu można było doskoczyć, ale tak jest o wiele lepiej. Zgarnęliby nas wszystkich, a nie mam ochoty nocować w komisariacie. Może to dlatego, że nocowałem tam wczoraj. W dość podobnej sytuacji. Duży, podtrzymywany przez szarego, wolno podnosił się z ziemi.

– Widzisz, Tadek, widzisz – pochlipywał tamten, Duży wytarł zakrwawione usta i odepchnął go na bok. Teraz weszło dwóch milicjantów, szatniarz, nerwowo gestykulując, wyjaśniał im sytuację.

– Szybko są – z uznaniem uśmiechnął się szeroki. Spojrzał na zegarek. – Pięć minut.

– Właśnie – skrzywił się Jarosław. – Śródmieście. Widziałem, jak szatniarz dzwonił – rzucił w moją stronę.

Błada szesnastoletnia bawiła się zapalkami.

– Zachowanie wasze, jakkolwiek niezbyt może etyczne, oparte jednak było na przesłankach dość racjonalnych – wolno, z namysłem rozpoczął Jan B.

– Jedziesz z nami? – rzucił w moją stronę Jarosław.

– Powiedziałem, że może pojedę. Jan B. oświadczył, że zostaje, ponieważ jest za pół godziny umówiony z eseistą Sobieskim.

– Rodzice wzięli wóz – wyjaśnił w moją stronę szeroki. – Tak więc, niestety, taksówką.

Kiwnąłem głową, co miało oznaczać zainteresowanie i współczucie.

– A co za rzecz? – spytała błada szesnastoletnia.

– Opel Record, nic takiego.

– Zawsze niezły.

– Pewnie, że niezły. Ciągnie sto pięćdziesiąt, automatyczna skrzynią – wyjaśniał już na ulicy szeroki.

– Normalnie – kiwnęła głową dziewczyna.

– Jesteś inteligentny – spojrzał na mnie Jarosław – i masz niezły warsztat. To dobrze, że trzymasz się Tomasza, to dobra szkoła. Sporo się od niego nauczysz. Powinieneś zacząć pisać o literaturze. Co jest z tobą? – spojrzał uważnie.

Powiedziałem, że nic i że może istotnie zacznę pisać o literaturze. Byłem właściwie pewny, że Jarosław wie o Tomaszu i że oczywiście przecenia stopień mojej z nim zażyłości. Przy okazji zastanowiłem się, czy on też kiedyś rozmawiał z Tomaszem i z jakim wynikiem. To trochę poprawiło mi humor.

Taksówka wjechała na most, szeroki rozmawiał z szoferem, błada szesnastoletnia przylepiła twarz do szyby patrząc na rzekę.

– Wygląda na to, że jednak masz do mnie żal! – Jarosław ostro zwrócił się w moją stronę. – O to, że cię przytrzymałem? Może o coś innego? Może mój sposób bycia ci nie odpowiada? Może uważasz, że jestem na przykład wykolejony?

Odpowiedziałem, że może istotnie jest wykolejony, ale jest mi to zupełnie obojętne i nie mam w związku z tym do niego żadnych zastrzeżeń.

– A dlaczego myślisz, że jestem wykolejony? Może ja, na przykład, robię pewne rzeczy, bo mi to procentuje, rozumiesz, opłaca się? Albo może, na przykład, chciałbym, żeby mnie ktoś zatrzymał. Może sprawdzam, czy w ogóle ktoś mnie gdzieś zatrzyma, i myślę, że raczej nie. A może to, co robię, jest bardzo potrzebne różnym innym ludziom, żeby, na przykład, mogli utwierdzać się w swojej normalności, mieć gwarancję, że jak nie zaczną tak jak ja, to wszystko jest w porządku, oni są w porządku, nic im nie grozi. Ja jestem potrzebny jako firma, ale skąd wiesz, czy mnie to cieszy?

– Myślę, że cię to raczej cieszy – powiedziałem. Popatrzył na mnie przez chwilę i potem roześmiał się. Szeroki spojrzał zainteresowany, dziewczyna nie odwróciła się, uważnie obserwowła pustą ulicę.

– Może, ale na pewno tego nie wiesz.

Taksówka zatrzymała się przed jednopiętrową willą.

– No i jesteśmy. – Szeroki wyciągnął klucze. – Zapraszamy do środka.

Weszliśmy do hallu.

– Idźcie do mnie, na pierwsze piętro. Ja tylko pożyczę z dołu coś do picia. – Zapalił światło. Wchodząc po skrzypiących schodach zobaczyłem szeroki kominek, ogromne lustro i porzucywaną na frędzle kotarę. W dużym pokoju na piętrze blada szesnastoletnia usiadła na szerokim tapczanie i policzki zaróżowiły jej się trochę, kiedy przeglądając zaczęła rozłożone tam „Paris Matche”. Usiadłem obok Jarosława, parę metrów dalej, na obitym skórą krześle. Jarosław zamknął oczy, wysunął naprzód nogi, wyraźnie bardzo zmęczony; musiał już sporo wypić. Z tapczanu połyskiwały karoserie samochodów, uśmiechy pań i panów, srebrzyło się w żółtym słońcu gładkie morze obok oślepiająco białych filtrów papierosów Kent. Potem wszedł szeroki z odkorkowaną butelką.

– No dobrze – ocknął się Jarosław – no dobrze. – Napelnił cztery kieliszki, spojrzał na szesnastoletnią przy „Paris Matchu”. – No to tak. Jest nas tu trzech, więc teraz zajmij się nami. W ten sposób zaoszczędzimy wszyscy na czasie, zyskując dwa dalsze indywidualne spotkania. Szeroki roześmiał się trochę nerwowo.

– Normalnie. Od razu wiedziałam, że będziecie mnie załatwiać we trzech – powiedziała blada szesnastoletnia patrząc jeszcze raz na różową tym razem plażę. – No więc jak będzie?

– No cóż, zaczynamy – westchnął Jarosław. – Może ty – spojrzał na mnie.

Dziewczyna siedząca na tapczanie podciągnęła spódniczkę odpinając podwiązki. Potem przez krótką chwilę mocowała się z suwakiem. Miała długie, ładne nogi, może tylko trochę za szczupłe. Potem posunęła się głębiej i uśmiechnęła, kiedy podszedłem do tapczanu. Uderzyłem ją w twarz, potem drugi raz, mocno, starannie. Poleciała do tyłu, zobaczyłem jej oczy ogłupiałe, przestraszone i po chwili już spokojne: – Rozumiem, to cię podnieca – uśmiechnęła się znowu. – Normalnie.

Odwrociłem się. Jarosław obserwował mnie uważnie.

– Ty, co jest? – złapał mnie za ramię szeroki. – Co jest? Co ją bijesz? Krzyku narobi. Coś taki nerwowo?

– Zostaw, to jest kwestia nastroju, rozumiem go – przymykając oczy wyciągnął się znów na krześle Jarosław.

– Zbiegając ze schodów zobaczyłem jeszcze raz w odwrotnej kolejności kominek, lustro, kotarę.

Telefon przyjęła matka Ewy. Odczekałem chwilę i odłożyłem słuchawkę, przerywając jej nerwowo skandowane pytania. Wyczułem, że nie lubi i trochę się boi takich milczących telefonów, i pomyślałem, że będę mógł to wykorzystywać częściej. W taksówce rozmawiałem z szoferem o pogodzie, doszliśmy do wniosku, że powinna się poprawić. Przed samym domem wpadłem na tęgawą blondynkę, sąsiadkę z góry, która przed godziną mignęła mi w głębi restauracji. Wysiadła właśnie z Syrenki z mężem, niewiele wyższym od niej, przygarbionym inżynierem, zapracowującym się na spłacenie rat za samochód, który kupili trzy miesiące temu, i ten samochód właśnie miał być momentem zwrotnym w ich życiu, miał zesnurować ten rozpadający się związek, zakończyć jej znikanie z domu, przenieść ich do innej sfery ludzi. Wprowadzili się do mieszkania nad nami dwa lata temu – tyle właśnie miało ich dziecko – i gdzieś od roku zaczęło się dopytywanie inżyniera o żonę, wstydlive i smutne, a od paru miesięcy szukał jej ciągle i zwykle przywoził pod wieczór tą Syrenką, która właściwie nie zmieniła nic, nawet lekceważenia dozorczy domu.

– Jak mogłaś zostawić małego, jak mogłaś! – Podtrzymał ją, lekko chwiejącą się na nogach.

– To ty miałeś wrócić do domu i posiedzieć z nim zaraz po biurze. Gdzie byłeś, no, mów, gdzie? – roześmiała się. – Ładny z ciebie numer, ale to nie ze mną. Ja z nim siedzę od rana. Znalazłeś sobie bok, co? Lolite.

– Irka – ścisnął ją za rękę na mój widok. – Irka, proszę cię. Dobry wieczór – spojrzał na mnie żałośnie. Kiwnąłem głową i wbiegłem na schody.

– No, mów zaraz, gdzie byłeś – usłyszałem jeszcze jej głos z dołu.

W pokoju matki na końcu korytarza paliło się światło. Ojciec puścił u siebie płytę z Bachem. Była to jedna z ulubionych płyt matki. Ojciec demonstrował w ten sposób swoją kulturę muzyczną, dając do zrozumienia matce, jak bardzo go nie doceniała. Dzidki chyba na pewno nie było. Ojciec nie zdobyłby się przy niej na oczywiście kompromitujące podlizywanie się Bachem. Poza tym, z zasady, kiedy matka wracała na noc, Dzidka szła do rodziny. To był rodzaj umowy, chociaż wiedziałem, że parę razy ojciec przechował Dzidkę w pokoju, co zawsze Dzidce udawało się ujawnić, przez co przekreślała kompromisowe plany ojca. Zatrzymałem się przy telefonie, potem minąłem Bacha i wszedłem do pokoju matki. Rozjaśniła się podnosząc głowę znad biurka. Ładny, młody uśmiech odbijał od pomarszczonej, zwłaszcza przy ustach, twarzy. Zdjęła modne duże okulary, w których, wiedziała, że jej nie lubię, i położyła je na porzrzucanych maszynopisach. Pomyślałem, że czeka mnie teraz trudna, właściwie niemożliwa do odbycia rozmowa, i postanowiłem, że jej nie będzie. Pocałowałem matkę, usiadłem przy biurku i ciągle postanawiając nie poruszać tej sprawy palącej, okrążyć ją, wydobyć wszystko inne, odpowiadałem na jej pierwsze pytanie. Musiałem mieć jednak w sobie napięcie i może inne spojrzenie, bo kiedy wyjaśniłem, że nie napisałem tej recenzji, to znaczy nie skończyłem, widziałem jej zaciskające się usta, ostrzejsze zmarszczki i mówiąc o kłopotach, wytrącających mnie zupełnie, czułem, że tej sprawy nie wyminę.

Siatka przy ustach matki wygładziła się trochę, kiedy mówiła, że Tomasz chciał mnie widzieć dzisiaj, że po ostatniej recenzji spodziewa się po mnie wiele, a ja nie mogłem się zdobyć na ucieszenie się tą pochwałą, wysłuchiwaną już dziś drugi raz, i wiedziałem, że równie nieprawdziwa jest teraz, ale wiedziałem też, że matka postanowiła w nią wierzyć i że w nią wierzy. Musiała jednak coś wyczuć, bo przerzuciła światło lampy stojącej na biurku na ścianę i teraz twarz jej wygładziła się prawie zupełnie, kiedy pytała, czy coś się wydarzyło. Potem milczała chwilę i zapytała, czy z Ewą. Kiwnąłem głową i wtedy: – Szkoda – przeciągnęła wolno – wielka szkoda. Miała na ciebie dobry wpływ. Ale czy to właściwie coś poważnego?

Powiedziałem, że raczej tak, myśląc teraz ciągle o sprawie, którą musiałem ominąć i której czułem, że nie ominę, powiedziałem, że może uciekła, a może wyjechała. Patrzyłem, jak matka bawiła się okularami, i potem od razu spytała, czy uważam, że mogła sobie coś zrobić. Szybko powiedziałem, że chyba ,nie. Matka chętnie potwierdziła to głową i powiedziała, że może wszystko da się naprawić, i dodała, że szkoda by było, ale że na pewno poszła albo pojechała kogoś odwiedzić. Potem wróciła do sprawy recenzji, a ja wtedy zacząłem dużo mówić o ostatniej nocy i rozmowie z Ewą – trochę, żeby się zagłuszyć, żeby zniszczyć w sobie jeden temat, i usłyszałem wtedy, że Tomasz lubi mnie bardzo, i musiałem odpowiedzieć ostro, że widzę to bardzo wyraźnie – bardzo wyraźnie, podkreśliłem – na co matka już nie kiwnęła głową, tylko patrzyła długo, potem, kiedy zapytałem, czy zamierza się rozwieść z ojcem, powiedziała: – O co chodzi? – Pytam tylko tak, myślałem, że może chcesz wpuścić na stałe tę małą. – Wykreśliłem rozmowę w bok, ale ona powtórzyła: – O co ci chodzi?

Wtedy podniosłem się z krzesła, podszedłem do drzwi, odwróciłem się i powiedziałem, że po prostu zastanawiam się, czy zamierza wyjść za Tomasza i czy z nim o tym rozmawiała. A kiedy usłyszałem, że tak, że rozmawiała z nim i że jest gotów, usiadłem i roześmiałem się słysząc już po raz trzeci: – O co ci chodzi?

Kiedy pchnięta znowu przez matkę lampa oświetliła nas ostro, wyraźnie, spytałem, czy również dlatego jest gotów, że mnie tak lubi. Potem chwilę nie mówiliśmy nic i zdawało mi się, że jeszcze można całą sprawę zatrzymać, odwrócić, kiedy matka mówiła, że nie rozumie,

o co mi chodzi, ale już wtedy zapytałem, czy naprawdę nie rozumie i że musiała chyba słyszeć od różnych ludzi różne pytania. Potem miałem chwilę wielkiej ulgi i wielkiej nadziei, kiedy wzruszyła ramionami, przyznając, że słyszała o tych idiotyzmach. Prawie uwierzyłem jej, że nic nie wie, kiedy powiedziała, że sam Tomasz ostrzegał ją o tych plotkach idiotycznych, ale nie mogłem znów nie zapytać, czy ona naprawdę w to nie wierzy. I dodałem zaraz, że możemy już o tym więcej nie mówić. Dodałem to z uśmiechem fałszywym, lekceważącym całą sprawę, ale nie zamierzałem wcale zostawić jej w tym miejscu, i wtedy nagle matka powiedziała: – A gdyby tak było, jak mówią? – I zdziwiłem się, że to nie zrobiło już na mnie żadnego wrażenia, widocznie musiałem przedtem mieć pewność, że wie.

– Więc gdyby tak było, jak mówią? – powtórzyła matka.

– Ale tak przecież nie jest? – powiedziałem wtedy,

– Ale gdyby było?

Patrzyła teraz trochę nade mną, zmrużyła jeszcze bardziej oczy.

– Gdybym się o tym dowiedziała już po wszystkim, po jakimś czasie, i gdybym chciała jednak godzić się na to, żeby ci pomóc, powiedzmy, żebyś mógł pisać? To jest moja i tylko moja sprawa.

– No, nieprawda – powiedziałem. – Oczywiście, że nieprawda. Właśnie teraz przekładasz ją na mnie, i to chyba niedobrze, bardzo niedobrze. To po prostu błąd z twojej strony.

– Więc idź, rzuć to pisanie, nie pisz więcej, nie kłaniaj mu się i mnie się nie kłaniaj.

Mogłem teraz powiedzieć, że nie wie jeszcze wszystkiego, dorzucić ostatnią sprawę – myślałem idąc w stronę drzwi – ale to było niepotrzebne i nic nie mogło zmienić. Po chwili podziwiałem ją prawie, kiedy zawołała mnie, uśmiechnięta, mówiąc, że oczywiście to nieprawda. Czekala tylko na moje reakcje – ciągnęła dalej, uśmiechając się żałośnie i jednak trochę niepewnie. I wtedy ja uśmiechnąłem się także, mówiąc, że oczywiście, że nigdy w to nie wierzyłem i że niepotrzebnie prowadziłem tę rozmowę. Potem usiadłem przy niej, wziąłem ją za rękę, obiecując, że dziś jeszcze skończę tę recenzję, pocałowałem ją i wyszedłem z pokoju, wiedząc, że mi nie uwierzyła, co zresztą nie miało już teraz żadnego znaczenia, bo ona też musiała mieć pewność, że jej nie wierzę. Wyszedłem na korytarz, zobaczyłem, że jest jedenaśta, znów spojrzałem na telefon, myślałem chwilę o Jarosławie i wtedy właśnie wychylony z pokoju ojciec, wyciszywszy Bacha, powiedział:

– Halo, synku, był telefon od jakiejś Ilony. – Spojrzał przeze mnie w stronę pokoju matki, potem na mnie, chciał chyba o coś spytać, ale uśmiechnął się tylko niewyraźnie i cofnął się z powrotem do pokoju. Zrobiło mi się go trochę żal, ale uspokoilem się zaraz, że na pewno wymyśliłem sobie jego przygnębienie. Nakręciłem numer i usłyszałem głos Ewy. – Tak – powiedziała po chwili bardzo spokojnie – słucham.

– Nie śpisz?

– Nie.

– Jak się czujesz? – spytałem też już spokojnie.

– Zupełnie dobrze, czy coś się stało?

– Nic – powiedziałem – nic takiego. Szukałem cię.

– Wiem, mówiła mi matka. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale pomyślałam, że pewno śpisz i że wobec tego zadzwonię jutro.

– Ewa. Zaraz u ciebie będę.

– Nie – powiedziała szybko. – Nie. Przyjdź rano.

– Zaraz będę! – Położyłem słuchawkę.

– No i cóż! Czy spędziłeś noc w towarzystwie tego bezsensownego Jarosława i jego kopolantek? Czy demonstrował swoje pozy ostatniego polskiego Rzymianina? I czy w ogóle celebrował czarną mszę?

Jana B. spotkałem po dziesiątej rano w centralnym punkcie głównej ulicy już po wyjściu od Ewy, po naszym wspólnym wyjściu, po tym, jak dwa razy zatrzymywałem się i skręcałem za nią, potem znowu przystawałem, zawracałem i szedłem dalej główną ulicą w stronę domu, bo postanowiłem dziś skończyć recenzję.

– Ja spędziłem wieczór z subtelnym eseistą Sobieskim. Notabene jego ostatni esej o poezji romantyków wywołał ostrą polemikę w dwóch poważnych tygodnikach. Sobieski zastanawiał się, czy w ogóle podjąć dyskusję na tym poziomie, ale ostatecznie –(mogę ci w sekrecie zdradzić, że szykuje ciętą ripostę w pewnym kwartalniku.

Ułożywszy twarz w wyraz pełnego aprobaty podziwu, co zupełnie wystarczyło do podtrzymywania speechu Jana B., wymyślałem dalszy ciąg rozmowy z Ewą, potem wracałem do tych spraw sprzed paru godzin, kiedy po dwunastej otworzyła mi drzwi, przypominałem sobie naszą rozmowę i przeprowadzałem ją na różne sposoby szukając najwłaściwszego, potem przyglądałem się temu, co zdarzyło się naprawdę, ale nie byłem już zupełnie pewny przebiegu tamtej nocy, bo nakładały się i rozbijały jej ciąg historie wymyślone, lepsze i gorsze. Myślałem więc o tych ośmiu prawie godzinach, wyczerpujących strasznie, trudnych coraz inaczej, szukając w sobie odczuć prawdziwych, pewnych; musiałem teraz ocenić spokojnie, trzeźwo całą sprawę i czułem dla siebie dużo pogardy za niemożność wydobycia z siebie tej oceny.

– Zapropozowano mi pracę w telewizji, w ogóle bardzo poważne stanowisko, więc poszedłem tam na rozmowy. Spytałem mnie, czym zamierzam się zajmować szczególnie, odpowiedziałem, że oczywiście ideologią. Potem powiedzieli, że pensji nie będę miał wprawdzie specjalnie dużej, ale będę mógł dorabiać. Na to oświadczyłem, że rzecz jest bez znaczenia, gdyż potrzeby mam ogromnie skromne. I wtedy zobaczyłem, że patrzą na siebie z niepokojem.

Wracałem od nowa do tych spraw pierwszych, kołujących, nieważnych, w których pochwaliłem jej sweter i włosy, co ona podjęła rzeczowo, ciesząc się moją pochwałą i zainteresowaniem. Potem chodziłem trochę po pokoju i nagle szybko usiadłem przy niej na tapczanie, próbowałem ją objąć, przytulić, bo nagle poczułem w sobie wielką tkliwość dla jej szczupłej twarzy i podkrążonych oczu. Próbowałem ją objąć, chociaż wiedziałem, że to nie może nic załatwić, bo potem będzie chwila następna, i chociaż od razu odsunęła się, wcale nie histerycznie, nie nerwowo, starałem się jednak wziąć ją za rękę, chociaż prosiła, żebym przestał, wymawiałem różne słowa zapowiadając nowe z nią życie i czułem wielką niechęć do siebie, bo nawet teraz nie byłem tych słów pewny. Potem pomyślałem o sobie jeszcze gorzej i postanowiłem wyjść, ale nie wypuszczało mnie jej obojętne odsuwanie się i spokój, więc szukałem nowych, bełkotliwych słów, zanim odszedłem znów na krzesło przy oknie. A ona nie mówiła ciągle nic, tak że właściwie rozmowa nie była jeszcze rozpoczęta, i wtedy właśnie zapytałem, gdzie była cały dzień, a ona wzruszyła tylko ramionami, bo to rzeczywiście nie mogło już być ważne.

– Zapropozowano mi, żebym przygotował swój pierwszy speech i podpisał na razie umowę. Na co odpowiedziałem, że mogę podpisać dowolną ilość umów, ale póki nie zostaną poważnie zaliczkowane, nie napiszę oczywiście nic.

Potem opowiedziałem, że dzwoniłem do jej pierwszego męża, i kiedy usłyszałem, że była wtedy u niego, u niego, ale z kim innym, zacząłem prawie krzyczeć. Wówczas właśnie powiedziała o swojej matce, że dlatego chciała porozmawiać rano, żeby pozbawić ją tej satysfakcji, i że ta rozmowa jest zupełnie niepotrzebna, będę musiał wycofać stąd parę swoich rzeczy, ponieważ ona zamierza matce zostawić mieszkanie, a sama się wyprowadza. Ale ja krzychałem dalej, pokazując, że matki się nie boję, i jednocześnie zastanawiałem się, co robić. Szukając w sobie decyzji poszedłem szybko w stronę drzwi, chociaż wiedziałem, że nie wyjdę, i miałem tylko parę kroków, po których musiałbym zatrzymać się bezradnie i głupio. I kiedy po chwili Ewa zawołała mnie, poczułem najpierw wielką wdzięczność. Tłumaczyła, dlaczego nie może być ze mną, dlaczego nie stać jej na mnie, mówiła ciągle bez żalu, smut-

nie, rzeczy na ogół prawdziwe, w które nie chciałem teraz wierzyć, czując znów wzbierającą we mnie wielką tkliwość, kiedy mówiła, że odchodzi tylko dlatego, że ja od niej nie odejdę. I teraz wiedziałem, że to już nie jest z jej strony gra, że odejdzie i że to są słowa ostatnie, do czego dopuścić nie mogę, w każdym razie nie w tej chwili, i zaprzeczałem sobie, kiedy ona przyznawała mi rację, zapewniała o prawdziwości mojego spojrzenia. Mówiła, że to i tak była sprawa czasu, a mnie drażniły, niszczyły swoją płaskością te oddawane mi teraz moje własne słowa i znów musiałem spróbować ją objąć, śmiesznie opadając na tapczan, gdy się odsunęła. Chciałem jej też powiedzieć o moich wszystkich dla niej rezygnacjach, o Ilonie, o Jarosławie, ale to byłoby tylko głupim potwierdzeniem jej słów. A ona zaczęła opowiadać o tym znajomym architekcie nie tak, żeby wzbudzać we mnie zazdrość, ale jakby zwierając się i prosząc o radę. A ja uwierzyłem jej od razu, bo opowiadała inaczej niż zwykle, chociaż udawałem, że nie wierzę. Słuchałem uważnie, kiedy mówiła, że spotyka się z nim już od dwóch tygodni i teraz przenosi się do niego, będą razem pracować, że on przede wszystkim chciał, żeby wyprowadziła się od matki, dlatego wspomniała o moich rzeczach, które powinienem zabrać, z czym zresztą nie ma pośpiechu, wyjaśniła, że nie chciała mi o tym mówić, że w ogóle miała mi to powiedzieć bezpośrednio po imieninach, na których on też był, ale nie powiedziała, a ja złapałem się teraz tego wieczoru, głupio wyśmiewając przystojnego czterdziestoparoletniego architekta, z czym ona zgadzała się, dodając znowu, że zrozumiała, że na mnie jej nie stać.

Potem mówiłem, że jej nie wolno, że dobrze wie, że jej nie wolno, że nigdy tego nie robiła. Usiadłem na podłodze obok tapczanu, opuściłem nisko głowę i po długiej chwili poczułem wreszcie jej rękę; przez chwilę siedziałem dalej nieruchomo, zanim objąłem ją mocno, przycisnąłem, i teraz już nie wrywała się i już wiedziałem, że wszystko zostanie jak dawniej. Wiedziałem, że wygrałem, kiedy nie opierała się zupełnie, i potem leżałem obok niej ciągle obejmując ją mocno. Ale robiłem już wtedy to, co teraz, to znaczy szukałem w sobie różnych odczuć, i znowu czułem do siebie wielką niechęć za bezradną, głupią płaskość.

–...I wtedy oświadczyli mi w telewizji, że te sprawy zaliczkowe muszą uzgadniać. Wtedy nadałem się niesłuchanie i opuściłem ich. Oczywiście, szło tu w ogóle o śmieszne sumy. No, ale muszę pędzić; na jedenastą eseista Sobieski wyznaczył mi spotkanie, przedtem chciałbym jeszcze powirować w „Snobie”. Numer specjalny miesięcznika ukaże się już niedługo, więc eseista musi się skoncentrować przed kolejnym poważnym sukcesem. Notabene eseista przygotowuje bardzo snobistyczny wieczór autorski.

Jan B. rozluźnił jeszcze bardziej krawat i skreślił w stronę kawiarni elitarnego wydawnictwa.

Szedłem dalej w stronę domu i widziałem wyraźnie, jak Ewa wstaje, ubiera się, a ja ciągle nie podejrzewałem zakończenia. Patrzyłem na nią ufnie, kiedy powiedziała mi, że sytuacja się nie zmieniła, ale że chętnie będzie się ze mną spotykać. Znów rozpoznałem swoje słowa i myśli, i wtedy chciałem ją uderzyć, ale nie zrobiłem tego, nie czułem zresztą prawdziwego oburzenia, tylko wielkie zmęczenie, więc ubierałem się też, bo wiedziałem, że decyzja już zapadła, dlatego nie mówiłem ciągle nic. Razem wyszliśmy z mieszkania, ale ja nie wziąłem swoich rzeczy, co było oczywiście żalosne, ale zostawiało mi jakąś możliwość powrotu, tak w każdym razie myślałem wtedy. Kiwnąłem głową, kiedy prosiła, ażebym zadzwonił, nie zagryzał się, tylko pracował, żebym to jedno dla niej zrobił, i niepotrzebnie, długo, teatralnie pocałowałem ją w rękę. Patrzyłem za nią trochę, potem odwróciłem się i szedłem prosto, jeszcze dwa razy zatrzymywałem się, zawracałem za nią, ale zaraz stawałem i szedłem z powrotem. Później myślałem, ile znów mam dziś przed sobą czasu, a jeszcze później, od paru minut, już po odejściu Jana B., nie myślałem o niczym.

Przed domem dopiero po kilku okrzykach: „Proszę pana, proszę pana!”, zatrzymałem się i słuchałem, jak zażenowany sąsiad z góry prosi mnie o dyskrecję. „Bo wie pan, ludzie sobie pomyślą Bóg wie co, a ona nie jest zła i kocha mnie naprawdę” – mówił patrząc na mnie żalonym, psim wzrokiem i że w ogóle to zdarzyło się pierwszy raz – wołał prawie, kiedy wchodziłem już po schodach.

WIZYTA

Koło siódmej wieczorem ciężkie kroki i kołatanie. Teresa jest już przy drzwiach, myśląc, że przyjechali wcześniej, że Andrzej z Bodziem będą dopiero za godzinę, że będzie musiała sama ich przyjmować. Zdenerwowana, nienawidząc Andrzeja za to niepotrzebne wyjście i jednocześnie czując jednak ulgę, że już są, otwiera drzwi rozjaśniając się w uśmiechu. A oni już tam stoją, oboje zakutani w kurty, grube chusty, zawsze wyglądające brudno – on w kaloszach, ona w trzewikach wysokich, przydeptanych, mali oboje i bardzo starzy. Więc Teresa, uśmiechając się w tym następnym momencie już łatwiej, zaprasza do środka i wypełniając lęk przed ciszą za głośno i za szybko pyta o podróż, tłok, mówi, że Andrzej z synkiem będą za chwilę. Oni, nieufni, czujni, ostrożnie wchodzą na lśniąca posadzkę, która od razu im się nie podoba, bo jest obca, inna i niepotrzebna. Ciągłe niewiele mówiąc wyłaniają się z tych kurt i chust, robią się jeszcze mniejsi i jeszcze starsi. Potem, uroczyście prowadzeni, wchodzą do stołowego, gdzie kwiaty zdobyte z trudem w zimie, Matka Boska i ślubna fotografia na ich cześć zawieszona nad niskim, modnym tapczanem, radio solidne, szerokie, lśniące politurą i bogato obite krzesła.

Siadają na tych krzesłach przy stole nakrytym białą i teraz zaczynają się dla Teresy najtrudniejsze momenty. Bo oni o nic nie pytają, nie patrzą na pokój, tylko na nią – bardzo spokojnie, jakby jej nigdy przedtem nie widzieli. Opowiadając, jak to mieszkanie w nowych blokach zdobyli, Teresa wie, że nie słuchają, że jej nie lubią za to, że jest z miasta, że może to przez nią Andrzej ze wsi uciekł, odszedł od nich i od ziemi obojętnie, bez żalu, czego nigdy nie przebaczą, bo nie mogą zrozumieć. Patrzą na nią, trzydziestoletnią, zgrabną, ale już trochę tyjącą, z włosami jasnymi, ostrzyżonymi za krótko, w spódnicy też chyba za krótkiej i w sweterku czarnym za obcisłym. Niechęci się w ich oczach gromadzi coraz więcej. Więc Teresa urywa. Wybiega do kuchni, ale zaraz wraca, proponuje herbatę, bo chociaż kaloryfery dobrze grzeją, oni przemarzli i raz po raz pocierają spierzchnięte, czerwone dłonie z brudnymi paznokciami. Potem, żeby ciągle coś robić, szynkę i chleb cienko pokrojone stawia na stole. I jeszcze jedną i drugą karafkę z przygotowaną przez Andrzeja nalewką. Potem znów mówi tylko ona. Ale jest już lepiej, bo za piętnaście minut wraca Andrzej, więc swobodniej opowiada o pracy Andrzeja w Prezydium Powiatowej Rady, o swojej w szkole, o synku Bodziu, do ojca podobnym i dziadka.

Stary mówi oszczędnie, starym, skrzekliwym głosem, bo chociaż sam trzyma się jeszcze prosto, głos ma już umarły. Tylko ona, bez wieku, pocięta zmarszczkami, ciągle zimna, patrzy ostro i nie może zrozumieć, co się podobało w tej jazgotce jej synowi. Głosu nie zdiera, tylko czeka, bo przyjechali z interesem poważnym, robić zgodę, a czas rozmowy jeszcze nie nadszedł.

Teresa nalewa do kieliszków, ale oni dziękują, czekają na syna, i znów się robi gorzej. Ale teraz już zgrzyta klucz w drzwiach i wchodzi Andrzej, palto lodenowe i kapelusz rzucając na wieszak i zrywając futerko z Bodzia. Teresa oddycha z ulgą, kiedy Andrzej spiesząc się matkę i ojca w rękę całuje, a Bodzio tym wyćwiczonym „dziadku, babciu” wyłom w chłodzie robi. Potem siedzą przy stole, a Bodzio przegląda zdjęcia na tapczanie i wszystko jest, jak zaplanowali, więc można już chwilę odsapnąć przed tą zasadniczą rozmową, która już teraz odbędzie się na pewno, a o której możliwych wspaniałych następstwach aż strach pomyśleć.

Na razie Andrzej, wysoki, w czarnym wyprasowanym garniturze, srebrzystym krawacie przy białej koszuli, w stroju, w którym starzy niechętnie syna nie kochanego poznają, zaprasza do picia. Podnosi kieliszek myśląc, że oni zupełnie się nie zmienili, a przed oczami stają mu wspomnienia ze wsi, z ich domu – ani wzruszające, ani wesołe. Ale wznosząc ten kieliszek uśmiecha się serdecznie, ciepło, chociaż z napięciem dla Teresy bardzo widocznym właśnie dlatego, że ona teraz prawie tak samo jak on czuje i myśli.

– Więc zdrowie rodziców kochanych za to, że odwiedzili, i w ogóle!

'Wypili. Matka szybko, obojętnie, stary zakaszła się, poczerwieniał od razu. Zagryzli szynką, chlebem. Po chwili Andrzej znów nalał – wypili.

– Więc oto, synu, jesteśmy – zachrypiał stary. – Oto jesteśmy.

Wypili. Teraz zakrztusiła się Teresa, uśmiechnęła przepraszająco. Dla niej picie już się skończyło.

– A Bodzio grzeczny chłopak, zdrowy – pochwalił znów stary.

I tak idzie ta rozmowa, kluczająca, ostrożna, powykęcana, dotykająca tylko i uciekająca od tej sprawy jedynej i najważniejszej. Więc teraz Andrzej o brata Macieja pyta, potem o pogrzeb drugiego, Ignaca, na którym nie był, bo właśnie odbywał wojsko. Potem lekko o konie, bydło i, już blisko tej sprawy, znów odskakuje. Głównie Andrzej pyta, stary odpowiada. Teresa raz i drugi spróbowała się wtrącić, potem na tapczanie przy Bodziu pozornie obojętna uważnie słucha. Stara też już nie pije, przechyliła głowę na bok, patrzy czujnie wyblakłymi oczami. I ta rozmowa kołuje dalej, a Andrzej wiejskie wspomnienia, wtedy jątrzące niesprawiedliwością, teraz odległe już i ostygłe, odnajduje w sobie. Obraz wsi mocno przyćmiony powraca w skrzeku starego, nie tyle w znaczeniu słów, ile w dźwięku i tonacji.

Stary rzecz też snuje delikatnie, statecznie szukając wspomnień zbliżających, nie dzielących.

I tak kołują, raz po raz zderzając się kieliszkami, aż stary po przerwie dłuższej odchrząknął, poprawił się w krześle, spojrzął na starą.

– Wiadomym ci jest, Andrzeju, cel naszego przyjazdu. Jako rodzonemu synowi należeć ci się po nas miała po równi z bratem twoim Maciejem gospodarka. Teraz, jako żeś od nas z ziemi odszedł, podług ustawy ostatniej prawo swoje potraciłeś. Jednakże, jako że i ustawy na nowe się zmieniają, i my po polsku i chrześcijańsku obowiązek swój rodzicielski znamy, uzgodniliśmy z Maciejem. spłacić należną ci po śmierci naszej twoją część zaraz, z pożytkiem dla stron obu. Maciejowi ziemi jest teraz potrzeba, jako że żenić się zamierza, a przed ślubem wykazać musi. Na to zgodę listami wyraziłeś i przez co właśnie zgodnie z zapowiedzią jesteśmy, pokazując, że żalu nie mamy i zgodę chcemy.

Spojrzął na matkę, szybko wychylił kieliszek, zagryzł, zakrztusił się i chrypiał dalej:

– Tak więc przybywamy do was uzgodnić sprawę, co my chcemy, co wy. Niech każdy powie, co ma na myśli i sercu, a zgodę zrobimy.

Wtedy Andrzej grzecznie, układnie ucieszył się słowami ojca. Do zgody on jest pierwszy. Nie przez niekochanie ziemi i rodziny odszedł, tylko pędzony ciekawością do świata.

Ojciec kiwnął głową i szybko podniósł kieliszek.

– Dostyc już. – Stara ostro odsunęła butelkę. – Zostaw, mówię.

Andrzej roześmiał się na te nic nie zmienione od tamtych czasów rządy matki i kieliszki znowu napelnił. Stara rzuciła tylko ramionami i swój odsunęła. Tymczasem stary, raz sprawę

rozpocząwszy, nie kołując wykładu. Teresa, jak to zresztą było zaplanowane, wzięła śpiącego Bodzia na ręce, zaniósła do łóżeczka przygotowanego w kuchni. Wracając usłyszała właśnie, jak Andrzej przeciw wymienionej długiej, opatrzonej wieloma zerami liczbie ostro protestuje. Zatrzymała się dłużej w drzwiach, bo ta liczba, chociaż przecież spodziewali się czegoś takiego, uderzyła ją jednak, oszołomiła konkretnością. Wypowiedziana, przetworzyła się w jej myślach w większe mieszkanie w wielkim mieście, koniec nie lubianej pracy, urzędniczej pensji – futra, teatry. Potem usłyszała, że Andrzej właśnie ze względu na nią i syna, powołując się na ich wspólne szczęście, sumy tej nie przyjmuje jako za małej. I chce jej się krzyżeć, ale wie, że Andrzejowi można ufać, bo jest sprytny i po chłopsku, i po miejsku, i widzi w nim tylko lekko przyćmione wódką skupienie. Słyszysz dalej, jak stary namawia, spocony, coraz bardziej czerwony na gębie, i jak Andrzej, rozchełstany, upiera się, że należy mu się więcej, że ma prawo.

– Aż łeb starego jest coraz bliżej obrusa i on sam, po pijacku, serdecznie zgodliwy, przytakiwać zaczyna, zgadzać się: – Słusznie, synu, słusznie.

– Cicho, ty! – syknęła stara. I sama już, napięta, sprężona, jakby jeszcze zmalęła, zupełnie nie pijana, mając z góry nad Andrzejem dawną przewagę szacunku, który w nim teraz powraca, i właśnie trzeźwości – przejmuje sprawę.

– A ty, Andrzej, wiesz, że dopiero po naszej śmierci mógłbyś próbować swego dochoździć. A my z ojcem pożyjemy.

– Czego wam z całego serca życzę! – Andrzej, spocony, zmierzwiiony, przechylił się do przodu. – Ale na krzywdę się zgodzić nie mogę. I tak, kochani, dodajcie dwadzieścia tysięcy.

– Słusznie, synu. – Stary rozlewając nalewkę trzęsącą się ręką podnosi kieliszek. – Słusznie.

Stara nie zwraca już na niego uwagi. – Nie postąpimy.

Do niej należy decyzja i tylko już w jej stronę Andrzej, trochę bełkotliwie: – Sumienia nie macie. Bez sumienia ludzie.

– A ty co? Jak na ziemi żyłeś, nie do roboty ci było. Co innego miałeś w głowie.

Oczy jej nieprzyjaźniają jeszcze bardziej i u Andrzeja znów powracają te dawne obrazy, rozkołysane wódką i roztkliwieniem nad sobą.

– A co? Oczkiem w głowie wam nie byłem. Trzech nas było. Oni u was we wszystkim pierwsi przede mną. – Machnął ręką. Kieliszek rozprysnął się na podłodze. – Uczyć się chciałem. Postąpicie dwadzieścia?

Stara roześmiała się niespodziewanie, ostro, skrzekliwie.

– I nauczyłeś się. Z komunistami robić porządki. Że też ta Matka Boska ze ściany chce na ciebie patrzeć. Za mało cię stary bił, przez to teraz takie czasy, tacy jak ty rządzą. Pięć dołożę.

– Dwadzieścia.

– Pięć.

Teresa chciała mu, bełkocącemu, przerwać, sprawę zakończyć, dla niej już wygraną. Bała się teraz jego uporu pijackiego, już bez sprytu. Bała się, żeby się te pieniądze z powrotem w nieokreślone nie zamieniły. Ale on nie zważał na jej machania, a wtrącić się wprost – nie miała odwagi. Tam wciąż te dwie liczby padały, Andrzej ze łzami już swoją wymawiał, a matka dalej spokojnie swoją.

– Gówniarzu, skurwysynu, za mało cię waliłem – zerwał się jeszcze stary, podrzucił łeb i znowu się zwałił na krzesło.

– Pięć.

I Andrzej wreszcie, zupełnie już przekonany jej opanowaniem, wódką roztkliwiony: – Zgadzam się, chłopcy ciemne – zapłakał. – Zgadzam się jako lepszy i mądrzejszy. Na wasze nieszczęście się zgadzam. – I utwierdzając się w tym roztkliwieniu, łyży brudną ręką rozma-

zując: – Niech się Maciej, mój brat, zadławi tą ziemią moją ukochaną, której widzieć nie chcę.

Teraz stara, ciągle ostra, wszystkowiedząca, wyciągnęła papiery przedtem schowane pod krzesłem i na oczach rozluźnionej Teresy, która teraz mogła już podejść, Andrzej, zaśliniony, przekrwiony, odpychając starego, co głośno chrapiąc na niego napierał, nabazgrał swoje nazwisko pod liczbą przygotowaną, którą stara przewidziała z góry i na swoim postawiła. Po czym papier schowała uważnie i wtedy dopiero razem z Teresą – ani wroga, ani zadowolona – przeciągnęła kolejno kościstymi silnymi rękami chrapiącego starego, potem Andrzeja, poplamionych, lepkich, i kładły ich w ubraniach w czystą pościel, przygotowaną specjalnie na ten przyjazd. Wreszcie sama skuliła się obok, zwinęła przy nich, znów bardzo mała i bardzo stara – zasnęła spokojnie od razu.

Dopiero wtedy, słysząc chrapanie tych trojga, sprawdziwszy przedtem, jak mały śpi, gasząc światło, wymęczona nieludzko i odprężana Teresa zaczęła liczyć.

VOLVO DLA MOUSE-KILLERA

I

– Kiedyś zaprosiła mnie do siebie znajoma Polka, dwadzieścia lat temu, po moim przyjeździe tutaj, pokazała mi obrus i popielniczkę, a obrus miał identyczny wzór co popielniczka – mówiła Marika, okrągła, siwiejąca właścicielka willi, położonej w ekskluzywnej dzielnicy Sztokholmu, który nie był miastem ani dużym, ani ładnym, przypominał miasta niemieckie. Bo tutaj ogromna zamożność nie była zbyt efektowna na zewnątrz, domy secesyjne, sztywne, parę tylko białych wysokościowców, a największy chyba to przedstawicielstwo Forda. Ładne były natomiast te elitarne dzielnice, daleko od centrum, właściwie za miastem, gdzie mieszkało mieszczaństwo bogate, arystokracja przerzedzona i artyści. Dostaliśmy się tutaj samochodem męża Mariki, Rogera, pięćdziesięcioletniego kuśnierza, który posiadał dwa spore sklepy w centrum i dwa mniejsze na peryferiach, futra sprowadzał z Rosji, wyprawiał w Austrii, a sprzedawał w Szwecji. Przecisnęliśmy się przez główne ulice, zablokowane wielkimi, starymi wozami raggare, czyli szwedzkiej młodzieży zbuntowanej. Posuwali się w kółko w amerykańskich wozach tak wolno, że można ich było pieszo wyminąć. Obejmowali w tych samochodach dziewczęta sposobem podpatrzonym na okładkach magazynów, żując gumę wskazaną przez magazyny, ubrani w wymyślony przez magazyny uniform młodzieży gniewnej, który mogli nabyć, tak jak te samochody, w domach towarowych i garażach z napisem „raggare”, gdzie można całą gniewność kupić. Przecisnęliśmy się z trudem, bo raggare zataczali krąg ścisły, ponieważ była sobota i Wigilia. W niedzielę było ich zawsze mniej, bo w poniedziałek chodzili do pracy wcześniej rano, a w pracy na gniewność miejsca nie było.

– Zrozumiałam to i zaprosiłam ją do siebie dopiero wtedy, kiedy ja też miałam taki sam wzór na obrusie i popielnicze.

Szliśmy teraz wolno po salonie superkomfortowej willi znajomych Roberta, a właściwie znajomych jego rodziców, którzy kiedyś, w czasie okupacji, obecnym kuśnierzom pomogli, i Robert liczył, że oni teraz rozumieją naszą ciężką sytuację, bo Szwedzi nie mieli skojarzeń żadnych. Dreptaliśmy wzdłuż ścian, gdzie na wyrafinowanych drewnianych półkach stały długim rzędem wielkie wazy, lśniące solidną politurą, obok chyba bardzo młodych antyków, pomiędzy posągami z gipsu mężczyzny i .kobiety naturalnej wielkości w strojach kąpielowych i cepeliowskim kogutem. Szliśmy .krok za krokiem, najpierw tylko pani domu, Roger, Robert, Sobiesław i ja, potem dołączało do nas coraz więcej gości: pani Freda, najgłośniejsza, najostentacyjniej podziwiająca wazy, paru Szwedów, współników kuśnierzy, i córka małej,

wysuszonej pani Fredy, podhodowana na sokach i witaminach, długonoga, może trochę za szeroka Anna, która wkrótce z synem gospodarzy, siedemnastoletnim Harrym, zamerykanizowanym posiadaczem garnituru w kratę i długiej fajki, przeniosła się na górę. My zaś chodziliśmy dalej prowadzeni przez superlampę, dającą światło reflektorowe w pięciu kolorach. W pokoju zaś obok, połączonym z salonem rozsuwanymi drzwiami, uruchamianymi przez naciśnięcie guzika, błyszczał bielą obrusa i srebrem zastawy stół wigilijny, zatłoczony półmiskami, upychanymi ściśle przez służącą Hiszpankę świątecznie przystrojoną, która już przedtem umieściła w centrum standardową choinkę. Marika zaś kolejno przystawała przed półkami, wyczekująco patrząc na nas, a my niezawodnie, układowo chwaliliśmy wszystko, oczekując niecierpliwie momentu zbliżenia się do stołu, a na razie układając różne plany jak najpełniejszego wykorzystania tego wieczoru, wyssania wszystkich możliwości, niezaniebawania niczego, co mogłoby naszą sytuację posunąć do przodu, pchnąć nas we właściwym kierunku. Myśleliśmy o tym w świetle pięciokolorowej lampy, palącej się teraz kolorem szkarłatnym, w którym nasze zadanie rysowało się znacznie bardziej prawdopodobnie niż w ostrym świetle dnia, po raz pierwszy niemal realnie – od czasu kiedy miesiąc temu wysiedliśmy na sztokholmskim dworcu.

– A tę wazę dostałam właśnie od Fredy – uśmiechnęła się serdecznie Marika.

– Bardzo piękna – powiedział szybko Robert. – Bardzo piękna i stara.

Oczywiście najwięcej do wygrania miał Robert. Właściwie, prawdę mówiąc, tylko dla niego ten wieczór mógł oznaczać prawdziwy początek. Ani moja rodzina, ani Sobiesława nie pomogła, niestety, gospodarzom Willi w czasie okupacji. Ale zielone teraz światło lampy, usypiając przyjemnie, sprzyjało marzeniom.

– Tak – rzuciłem pospiesznie w wyczekującą przerwę, orientując się, że Sobiesław wydobyl już pochwalny bełkot. – Tak, istotnie, jest ogromnie piękna, powiedziałbym: wyjątkowo. – Z masochistyczną przyjemnością delectowałem się głupotą swoich wypowiedzi.

Teraz wtrąciła się pani Freda: – Zaproszę was do siebie. Też mam parę ładnych antyków. Ale oczywiście – uśmiechnęła się z fałszywą skromnością – nie to, co tutaj.

– Ależ, Fredo... – zaczęła Marika.

A ja, obserwując ogłupiałe spojrzenie Sobiesława skierowane w stronę stołu, wróciłem znowu do tamtej chwili sprzed miesiąca, kiedy po oddaniu rzeczy do przechowalni szliśmy główną ulicą Sztokholmu obok siebie środkiem chodnika w jasnym świetle wczesnego dnia tak pewnie, zamasyście, że usuwano się nam z drogi, w porozpinanych kożuszkach, podkreślających jeszcze naszą zdobywczą niedbałość. Sobiesław – najniższy, ale za to najszerszy, nisko nad czołem zarośnięty, inżynier elektryk – podciągnął wtedy nieco na biodrach gruby wełniany sweter, eksponując swoją bardzo męską budowę, stanowiącą o jego popularności w Warszawie, na które to walory bardzo liczył, przewidując, że w niedługim czasie stanie się przedmiotem kultu autochtonek, z czego coś niecoś spłynąć miało i na nas, bardziej znormalizowanych.

Dwie godziny wcześniej wysiedliśmy z pociągu i wtedy Robert, absolwent ekonomii, studiujący dodatkowo filologię angielską, wciągnął głęboko powietrze i powiedział, że pachnie Zachodem, podobnie jak w samochodzie Anglików, których pilotował w Polsce. Potem poszedł dzwonić do znajomych ojca, piastującego w kraju odpowiedzialne stanowisko w zakładzie naukowym. Oni to zapewnić mieli jemu i Sobiesławowi mieszkanie, dobrze płatną, przyjemną pracę, szybkie kupno samochodu i zdobycie kilkudziesięciu Szwedek, które właśnie mijały nas z lewej i prawej w spódniczkach mini. Z tego ewentualnie część spłynąć miała na mnie, a 'w każdym razie umożliwić mi spędzenie paru tygodni na północny zachód od kraju, co w innych warunkach byłoby niemożliwe. Znajomi Szwedzi, których Robert obwoził Wartburgiem ojca po Polsce, jak się okazało, opuścili Sztokholm na parę dni, co znacznie zmniejszyło nasze szanse na wspólne mieszkanie i w ogóle mieszkanie. Robert zadzwonił więc do znajomego następnego, także absolwenta ekonomii, i ten obiecał mu nocleg, wpraw-

dzie na korytarzu w zaadaptowanej piwnicy, zamieszkałej przez trzech Algierczyków i Turka, ale na razie wydało nam się to dowcipne. Więc nie tracąc jeszcze humoru szliśmy dalej, ciągle na siebie licząc, oglądając ociekające seksem wystawy, na których w najrozmaitszych pozycjach, mniej lub bardziej skutecznie rozebrane, spoglądały z okładek magazynów pary męskie, damskie, rzadziej mieszane, gdzie błyszczał lakierowaną okładką oficjalny organ homoseksualistów „Amigo”, książki proponujące zależnie od ceny sto dwadzieścia, sto czterdzieści lub sto sześćdziesiąt pozycji i fotosy reklamujące filmy pornograficzne, wyświetlane w dwóch kinach w centrum miasta, prezentujące mężczyzn rozebranych całkowicie albo w nausznikach i z książką w ręku, w pełnej gotowości, przed którymi to zdjęciami zamyślił się chwilę Sobiesław. Postanowiliśmy potem, że warto by już zapewnić sobie nocleg.

Z pierwszego piętra doszedł ostry wybuch śmiechu. Obeszliśmy już cały salon dość dokładnie, automatycznie wypowiedziałem kolejny osąd, wchodząc tym razem w słowa Roberta, a wyprzedzając Sobiesława, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że powróciłem już całkowicie do rzeczywistości.

– A Robert mógłby mieć dobrze! Robert jest słodki chłopak – powiedziała Marika. – Mógłby mieć dobrze, gdyby został tu na dłużej albo na jeszcze dłużej.

Potem sprowadziła nas do piwnicy, która właściwie nie była piwnicą, ale pomieszczeniem luksusowym, pokazała nam kombajn do prania, do zmywania i do suszenia, lśniący przyjemnie zsymp do śmieci, powtórzyła, że Robert jest słodki chłopak i że mógłby mieć dobrze, po czym znaleźliśmy się znów na górze i jajowato, poczciwie zaokrąglony Roger rzucił wreszcie hasło do siadania do stołu, do którego ruszyliśmy całą grupą i po celebrowanym dobieraniu miejsc, oszołomieni możliwością nasycenia się, opadliśmy na krzesła. Ja miałem z lewej strony Marikę, z prawej Sobiesława, obok którego siedziała długonoga Anna, która przed chwilą wraz z Harrym zeszła po drewnianych schodach z pierwszego piętra i teraz wywoływała z pamięci znajome polskie zdania, uśmiechając się w stronę ponuro i zachłannie patrzącego na nią Sobiesława.

–To wiek XVIII. – Marika stuknęła zgiętym palcem w efektownie modelowane oparcie mojego krzesła.

Lekko unosząc się wyraziłem podziw i uznanie.

– Co tam? – zwrócił się w naszą stronę Roger. – Może wódeczki? – uśmiechnął się do mnie. – Może śledzika? – zabalansował w stronę pani Fredy.

– *Aurea prima sata est* – wyskandowała pani Freda. – Czy uczą was w szkole łaciny?

Powiedziałem, że uczą, uśmiechnąłem się do Rogera i wychyliłem kieliszek. Robert coś żywo tłumaczył Marice, Sobiesław szybko wychylił jeden po drugim dwa kieliszki i nałożył sobie trzecią porcję karpia. Szwedzi jedli ostrożnie, wytwornie manewrując widelczykami.

– Może wódeczki? – znów mrugnął do mnie Roger. – Może śledzika? – uśmiechnął się do pani Fredy.

– Wazy – zwróciła się do mnie Marika – zaczęłam zbierać dopiero wtedy, kiedy zaprosiła mnie do siebie moja znajoma i pokazała mi swoje. Zrozumiałam ją...

Robert kręcił się niecierpliwie. Sytuacja jego widocznie nie była jeszcze jasna. Harry, odchylony do tyłu, kołysał się niedbale na krześle, potem nagle objął Annę i pocałował ją w usta. Sobiesław zakrztusił się polską wódką eksportową, a ja słuchając, jak Roger znów zwraca się do mnie „Może wódeczki?” i zaraz „Może śledzika?” do pani Fredy, rozgrzany i rozkołysany wypitą wódką, obserwowałem Szwedów, z których trzech miało marynarki niebieskie ze złotymi guzikami, a dwóch szare z flaneli w ciapki, usłyszałem, jak Sobiesław już po raz drugi zwraca się do mnie, wychwalając zalety Anny dosadnie, wyraziście i wysuwa, zwiészony ku mnie, rozmaite przypuszczenia. Wtedy zmrużyłem oczy i powrócił znowu dzień pierwszy, kiedy to postanowiliśmy, że warto już zapewnić sobie nocleg.

Byliśmy jeszcze ciągle pewni siebie, opierając to zaufanie na doświadczeniach warszawskich, i wtedy Robert poprawił okulary, skupił się ogromnie i rzucać począł nienagannym

oksfordzkim akcentem w lewo i w prawo, w stronę ud odsłoniętych i białych włosów, jak zawsze ostro i dowcipnie. Ale nie wywołał żadnego zainteresowania, co Sobiesława zupełnie wytrąciło i zastanawiał się nawet, czy nie warto by którejs trzasnąć, żeby wiedziały, że przyjechali poważni ludzie. Byliśmy już zmęczeni i głodni, całe szczęście, że nie mieliśmy kłopotów finansowych, bo każdy z nas posiadał w kieszeni po pięć dolarów, które oficjalnie pozwolono nam wywieźć, właśnie żebyśmy tych kłopotów nie mieli. Zjedliśmy coś i jeszcze nam prawie połowa została. Poza tym kieszenie wypychały nam polecające listy do cudownie tu poustawianych Polaków i cudzoziemców. W listach tych było napisane: „Cześć, Władek. Załatw wszystko moim dobrym kumplom. Gulwa.” Albo: „Wybacz, że nie pisałem do Ciebie przez dwadzieścia lat, ale proszę Cię serdecznie, pomóż finansowo...” Albo, jak w listach Roberta: „*Dear Sir!*...”, w których dalej najczęściej było słowa „*please*”.

Chyba wtedy zaczęliśmy rozmowę o samochodach. Sobiesław oświadczył, że Volvo Sport albo Ford Mustang, bo niczym innym na Nowym Świecie nie wyskoczysz. Na co Robert, że mówi głupio, bo nie można za ostentacyjnie, właśnie cicho, skromnie a solidnie – Volkswagen, nie najnowszy nawet, inaczej z zawiści nie dadzą w kraju zarobić.

Z kolegą Roberta, który miał nam załatwić mieszkanie, spotkać się mieliśmy dopiero o ósmej – wtedy kończył pracę. Szliśmy więc ciągle ulicami, znacznie już wolniej, i zapięliśmy płaszcze, nawet Sobiesław. Ścigaliśmy wzrokiem drzwi zaopatrzone w fotokomórki, smutniej już próbując z długonogimi. Była trzecia i już ciemno, za parę dni Święta, więc ruch na ulicach większy, mijaliśmy świętych Mikołajów i ludzi-butelki z różnymi reklamowymi napisami. Naraz jedna butelka zatrzymała się i powiedziało: „Cześć, Sobiesław!” Potem zdjęła szyjkę i zobaczyliśmy czołowego polskiego playboya, króla Sopotu z roku sześćdziesiątego piątego, doktora medycyny, który już wtedy jeździł nowym Volkswagenem, przywiezionym właśnie ze Szwecji.

– Dzień dobry panom – przywitał się z nami, bo tylko z Sobiesławem był na ty.

Wtedy Sobiesław zapytał go, co przedstawia, a on odpowiedział uprzejmie, że w tłumaczeniu na polski to będzie mniej więcej „Śniegotox” i że to rozpuszcza śnieg, po czym dodał, że jest to praca dobrze płatna. Długo się zastanawiał, ale w końcu powiedział, że mieliśmy szczęście spotykając go, bo dla dwóch z nas ewentualnie zorganizuje nocleg u pewnej pięćdziesięcioletniej Szwedki, ponieważ sam przeniósł się właśnie do innej, która ma lat sześćdziesiąt, koleżankę w tymże wieku i Forda Mustanga. Potem włożył szyjkę i podprowadził nas kawałek mówiąc, że jest kryzys, zamykają fabryki, praca w barach i restauracjach prawie nierealna – jemu udało się znaleźć coś w restauracji koleżanki właścicielki Forda Mustanga, dodatkowo złapał pracę w reklamie, czyli „Śniegotox”, że Turkom i Arabom nie wynajmują mieszkań, tysiąc Jugosłowian, czyli obywateli kraju, z którym Szwecja ma umowę o wymianie robotników, zawrócono z granicy, na pozwolenie na pracę trzeba w każdym razie czekać miesiąc, a przedtem załatwić zapotrzebowanie, Szwedki nie dają się zaczepić na ulicy, że ewentualnie ułatwi nam sprzedaż wódki, papierosów i dwóch adamaszkowych kopert na kołdry, które przywieźliśmy, że poza reklamą i restauracją roznosi jeszcze gazety od czwartej do szóstej rano i że za dziesięć miesięcy kupuje Triumph'a Spittfire'a, bo lubi sportowe wozy i szybkość.

– ...Czy czytaliście – wzmocnił głos Roger – tę ostatnią wiadomość, że syn króla dostał właśnie naganę za źle oczyszczoną broń?

Teraz długo mówiło się o naganach i pochwałach syna króla, o czym pisały wszystkie gazety, i widziałem, że szwedzcy mieszczanie upajają się tą demokratyczną demonstracją dworu, że ten syn tak normalnie w wojsku, i że ten dwór podziwiają ogromnie. W tę rozmowę włączyli się z prawdziwym ożywieniem także trzej Szwedzi. Obok Robert, dalej starannie ceniując niecierpliwość, nachylił się przymilnie ku Marice i słyszałem słowo Praca we wszystkich przypadkach, odmieniane obok innych, takich jak Przyjaźń, Wdzięczność i Oddanie.

– „A jak poszedł król na wojnę, Grały jemu surmy zbrojne...” Tak, tak. W kraju byłam artystką. Byłam rozrywana. A tu, niestety, sami kupcy – przeciągnęła smutno pani Freda. – W dodatku czasy są dość ciężkie, kryzys...

– A do Polski wrócić to nie? – zakołysał się Sobiesław w stronę Anny.

– Wrócić? – uśmiechnęła się. – Może.

– No właśnie – zaczął – no właśnie. – Urwał, machnął ręką, pochylił się do mnie. – Ja bym ją najpierw tak...

– Może wódeczki? – wychylił się znad stołu Roger. – Może śledzika?

– Zrozumiałam wówczas tę przyjaciółkę i zaprosiłam ją dopiero wtedy, kiedy mogłam jej już swoje wazy pokazać.

Teraz znów rozmawiało się o tym, że syn króla jest w wojsku, że podatki są za duże, a domki najlepiej jest budować w Portugalii. Potem zapytałem Rogera, dlaczego tych trzech Szwedów ma marynarki niebieskie z guzikami złotymi, tamci dwaj w ciapkach, a on na czarno. Na co odpowiedział, że tamci trzej mają Morrisy Austiny czerwone, ci dwaj BMW Automatic białe, a on sam ma Volvo, co zrozumiałem zresztą dopiero później, po paru dniach, kiedy zobaczyłem w największym domu towarowym te niebieskie ze złotym podpisane Austin Morris Red, a obok ciapki podpisane BMW Automatic White. Wiedziałem już wtedy, że to chodzi o zaoszczędzenie czasu Szwedom, żeby się nie zastanawiali, co kupić, bo już się przed nimi zastanowili fachowcy, a oni do fachowców mają zaufanie ogromne. Potem znowu patrzyłem na rozgrzanego, zaczerwienionego Roberta, deklinującego dalej różne słowa, i widziałem, jak się denerwuje, aby ten wieczór nie przeszedł bez wyniku, co go zmuszało do natarczywości, może przesadnej, a on wiedział o tym i dlatego denerwował się jeszcze bardziej, myśląc o powrocie do monotonna śpiewających w jego piwnicy Algierczyków, gdzie sypia głównie na rozłożonych na podłodze „Paris Matchach”, mając pod głową kalendarz „Playboya”. Robert odwiedzał nas co rano w małej kuchni, którą wynajmowaliśmy – zamiast nioonej poprzez wstawienie kozetki na sypialnię. Tłoczyliśmy się na niej w nocy z Sobiesławem, potem, w trójkę, siedzieliśmy na niej z trudem, wolno sącząc mleko i nie żartując zbyt wiele. Sobiesław studiował gazetę podkreślając ogłoszenia o sprzedaży samochodów dotyczące Volvo Sport i Fordów Mustangów. Za ścianą krzątała się gospodyni, oczekująca przybycia malarza, trzydziestoletniego Araba, przeprowadzającego z podejrzaną powolnością remont jej pokoju. Gdyby nie to, że wchodził codziennie z drabiną, sądzilibyśmy, że to pretekst.

Ostatnie trzy tygodnie wykorzystaliśmy na obejrzenie i od strony kuchni większości barów i restauracji w Sztokholmie. Robert miał około stu możliwości zaprezentowania i Oxfordu we frazie zaczynającej się od słów: „*Good morning, sir, my name is Nowak. I'm a job seeker.*” Spotkaliśmy wielu rodaków, serdecznie pytających, co nowego w konsulacie, oraz wzruszającego Jugosłowianina, który dał nam po bułce z serem. Potem znów „*Good morning, sir... przepraszamy za kłopot...*” w stronę niechętnych kucharzy, wyniosłych szefów personelu, współczujących portierów. Cała trudność polegała na tym, że przed nami było już tu morze Hiszpanów, Włochów, Algierczyków, Turków, Jugosłowian, którzy wypełnili szczelnie wszystkie kuchnie barów, restauracji i knajp, tworząc inny, zamknięty świat, w którym Szwedzi pracy nie przyjmą. Oni wszyscy bardzo lubią Szwecję, bo tutaj można dobrze zarobić, ale jest to miłość nie odwzajemniona.

Potem przychodził malarz, bo za ścianą dźwięczał śmiech gospodyni i migał w uchylonych drzwiach kuchni-sypialni przezroczysty szlafroczek mini. Malarz zaczął w końcu przychodzić bez drabiny, i ucieszyliśmy się, że nabrano do nas zaufania.

Sobiesław zatrzymywał się przy Jaguarach, Robert smutnie dopijał mleko – zdrowe i tanie. Zdeponowaliśmy większość listów polecających, otrzymując liczne odpowiedzi. Władek napisał, że Gulwy nie zna, pan Ryszard, że ludzi do łopaty w Szwecji nie brak. Robert dostał dwie linijki po angielsku, gdzie użyto słowa „*sorry*”. Poszedł ze Szwedami, znajomymi swojej rodziny, na lunch, ale musiał sam za siebie zapłacić – na szczęście przezornie zamówił coś

mlecznego. Liczył jeszcze tylko na Rogera i Marikę, których wtedy jeszcze nie odnalazł. Opowiadał nam również o incydencie z Turkiem, któremu sprzedał futrzaną komisową czapę i który podpierając się Algierczykami zdarł z niego bezlitośnie. Sobiesław przerzucił się na Mercedesy 220 Automatic i obliczał, że jeśli popracuje przez rok na trzech posadach zaczynając od jutra i ograniczając pożywienie do mleka oraz nie płacąc za mieszkanie, „to w Warszawie – rozmarzał się, twarz mu łagodniała – jadę Nowym Światem, obok mnie modelka, z tyłu dwie modelki i pies, zły wilk. Jedziemy sobie, rejestracja zachodnia, wszyscy stają, milicjant się uśmiecha.”

– „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei” – zaczęła melancholijnie pani Freda.

– „I przed narodem niosą oświaty kaganiec” – uśmiechnąłem się do pani Fredy, ponieważ uświadomiłem sobie nagle, że jestem o wiele za mało sympatyczny i że chociaż moja rodzina nie pomogła, to jednakże mimo wszystko znajomi Roberta mogliby ewentualnie nieco wyjaśnić naszą sytuację, skoro już zaprosili nas tutaj na Wigilię razem z nimi.

– „Podaj mi rączkę, trumienko. Konik wędzidło gryzie, chrapami świszczę” – znów zaatakowała pani Freda. – To jest Grochowiak – rozmarzyła się. – Był tutaj i zostawił mi książkę na pamiątkę. – Potem zaintonowała kolędę, my za nią uprzejmie wraz z resztą Polaków. Szwedzi mruzcili ją także. Jeszcze zanim zaczęto dawać sobie prezenty, wydarzyła się przykra scena z Sobiesławem, któremu pomyliły się kierunki, bo wypił już o wiele za dużo, i pochyliwszy się, zamiast do mnie, w stronę Anny – odkarmionej, długonogiej studentki architektury w Sztokholmie – zaczął się zwierzać jej zamiast mnie, co by z nią właśnie, taką odkarmioną, szeroką w tyłku, zrobił, gdyby ją gdzieś na boku wywrócił. Ale cała rzecz dała się jakoś załagodzić i teraz nadszedł czas prezentów.

Syn gospodyni dostał więc kwit na zapłacony samochód typu Porsche, czego się spodziewał, więc się nie ucieszył. Anna otrzymała jakieś futro i pantofle, reszta obsypywała się podobnie. Ja i Sobiesław nie dostaliśmy nic, a Robert portfel, ale pusty, co mnie zresztą rozśmieszyło. Potem mówiło się o synu króla, podatkach, willach i wakacjach.

Wracaliśmy przez miasto o północy i Sztokholm był zupełnie pusty. Robert miał prawie pewność otrzymania pracy, a ja niejake nadzieje. Sobiesław wypadł najslabiej.

II

Godzina siódma rano. Udało mi się nadzwyczajnie i stoję już w kuchni baru, mając po lewej Algierczyka, a po prawej Turka. Stoję wpatrzony w taśmę, a właściwie w okienko, przez które brudne naczynia z baru wjeżdżają do nas. Trzeba je zdejmować, posortować – oddzielnie talerze, talerzyki, łyżki, noże itp., postawić na tacach, wsunąć na następną taśmę, która wjeżdża do maszyny zmywającej. Turek odbiera po umyciu, Algierczyk płucze ogromne gary za pomocą patentowego gumowego węża. Patent jest nie najlepszy i wąż przepuszcza, tak że wszyscy jesteśmy opryskani, a podłoga zalana.

Robert ma jeszcze większe szczęście: w instytucie naukowym ściga zbiegłe z klatek myszy, dopędzone w sterylnych, lśniących wnętrzach likwiduje uzbrojony w ogromne rękawice, ujmując zwierzę za ogon i łepkę i stosując łagodny ruch dłońmi w strony przeciwne. Sobiesław powiedział, że nie wzięłby takiej pracy mouse-killera, bo lubi zwierzęta, ale oczywiście była to zawiść, ponieważ Robert nie tylko je likwidował, ale także karmił, zmieniał im słomę, dawał wodę, szorował klatki przez dziewięć godzin dziennie i mógł być dla nich dobry. Sobiesław w ogóle był nieswój, bo okazało się, że tamta architektka też śpi na kanapie, jeszcze węższej niż nasza, i że się odchudza.

To rozegrało się wieczorem, pięć dni temu, przed samą Wigilią. Robert wtedy podniósł się i zaproponował, żebyśmy się przeszli. Ale myśmy mieli plany inne: zażyć po dwa proszki

elenium 0,1 mg i spać, dzięki czemu problem kolacji byłby zlikwidowany. Powiedziałem więc, że nie. Robert spojrział z nienawiścią na dojeżdżającego teraz Mercedesem 220 SE do Nieporętu Sobiesława i wyszedł. Wydobyłem proszki i wtedy gospodyni oznajmiła nam, że jest do nas telefon. Telefon był czynny tylko w jedną stronę – z miasta do nas, bo gospodyni obawiała się, żebyśmy go nie nadużywali, a za mieszkanie płaciliśmy rzeczywiście nie tak znów dużo. Dzwonił przyjaciel Sobiesława, bottleman, „Sniegotox”. Odrzuciłem proszki i już w pół godziny później byliśmy na małym przyjęciu u polskich architektów, którzy pracowali tu w swoim zawodzie; ale, niestety, tylko pili wino, a do jedzenia nie było nic. Puścili muzykę i tańczyli – osób było ze dwadzieścia – ja skupiłem się na paczce herbatników, nie osłabiałem się tańcem, natomiast wirował Sobiesław z ogromną, grubą architektką, w przerwie mrugając do mnie, że ona musi się nieźle odżywiać. Potem zniknęli razem, ja zorientowałem się za późno, kiedy metro już nie chodziło, a miejsca w samochodach były zarezerwowane, ale nawet dość szybko mi zleciało tych pięć kilometrów po śniegu piechotą. Na rano byłem umówiony z Robertem w celu zwizytowania nowo odkrytej restauracji, której kucharz miał podobno słabość do Polaków. Potem wrócił Sobiesław z pretensjami.

Godzina jedenasta trzydzieści. Pora lunchu. Taśmy w nieustannym ruchu. Talerze dwoją się, troją, rosną w góry, widelce sypią się na mnie, ręce drętwieją, nogi drętwieją, a maszyna jednak staje – to moja wina: nie zdążyłem zdejmować z taśmy. Ocieram pot, strząsam wodę, w okienku wychodzącym na salę ponad taśmę i talerzami zdenerwowana twarz Finki, która ma pracę ekskluzywną, wyżej płatną, bo wyłącznie zbiera talerze, w związku z czym dostrzega mnie tylko, jeśli nie nadażam. Talerze na lewo, łyżeczki na prawo, talerzyki bardziej w lewo, szklanki jeszcze bardziej w lewo – mam zupełnie mokre włosy, patrzę na zegarek; minęło pół godziny. Główne nasilenie ruchu trwa do drugiej. Potem można na chwilę usiąść. Ale tylko na chwilę i tak, żeby szef nie zauważył. Szef się niby nie interesuje, ale wie wszystko. Nikogo nie ponagla, nigdy nie podnosi głosu, po prostu – zwalnia. Od ręki, bez ostrzeżenia. W związku z czym nie potrzebuje ponaglać. Ja pracuję nielegalnie, bez zezwolenia władz, dzięki wysokiej protekcji brata Mariki, więc staram się nie usiąść.

Godzina czternasta trzydzieści. Ruch znacznie mniejszy. Praca w barze wiąże się z prawem do darmowego jedzenia, ale tu nowa komplikacja: jestem za bardzo zmęczony, nie mam sił jeść, a wynosić nie wolno – co będzie z kolacją? Dziś pracuję do piętnastej, więc pięć po trzeciej zrzucam uniform pomywaczki – pasiasta za mała bluza, kraciaste spodnie – i zataczam się w stronę wyjścia. Jeszcze tylko dziękczynny uśmiech w stronę kierownika: „*Good bye, sir*”, drugi ukłon w stronę kucharzy, próba uśmiechu do bardzo wysoko notowanej w hierarchii służbowej kasjerki, i wypadam na dwór. Parę metrów dalej siadam na oblodzonych schodkach. Zastanawia mnie bottleman, po takiej pracy chodzący jako „Sniegotox” i jeszcze w nocy roznoszący gazety. Odpocznie za rok w Spitfirze.

W domu umówiłem się na czwartą. Sobiesław piecze kaczkę. Sobiesław jest załamany. Poszedł przedwczoraj odwiedzić kolegę bottlemana, mieszkającego u właścicielki Forda Mustanga, i został na dłużej. Bottleman ma nawet o to do niego trochę pretensji. Sobiesław też nie jest szczęśliwy. Ona obiecała mu poszukać pracy w kuchni – jeszcze pracy! Na razie nic go nie posuwa do przodu. Przywiozła go pół godziny temu Fordem Mustangiem i za pół godziny wróci po niego Fordem Mustangiem. Tyle że miał dostęp do lodówki, i stąd ta kaczka.

Ja dziś pracuję od trzynastej do dwudziestej drugiej. Na razie wypoczywam. Wczoraj pracowałem już drugi dzień – odszedł Algierczyk i Turek, przyszło dwóch Hiszpanów. Szef poklepał mnie po plecach i powiedział: „*Good boy*”. Jest w moim wieku. Jeden Hiszpan ma czterdzieści lat, jest bardzo drobny i przewraca się pod garami. Ja jestem faworytem szefa i starszym kuchni. Porozumieć się z Hiszpanami nie mogę, więc rzucam tylko dwa słowa, które rozumieją i oni, i ja, a które akurat mają duże zastosowanie: „*Arbeiten, amigo!*” Malutkiego Hiszpana trochę mi żal, ale sam się muszę oszczędzać, żeby móc coś zjeść, więc znowu: „Pracuj, przyjacielu.” Szef ma do mnie zaufanie, wczoraj dał mi klucz do ubikacji. Rozparłem

się wygodnie i urwałem dziesięć minut. Hiszpanie klucza nie mają. Takie jest życie! „Pracuj, *amigo*, pracuj.” Postanawiam ostatecznie: jeszcze tylko dziś.

Sobiesław smutny kroi kaczkę. – Wróciłbym może bez wozu – mówi – ale to pełna kompromitacja, a tak, jakbym dostał pracę jutro, mleko... mieszkanie już mam za darmo, to po roku wóz Świętego, tenis, basen Legii, herbata w „Bristolu”, ptysie, łatwe życie.

Robert wolno żuje skrzydełko. Poznał jedną młodą Szwedkę wczoraj u siebie w pracy. Oxford podział, niby miło, ale wymęczył się, a rano stracił pracę – zlikwidował niewłaściwe myszy. Roger i Marika, którym jego rodzina..., już go nie zapraszają. W ogóle w myszach zmieniają personel. Ten znajomy Polak, który z nim pracował i już miał odłożone na Volkswagena 1200 z sześćdziesiątego roku, ale z silnikiem 1300 po 30 000 km, dostał szoku, chyba z wyczerpania, poszedł do szpitala, a nie miał pozwolenia na pracę, więc płaci za szpital i już ten Volkswagen odjeżdża. Potem Robert opowiada o Szwedce – jednak od czasów Strindberga obyczajowość się tutaj nieco zmieniła. Słucham więc, jak ta dziewczyna przeprowadza niepewnego Roberta do domu, wymiana grzeczności z rodziną, precyzyjnie prowadzony przez ilustrowany magazyn akt i ciepłe pożegnanie. Dorośli są poinformowani, że powinni być wyrozumiali, i są wyrozumiali.

Już zaraz zatrąbi Ford Mustang, więc Sobiesław szybko kończy kaczkę i mówi, że ona mu chyba tego Forda Mustanga nie da. – Chyba nie da, jak myślisz? – Patrzy na mnie z nadzieją, ale mówię mu bezlitośnie, że nie da, i on kiwa smutnie głową, bo przecież wie to sam, w ogóle nikt tu nikomu nic nie daje, więc dorzuca jeszcze, że nic go to nie posuwa, bo ona mu tej pracy może nie znajdzie, na co pocieszam go, że ja dziś idę ostatni dzień, bo wracam. – Dlaczego? – pyta Sobiesław. Odpowiadam, że się zmęczyłem. Więc rozpromienia się jeszcze niedowierzająco, na co Robert, że dlaczego niby – skoro rzeczywiście chcę wracać, co jest nonsensem – odstępuję pracę Sobiesławowi, podczas gdy on śpi na tym papierze. Więc załagadam, że się jeszcze naradzimy. Wtedy trąbi Ford Mustang, Sobiesław żegna się i wychodzi, a w chwilę później gospodyni prosi nas do telefonu. A to dzwonią właśnie trzej playboye z Warszawy, którzy przyjechali tutaj kupić samochód i pytają, czy nie mamy dla nich pracy i mieszkania. Wyjaśniamy, że nie mamy, ale nie wierzą nam, wymyślają i rzucają słuchawkę. Potem wchodzi gospodyni i mówi, że właśnie ten malarz, Arab, będzie teraz odnawiał kuchnię, więc niestety będziemy musieli zacząć nocować gdzie indziej, ale dziś jeszcze możemy. Sprawdzam czy nie zgubiłem biletu powrotnego, wyrobił mi się taki nerwowy tik, i zaczynamy się ubierać. Robert kładzie do kieszeni gazetę z podkreślonymi ogłoszeniami o sprzedaży Volkswagenów z pięćdziesiątego ósmego i pięćdziesiątego dziewiątego roku.

KONGO NA KUBUSIA PUCHATKA

Dwadzieścia po ósmej. Poprawiłem się w fotelu i uśmiechnąłem się do przechodzącej z nowymi taśmami ciotki, starając się, aby w uśmiechu tym było możliwie dużo podziwu i sympatii. Ciotka przeszła obojętnie, podnosząc spojrzeniem siedzącego w głębi, obok wysuszonej, długiej angielskiej dziennikarki, wuja Leona, który zaraz wstał i zaczął przesuwając coś w projektorze. Uważnie zakładał taśmę. Słabe światło małej ściennej lampy podkreślało chudość jego twarzy.

– Co z Agą? – skrzywił się ciężko w moją stronę dyrektor, ojciec Agi, mój teść. – Przecież umówiliście się tutaj? O siódmej – spojrzał karcąco. – To bardzo nieprzyjemne wobec Blanki i Leona. Zależało im na Adze dzisiaj. Będą dotknięci.

– Postanowiłam nie zapalać dużego światła – ciotka zatrzymała się przy fotelu dyrektora – bo chociaż szybciej poszłoby przygotowanie projektora i nowych taśm, rozbiłoby to absolutnie nastrój. Leonie, przetłumacz! – Uśmiechnęła się serdecznie do Angielki, poznanej parę dni temu korespondentki liberalnego tygodnika, którą wprowadzała właśnie w życie typowo polskiej rodziny. – Eryku, bądź łaskaw sprawdzić, czy ktoś czasem nie dzwoni.

– Już sprawdzam, mam. – Dziesięcioletni, drobny, ze starannie wypracowanym przedziałkiem, podniósł się szybko z puszystego dywanu, gdzie został uprzednio zakomponowany, wygładził garniturek w modną kratę i uśmiechając się sympatycznie, zniknął w hallu.

Ta pokazówka była właściwie zupełnie niepotrzebna, bo dla nas nienaganne maniery Eryka i wymyślna uprzejmość ciotki nie były zaskoczeniem. Angielka zaś nie mogła ich w pełni docenić. Ale ciotka nie umiała sobie odmówić zaprezentowania swojej szkoły, poza tym świetny pretekst dawało spóźnienie Agi. Wygrywała więc trzy rzeczy: Eryka, oczekiwanie na Agę, niechęć do mnie – nie byłem w stanie przyprowadzić punktualnie Agi.

– Nie, mam, obawiam się, że się omyliłaś... – Znów uśmiechnięta sympatycznie twarz Eryka.

– Dziękuję ci, może usiądziesz. Chyba rozpoczniemy. Ciąg dalszy: nasz powtórny przyjazd do Konga. Kasuję światło. Leonie, proszę.

Na ścianie poruszał się egzotyczny ogród, potem długi dziwaczny domek z werandą.

– Oto nasz bungalow. Przetłumacz, Leonie.

– *Oh, bungalow* – ucieszyła się Angielka.

– Co jest z Agą? – zmów ciężki zwrot dyrektora w moją stronę. – Chcę potem z tobą porozmawiać – mówi szeptem.

Kiwam głową, uśmiecham się na znak, że chętnie, i udaję, że uważnie przyglądam się kolorowym obrazkom biegnącym po ścianie, wyczarowanym przez superkamerę japońską, bezszmerową, z kompletem obiektywów i filtrów za trzysta dolarów, na superbłonie kolorowej

angielskiej, kupionej w Kongo. Wpatruję się więc w ścianę, ozdobioną kongijskim bungalowem, i zastanawiam się, co jest z Agą, czy przyjdzie, zastanawiam się, czy ten reżyser z filmu po wczorajszej rozmowie złamie się, czy też będzie dalej ciągnął sprawę, co by mogło mieć dla mnie najgorsze następstwa, o których nawet nie bardzo chciałem myśleć. Tak naprawdę to byłem prawie pewny, że się wycofa. W końcu mógł uwierzyć, że kogoś na niego napuszczę albo sam mu zrobię jakąś przykrość. Wyglądał na człowieka ostrożnego, który się zawsze zastanawia i każdą rzecz ogląda z kilku stron. To mi się nawet w nim podobało podczas wczorajszej rozmowy w najwytworniejszej kawiarni Hotelu, przeznaczonej zasadniczo tylko dla gości zagranicznych, że nie oburzył się, nie zerwał, nie przewrócił kawy, tylko patrzył na mnie z namysłem. Ja go świetnie pamiętałem i on też mnie powinien pamiętać sprzed paru lat, kiedy jeszcze nie pracowałem w Instytucji jako kierownik działu, przed ślubem z Agą. Widział mnie wtedy w tej samej kawiarni w dość groźnych zestawach z Bombą, Naleśnikiem i – właśnie z tamtego czasu i za tamte sprawy, a nie za moją obecną pracę, samochód i koszule non-iron miał dla mnie ostrożny szacunek. Wtedy zresztą inaczej też na mnie patrzyła Aga, z podziwem i oddaniem, właśnie w tej kawiarni. Kiedy ja byłem ostry, zimny i zastanawiałem się nad nią, nad jej ojcem i tą pracą. Zastanawiałem się spokojnie, bo miałem świetną pozycję wyjściową i dużo do stracenia. Kiwałem głową znajomym – było ich bardzo dużo – a ona odwracała się ciągle, wyłapywała spojrzenia kobiet, które uzupełniałem informacjami: marka samochodu, miejsce pracy ojca, położenie willi. Rzucąłem jej to, czasem przesadzając, i wiedziałem, że ją to złości, denerwuje, upokarza, widziałem, że chce się podnieść i wyjść. Raz nawet wyszła, ale już po dziesięciu minutach przywitałem ją spokojnym uśmiechem. Kupiła sobie wkrótce zamszowy kostium i krótko obcięła włosy. Chodzenia śmiesznym, energicznym krokiem oduczyłem ją dopiero potem, już po ślubie.

– A to jest nasz następny bungalow, już po przeprowadzce, ale przed okradzeniem, do którego jeszcze powrócę. Leon, przetłumacz.

– *Interesting* – uśmiechnęła się sucha Angielka w za dużych okularach. Korespondentka szanowanej gazety londyńskiej, poznająca życie polskiej rodziny, zorganizowana przez ciotkę w samolocie i odtąd za pośrednictwem Leona włączona w rytm jej zajęć jako moment nowy, a już niezbędny. Oglądała więc teraz, wystając sztywno z fotela, w tweedowej spódnicy odsłaniającej suche kolana, jak na zabarwionej ścianie w egzotycznej scenerii ciotka, przygarbiona, z ciężkimi wiszącymi piersiami i siwymi włosami, biegnie opięta w skąpy kostium kąpielowy, a za nią wolno idzie wuj Leon, lekarz polski w Kongo, doktor Judym na dwuletniej dewizowej umowie, w krótkich spodenkach, przykryty kolorowym kapeluszem. Idą w stronę bungalowu, przed którym na werandzie buja się w hamaku Eryk. W drzwiach staje czarny służący.

– Bardzo się z tego bungalowu cieszymy. A to jest służący, którego podejrzewamy o kradzież – już o niej wspominałam. Przetłumacz, Leonie.

– To wprost wspaniałe – zachrypiał dyrektor w stronę swojej siostry. – Siedzimy w domu, na naszej ziemi, ulica Puchatka Kubusia, śnieg za oknami, a tu Kongo, a w nim nasza rodzina.

Ciotka aprobująco kiwnęła głową. – Ładnie to powiedziałeś. – I po chwili namysłu: – To też, Leonie, przetłumacz.

Teraz szary Ford Mustang, kupiony za pierwsze dewizy, na tuzin rat, miękko sunie przez busz.

– Busz – wyjaśnia ciotka.

Celowo omija mnie wzrokiem. Nie widzi ciepłego, pełnego oddania uśmiechu. Teraz, po skomplikowaniu się sytuacji z Agą, starałem się ją na różne sposoby pozyskać, przychodziłem na wszystkie wieczory po ich powrocie z Konga, zawsze brałem jej stronę przeciw Leonowi, ale ona mi nie mogła zapomnieć kpín z jej wiedzy o życiu i z zachłanności na ludzki podziw. Nienawidziła mnie prawie za odciąganie od niej Agi. Nie mogła wybaczyć bratu, że zgodził się na nasz ślub, nie wierzyła – tu zresztą miała wyjątkowo trochę racji – w moje

zdolności. Dawniej mi to wszystko było obojętne, ale teraz. Więc uśmiechałem się i pomagałem jej tępić Leona, zawsze pozostającego w jej cieniu, miłego, porządnego człowieka, którego lubiłem, a który przekreślił się ostatecznie krótkim, nieudanym romansem w Kongo, przerwany przez przyjazd ciotki. Ciotka uznała go od tego czasu za nienormalnego i nie dopuściła do przedłużenia kontraktu. Współczułem mu, ale nie stać mnie było na żadną filantropię. Dyrektor liczył się z siostrą. Musiałem też bardzo uważać na Eryka, jego zdolności taktyczne zacząłem doceniać dopiero po powrocie z Jugosławii – świetnie wyczuwał nastroje, wygrywał uczucia i bezlitośnie, celnie donosił. Sprawę załatwił dopiero rower. Czuję do siebie wstręt, bo szczeniaka nienawidziłem, ale uznałem to za potrzebne. Aga zaczęła mi się wymykać w Jugosławii; nie miałem wtedy żadnych podejrzeń i nie wyczuwałem niebezpieczeństwa. Było dużo słońca, pięknie się opaliłem, utyłem trochę, ale wyglądałem jeszcze bardzo efektownie. Ciotka ćwiczyła Eryka w konwencjach, ja rozmawiałem z dyrektorem – potężnym, wylewającym się z elastycznych spodenek – o sprawach Instytucji, w której miałem już własny pokój, nie bardzo nawet daleko od jego gabinetu, i szybko kończyłem przerwane studia, za co mi Instytucja płaciła stypendium.

Aga nie miała nad morzem humoru, ale ciągle nie było jeszcze źle, było ciepło i wygodnie. Myślałem o koledze ze studiów, którego przed tym wszystkim odwiedziłem w Instytucji i wychodząc od niego zobaczyłem, po raz pierwszy, idącą do ojca Agę. Ona mnie wyraźnie zauważyła, a ten kolega skłonił się z podziwem, oczy mu zabłyśły i zaczął mówić o niej, rozmarzając się płaczliwie coraz bardziej, nie widząc dla siebie ani dla nikogo żadnych szans, a ja patrzyłem na nią i zastanawiałem się. Potem, na początku znajomości z Agą, widziałem jego nie ukrywaną niechęć i zazdrość, zastąpioną jeszcze później ogromną serdecznością. Myślałem o tym wszystkim, oddychając dewizowym powietrzem, mocząc się w Adriatyku i gawędząc nad koniakiem z dyrektorem, który brał mnie często pod rękę i chodziliśmy wieczorami na spacer, obaj w tropikowych garniturach, on w ciemniejszym, i słuchałem jego opowiadań o pierwszych latach Instytucji, o okupacji. Nawet przyzwyczałem się do niego trochę. Chodziliśmy, jak wypadało, zawsze sami na męskie rozmowy. Kiedy wracałem, Aga zwykle spała. Potem dopiero powiedziała mi, że udawała.

Ostrzejszy, wibrujący głos ciotki: – A oto konkubina Leona. Leon, przetłumacz.

– Daj spokój, proszę – Leon zszarzał na twarzy jeszcze bardziej. – Proszę – powiedział trochę piskliwie.

– Tłumacz, proszę. Nie wstydzę się niczego w moim życiu i nie widzę powodu, żebym miała cokolwiek ukrywać.

Szczupła, najwyżej trzydziestoletnia brunetka w obcisłych spodniach uśmiechała się na ścianie do rozpromienionego Leona.

– Inaczej ja będę musiała zacząć tłumaczyć albo Eryk.

Uczył się przecież dwa lata. To też przetłumacz.

– Ma charakter – uśmiechnął się dyrektor w moją stronę. – Trzeba jej to przyznać. Zawsze taka była – wziął mnie na moment jak dawniej za ramię – proszę cię, od dziecka.

Wuj ciągle jeszcze milczał, już nawet zacząłem myśleć, że spróbuje się zbuntować, chociaż oczywiście był zupełnie bez szans. Ale nagle załamał się i zaczął mówić.

– Oho! – roześmiała się Angielka w stronę ciotki, mrużąc oko.

Ciotka również uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo i też zmrużyła oko. Tymczasem projektor, ustawiony przez wuja Leona na specjalnej półce, wymienił już obraz na ścianie na zupełnie neutralny. Leon podniósł się nagle, niezręcznie wymijając fotele przeszedł przez pokój i zniknął w korytarzu. Angielka znów uśmiechnęła się do ciotki, ciotka jej odpowiedziała. Dyrektor się roześmiał, a za nim ja, czego bym, gdyby nie trudna sytuacja, raczej nie zrobił.

– Eryku, bądź łaskaw sprawdzić, czy nasza herbata już się zaparzyła – popisała się ciotka.
– I przyprowadź z powrotem swego ojca.

– Już idę, mam – uśmiechnięty Eryk wysunął się z pokoju.

Potem, po Jugosławii i jeszcze po Rumunii, sprawa z Agą zaczęła nagle wyglądać konkretnie. Skończyła architekturę, mówiła o wielu zajęciach na mieście, często wychodziła z domu. Mnie to nawet nie bardzo przeszkadzało, odwiedzałem dyrektora, pisałem pracę dyplomową, co jakiś czas robiłem sobie trochę gimnastyki w klubie, gdzie dawniej podnosiłem ciężary. Poza tym lubiłem siedzieć w domu sam, mieszkaliśmy ładnie, nowe bloki, Saska Kępa, siódme piętro, widok na Wisłę. Wszystko było proste, a dawne sprawy, znajomości i napięta ostrość sprzed ślubu odsuwały się coraz dalej, robiły prawie nierealne. Potem dowiedziałem się, że Agę widywano ciągle z pewnym znanym architektem, że widywano ich na dansingach w Hotelu i potem w jego samochodzie. Przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że ludzie się zmieniają, i tego samego wieczoru, kiedy wróciła do domu, powiedziałem jej o wszystkim z uśmiechem, pogardliwie, lekceważąco cedząc słowa, a ona stała jeszcze w palcie w dużym hallu naszego mieszkania i nie mówiła na razie nic. Wtedy wymiñałem ją, trzasnąłem drzwiami i zbiegłem z siódmego piętra, czekając ciągle, nasłuchując jej wołania i stuku obcasów. Potem czekałem jeszcze chwilę przed domem, zanim wyprowadziłem Volkswagena z wygodnie pod domem usytuowanego garażu i pojechałem do kawiarni w Hotelu. W kawiarni przysiadłem się do paru znajomych osób – szykowali się gdzieś na wieczór, rozmawiali o innych znajomych, tych, którzy już tu nie przychodzą, poszli w górę albo w dół. Zostało już nie tak wielu. Mnie uważali za tego, który poszedł w górę. Pytali o Volkswagena – słuchałem coraz mniej uważnie, zastanawiając się, dlaczego przegrałem rozmowę z Agą, dlaczego za mną nie wybiegła, i wtedy pierwszy raz zacząłem myśleć o różnych konsekwencjach. Potem wyszedłem, chociaż serdecznie mnie zapraszali, ale ja wtedy już w myślach rozgrywałem sprawę z Agą, a ich zaproszenia też były inne, za serdeczne. Więc wróciłem do domu, odstawiłem samochód do garażu. W windzie przejrzałem się uważnie w lustrze, patrzyłem na cofnięte włosy i poszerzoną twarz, potem szybko odsunąłem się i już przed samym zatrzymaniem windy spróbowałem wyprowadzić parę ciosów.

Podniosłem ją krzykiem na nogi, ona też zaczęła krzyczeć, uderzyłem ją, kiedy powiedziała, że ją oszukałem. Cofnęła się i przestała mówić. Zrobiła się bardzo spokojna i szła w stronę drzwi. Zrozumiałem, o co jej chodzi. Wyczułem, że to uderzenie ułatwia jej sytuację, więc złapałem ją za rękę i uderzyłem drugi raz, mocno, i wtedy wreszcie zaczęła płakać. Byłem strasznie zdenerwowany, ale poczułem wielką ulgę, i rzeczywiście, nie chciała już wyjść. Rozmawialiśmy potem długo, wtedy jeszcze opanowałem sytuację. Przez jakiś czas nie wypuszczałem jej samej, chodziliśmy razem do Hotelu, spotykaliśmy architekta, ale on wycofał się zupełnie – miałem jednak metr osiemdziesiąt pięć i podkreślone marynarką szerokie ramiona. Zresztą Aga już nie traktowała go poważnie.

– Na tym na razie kończymy. Leonie, proszę o światło. Zmrużyłem oczy, zaatakowane nagłym błyskiem przemyślnie umieszczonych żarówek.

– Teraz będzie herbata, wieczorna herbata nie tylko w Anglii jest instytucją. Przetłumacz, Leonie. Eryku, bądź łaskaw sprawdzić, czy ktoś nie dzwonił. Nie? To zabawne. Mam po tej Afryce słuchowe fantasmagorie. Jaka szkoda, że Aga straciła dzisiejszy wieczór. – To już powiedziała ciotka do mnie, ale nade mną.

– Zupełnie nie rozumiem – rozłożyłem bezradnie ręce. Dyrektor dystyngowanym ruchem podciągając mankiet ukazał złoty kwadratowy zegarek ze stoperem i kalendarzem. – Dziewiąta godzina, ależ nam zleciało!

Wuj Leon wrócił z kuchni manewrując egzotyczną tacą z dziwacznie drażonymi filiżankami. Parowała w nich herbata zakupiona w drodze powrotnej s t a m t a d. Angielka spróbowała i nadała twarzy wyraz zachwytu. Potem coś szybko mówiła do Leona.

– Chodzi o tę historię z czasów okupacji... – zaczął Leon.

– Rozumiem – przerwała ciotka. – Obiecałeś – uśmiechnęła się do dyrektora.

– No, no. Czy uważasz, doprawdy, że to interesujące? – skromnie skrzywił się dyrektor.

Angielka wyciągnęła z torebki zgrabny bloczek z wybitym na wierzchu tytułem liberalnego tygodnika. Pod uważnym spojrzeniem ciotki pociągnąłem mały łyk herbaty i prawie dorównałem Angielce zachwyconym uśmiechem. Dyrektor mógł opowiedzieć jak zawsze jedną z trzech historii: o gołębiarzu, o czołgach i o granacie. Byłem nawet ciekaw, którą wybierze. Stosunkowo najznośniejsza była o czołgu. Dyrektor, pogodnie uśmiechnięty, spojrzał kokieteryjnie na Angielkę, kreśląc wstępne uwagi srebrzystym długopisem.

– Tylko, rozumie się, bez nazwisk. *Without names*, rozumie się.

– *Of course* – kiwnęła ze zrozumieniem głową Angielka.

– Przypomnij jeszcze, Leonie, że my, niestety, spędziliśmy okupację w Rumunii.

– Stoję więc w oknie piątego piętra – płynnie, z wprawą zaczął dyrektor – pode mną barykada, za nią Niemcy. Chaos, pożary. Repetuję, strzelam, repetuję, strzelam, łuski się sypią... Nagle gołębiarz!...

Piętnaście po dziewiątej. Aga może już być w domu. Ciekawe, jak wyglądała ich rozmowa. Ciekawe – to określenie trochę za słabe, jeżeli chodzi o moją sytuację. Bo na pewno poszła się z nim spotkać. Oczywiście, on mógł w ogóle nie przyjść, sądzę jednak, że przyszedł. Wczoraj, podczas rozmowy w Hotelu, powiedział mi, że przeżył wojnę, latał nad Anglią, a teraz ma dość spraw i problemów i uważa, że mu się to należy. To brzmiało obiecująco. Wyglądało, że dał się trochę zastraszyć. Przewidywał zresztą kłopoty raczej słusznie, bo sytuacja była teraz krytyczna. Od momentu kiedy pojawiło się słowo: rozwód, musiałem coś przeciw niemu wymyślić. Równocześnie zaczęła zaostrzać się sytuacja w Instytucji. Wcale nie były przypadkiem coraz krótsze, surowsze rozmowy z dyrektorem, który jednak coś wyczuwał, i nie opowiadał mi już o czołgu. Dlatego powiedziałem szczerze reżyserowi na jego: że Agę lubi, ceni i szanuje i przy niej naprawdę odpoczywa, że dla mnie znaczy ona o wiele więcej, stąd moje na razie uprzejme propozycje, żeby się zgubił. Przed sprawą z reżyserem dyrektor radził tylko, bo też do niego coś niecoś dochodziło, oczywiście, nie ode mnie, ale radził dość serdecznie, potem bardzo ochłódl. To była też działalność ciotki, która wyczuwała wszystko o wiele lepiej. Jakies pół roku temu, kiedy powtórzyła się historia z architektem, wpadłem na pomysł, żeby wykorzystać swojego ojca. Mieszkał sam po wymianie mieszkań, miał emeryturę i paczki od matki ze Stanów, z których dawniej urywałem sporo, a teraz już nie musiałem. Ojciec pisywał również anonimy, najpierw dla przyjemności, z żalu do ludzi i do matki, potem już prawie zawodowo, na zamówienia sąsiadów. Dawali mu za to prezenty i dziękowali. Poprosiłem więc, żeby na Agę napisał, że dziwka, i coś w tym rodzaju. Zrobiłem mu wielką przyjemność, bo miał do mnie żal, że go rzadko odwiedzam i nie proszę o rady, a sam pokazałem anonim Adze.

– Proszę, co piszą! – Ona zaczęła się śmiać, chociaż anonim był zupełnie zgrabny. Powiedziała, że ludzie się zmieniają, więc ona i ja też się zmieniamy, bardzo zmieniamy. Śmiała się jednak trochę boleśnie i widać było, że wrażenie to na niej zrobiło. Potem znów trochę wychodziliśmy razem, poprawiły się stosunki w Instytucji, zrobiłem dyplom i wymieniłem Volkswagena na nowszy model. I dopiero wtedy zaczęła się sprawa reżysera.

– Zupełnie ostygła ci herbata – ostry, karcący szept ciotki.

– Rzeczywiście – szybko podniosłem filiżankę. Złapałem ciepłe spojrzenie Leona, który coraz bardziej zaczynał czuć się ze mną solidarny. Zupełnie mnie to nie cieszyło.

– ...I wtedy zza zakrętu wyjeżdża na nas kompania czołgów...

Więc skończył już z gołębiarzem. Angielka pilnie notowała, dyrektor miał zaczerwienioną twarz i niezgrabnie machał rękoma. Poprawiłem się w fotelu. Było w pół do dziesiątej. Czuliśmy wzrastające napięcie. Coraz niecierpliwiej czekałem na dzwonek u drzwi albo telefon. Dyrektor przechodził już do trzeciej, ostatniej historii, wuj z porozumiewawczym uśmiechem podsunął mi ciasteczka, ciotka rozłożyła przed Erykiem ilustrowany angielski album, po czym z pewnym roztargnieniem rozejrzała się po pokoju, szukając następnej atrakcji, gdyż dyrektor wyraźnie zbliżał się do końca. Ja wiedziałem już, że Aga nie przyjdzie, i zastana-

wiałem się, czym naprawdę mogę zagrozić reżyserowi, jeżeli się nie wycofa. A wszystkie pomysły wydawały mi się głupie i nieprzydatne, nawet ten z pobiciem. I powróciła znowu myśl, że źle postawiłem, od samego początku źle postawiłem, i wtedy poczułem, że wilgotnieją mi ręce i ogarnia mnie wielka złość i żal. Potem zmusiłem się, żeby przestać o tym myśleć, i obserwując pokój zagłębiłem się jeszcze bardziej w fotelu, pociągnąłem spory łyk wystygłej herbaty, ciepło, serdecznie uśmiechnąłem się w stronę dyrektora, postanawiając, że niezależnie od wszystkiego nie dam się przekreślić i usunąć, nie będę zaczynał od nowa, nie zaprzyjaźnię się z wujem Leonem. Poczułem się mocniej i pewniej i zauważyłem, że ogromna słomiana mata zasłaniająca okno przestaje mi się wydawać tak obskurnie tandetna.

POLOWANIE NA MUCHY

Zanim Włodek wyszedł na ulicę tego wieczoru, a był to maj, dwudziesty piąty, godzina dwudziesta, dzień raczej ciepły, i zanim zatrzymał się w kilkanaście minut później przed klubem, gdzie stało kilka samochodów, skuterów oraz grupy osób w jego wieku i znacznie młodszych, siedział w domu i przepisywał biurową korespondencję na wypożyczonej z biura maszynie rosyjskiej, pod oknem zaś, w tym samym pokoju, leżała na przykrytej kolorowym kocykiem amerykance Hanka, która była jego żoną. Przed nią na dywanie nieco wytartym bawił się sześćioletni Ewek, który był jego synem, a trochę w lewo, półtora metra przed telewizorem, pochylał się z napięciem do przodu ojciec Hanki, kierownik szkoły, do którego Włodek nie mógł się nauczyć mówić „ojcze”, podobnie jak ciągle nie mógł zacząć nazywać matką teściowej, tegiej stenografki, zajętej właśnie przyrządzaniem kolacji.

„*Głęboko uważamyje Towariszcz!*”

W swiazi s Waszym pismom ot 7-2-68 soobszczajem, czto my wysłali Warn 15 intieriesujuszczich Was izdanij. Niedostajuszczije Wam jeszcze knigi, a imiенno:

1. *Hornby Albert Sydney. «Oxford progressive English for adult learners» London. Oxford Univ. Press.*

2. *Prejbisz A., Jasińska B. «Gramatyka angielska wćwiczeniach»..”*

– „...Lud zowie te wyspy Wyspami Porannymi, dlatego że one pierwsze witają dzień i one pierwsze żegnają go” – wzruszył się lektor czytając komentarz do filmu.

– Oho! Wieloryb! Popatrzcie, wieloryb! – ucieszył się ojciec. – Włada! – krzyknął w stronę kuchni – wieloryb!

– Co? – zajrzała do pokoju matka Hanki. – Co mówisz?

– Właśnie wieloryb!

– Aha – powiedziała nieuważnie. – Muszę wrócić, bo mi się wygotuje – zakreśliła w stronę kuchni.

– Nie możesz zaczekać z kolacją? Jakby na złość, nie możesz popatrzeć. Choćby teraz – są rekiny!

– A opowiedz, jak dziadzius uratował całą armię Andersa, no, opowiedz... – Hanka poprawiła włosy synowi. Ojciec spojrział na nią życzliwie i znów zapatrzył się w telewizor.

„...w nastojaszczetje wremia połnostju isczerpаны. Kok tolko my smożem priobriesti ich na kniżnom rynkie, to nie zamiedlim wysłat Wasz adres...”

– Wieloryby trzymają się stada.

– Była noc i dziadzius siedział w okopie. Niemcy chodzili na zwiady, jeden Niemiec pierdnął, a dziadzius myślał, że to strzelają, i wyrzucił granaty, ale nie odwoskowane.

„...Żełajem Wam uspiechow w Waszej rabotie...”

– Foki – mruknął ojciec. – Sporo ich.
– Tak – odpowiedział Włodek. – Widzę.
– Włada!
– No co – weszła matka – o co chodzi?
– No właśnie popatrz, foki.
– Rzeczywiście.
– Ładne te foki, zaraz będą delfiny. I zamknij drzwi do kuchni, bo leci straszny zapach. Bywa, że delfin przeskoczy przez obręcz.

„Z iskrennim uważaniem.

Zawiedujuszczij Otdielom

Mieżdunarodnogo Knigoobmiena...”

– Rano słońce przygrzało, granaty się odwoskowały i cała armia Hitlera wyleciała w powietrze.

– „...Inaczej niż foka, rekin jest wrogiem człowieka. To dobrze, że jak ona nie wychodzi na brzeg” – ucieszył się lektor.

– Czy nie widzieliście gdzie szklanki? Ciągłe giną. W zeszłym tygodniu kupiłam sześć, po osiem złotych... Zresztą nie chodzi o cenę, tylko o to, że nie można dostać. Dlaczego ja się muszę zajmować tymi idiotyzmami? Stale wracam objuczona i jeszcze szklanki giną. Czy nie widziałeś szklanki, Włodek?... Nienawidzę tego wszystkiego!

Włodek pokręcił przecząco głową patrząc na trzydziestokilkuletnią, upodobniającą się coraz bardziej do matki swoją żonę, Hankę, która siedem lat temu była szczupłą i zgrabną i wyglądała świetnie w białym kitlu, bo poznał ją, kiedy pracowała jako pielęgniarka, i wtedy musiała mu się przecież podobać, ale nie zostało z tego nic ani nie zmieniło się w serdeczne przywiązanie. Jego zawieszono na rok w prawach studenta za tę historię z Gribojedowem, więc przeprowadził się do jej rodziców i te trzy pokoje po akademiku wydały mu się cudowne, ale już w dwa miesiące później – za ciasne i męczące.

– Byłeś w tej spółdzielni? Dowiedziałeś się? – zapytała tęgawa, nieduża kobieta, która była jego żoną i z którą miał spędzić resztę życia. Upodobnić się do niej, zgrubieć, potem zmaleć, i koniec.

Odpowiedział, że nie był, tłumacząc na jej pogardliwe wzruszenie ramion rozżalony, że przecież widzi, że pracuje cały dzień, na co odpowiedziała, że to musi załatwić mężczyzna, a zresztą ona ma dziecko na głowie. Wycofał się, że absolutnie nie zamierza sugerować, iż powinna to załatwić sama, tak więc zaszło nieporozumienie, jednak celowo formułował uprzejme zdania wiedząc, że ona traktuje to jako prowokację, i chociaż drażnienie jej było oczywiście bez sensu, nie mógł sobie tego odmówić.

W tym momencie nie przeczuwał jeszcze, że za kilkanaście minut podniesie się i wyjdzie, i to właśnie o godzinie siódmej czterdzieści, czyli w porze, o której przez lat pięć czy sześć, nie przypominał sobie dokładnie, jej matka podawała kolację. Ze spotka Irenę, a przedtem kolegę ze studiów, który kierował klubem studenckim w czasie wakacji, i że wydarzą się następne dwa miesiące.

– „Na tym kończymy nasz program o Wyspach Kurylskich. Jednocześnie zapraszamy za tydzień na program zatytułowany *Mieszkańcy mórz południowych*.”

– To, prawda, może być ciekawe. – Ojciec przejechał dłonią po głowie pokrytej przerzedzonymi siwymi włosami. – Wiesz, będzie o rybach za tydzień – zwrócił się do żony, która właśnie wkroczyła z tacą wypełnioną talerzami z odgrzanym z obiadu mięsem.

– Musisz iść i porozmawiać. Inaczej nie dostaniemy mieszkania nawet za dwa lata. Wszyscy tak załatwiają. Nikt tego nie lubi, ale trzeba to wychodzić. Możesz jednego dnia nie pisać w domu i iść to załatwić.

„...*Żełam Wam uspiechow w Waszej rabotie...*” – zakończył i wolno wyciągnął z maszyny kartkę.

– Ale jednakże musiałaś odsmażyć kartofle, po co, po co? – histerycznie załamał się głos ojca. – Jeżeli chcesz mnie otruć, to od razu daj mi truciznę.

Wtedy właśnie Włodek postanowił wyjść. Nie jedząc swojego kawałka wyjść chociaż na kilkanaście minut zupełnie sam, bez żadnych wyjaśnień, tak normalnie. Chęć sprawdzenia, czy mu się to uda, była w momencie pierwszym mocniejsza od słabości, dlatego ruszył do drzwi nagle, szybko, ale zaraz zatrzymał go głos matki, potem Hanki, więc zaczął tłumaczyć, że właśnie musi po papierosy, na co niechętnie pokręcił głową ojciec i przestrzegając przed paleniem, przytoczył na dowód oglądany w telewizji film o gołębiu, który dziobnął kroplę nikotyny i zdechł. W każdym razie silna potrzeba wyjścia, chociaż nie zniknęła, musiała jednak przygasnąć. Usiedli więc w czwórce przy stole, po czym ojciec krzywił się na kartofle, a Włodek je chwalił, starając się wybić rodzinę z jednomyślności. Łyknął herbatę i dopiero wtedy, o godzinie, siódmej pięćdziesiąt, uzyskał możliwość krótkiego wyjścia; bez niej i bez dziecka. Więc po dokładnym przykryciu maszyny, żeby się nie kurzyła, bo to drażniło ojca, Włodek, mający lat trzydzieści jeden, wzrostu metr osiemdziesiąt, włosy raczej jasne, ubrany w marynarkę szarą, sweter szary, ciemną koszulę, spodnie ze sztruksu, trochę za szerokie, uszyte nie najlepiej, buty niedokładnie oczyszczone, wyszedł na ulicę i w dwadzieścia minut później mógł zatrzymać się wreszcie przed klubem studenckim wśród różnych grup zagląda-jących i nie zagląda-jących przez okno do środka, gdzie grała orkiestra, tańczono i tłoczono się przy barku. Dopiero wtedy zbliżyło się już, zarysowało realnie to tak ważne poznanie Ireny. Ale jeszcze przedtem miał postać kilkanaście minut, obserwując tych naokoło, spotkać wreszcie tego kolegę, szefa klubu, i dopiero wtedy wejść do środka. Przyglądał się więc największej grupce stojącej obok, było to z osiem osób, a mówili tak: – Ewentualnie czyli jak najbardziej, bynajmniej czyli niestety, figo fago, szuru buru cwana gapa, dzień dobry ewentualnie dobry wieczór, usiedli wypili, buch go w migdał żeby krzyk dał, suche majtki na dnie morza, po furmanie bat zostanie, parle parle sucho w gardle, lyły lyły a walizka zginęła, chłop krokodyl, tramwaj w oku, ksiądz milicjant, idź do kąta boś nie piąta, buch go w kolano, a on ma nogę drewnianą, duża klatka mały ptaszek, mucha w ciąży, teść komiwojażer, nie wiesz czasem, jak cię mogę, bynajmniej czyli wprost przeciwnie, ja go brzdęk a on pękł, ja do niej lala lala a ona mnie depce po nogach, hop siup Praga bije, ecie pecie ujki mujki, będzie dupa ale z nas.

Włodek posłuchał parę minut, o czym rozmawiali, potem zobaczył, że podjechały jeszcze dwa samochody, wysiadło czterech – dwóch miało granatowe spodnie i białe kurtki, a dwóch białe spodnie i granatowe kurtki. Wtedy podszedł do niego dawny kolega ze studiów i potrząsając jego ręką powiedział:

– Cześć, Włodek. – Cześć, Andrzej – odpowiedział

Włodek, bo poznał go od razu, chociaż tamten mocno wyłysiał, ale przez te sześć lat inne zmiany nie były już takie duże. – Łysiejesz – ucieszył się Andrzej. – No, chodź do środka, pogadamy. Co robisz, jak ci leci, masz samochód, gdzie wyjeżdżasz, byłeś na Zachodzie, masz mieszkanie, ile wyciągasz miesięcznie, gdzie sobie szyłeś marynarkę, nie widziałeś Władka albo Czeška? Pamiętam ten twój numer ze studiów, za który cię zawiesili... No, chodź do środka, zapraszam cię. Ja tym kieruję.

Włodek szedł za nim, chociaż wiedział, że powinien już wrócić, ale pociągała go jakoś pewność siebie Andrzeja, przesuwał ją ludzi, energicznie wioślącego do wejścia, jego niedbałe „ze mną jest, ze mną” w stronę studentów kontrolujących zaproszenia. Więc chociaż wiedział, że już od dziesięciu minut powinien być w domu, postanowił z determinacją dorzucić do i tak już nieuniknionej rozmowy jeszcze następne dwadzieścia i odcierpieć potem razem całą sumę. A Andrzej przepychał się tymczasem do barku między parami stłoczonymi na malutkim okrągłym parkiecie. Włodek widział dużo ładnych, kolorowych dziewczyn obejmowanych i przytulanych, a potem przez okno zobaczył tych, których rozmów słuchał przedtem i

którzy ciągle stali na dworze, a to było dobre miejsce, bo oni jednocześnie podkreślali swoją odrębność i wyższość, a jednak kontrolowali zabawę i uczestniczyli w niej w pewien sposób.

– Oj, zrobiłeś ty wtedy numer na tych studiach! Pamiętam, pamiętam – zaśmiał się Andrzej, podał Włodkowi kieliszek, napili się. – Ale co ty właściwie zrobiłeś takiego? – Zastanowił się nagle. – Cholera, zapomniałem. No, ale cóż – przerwał Włodkowi, który właśnie zamierzał przypomnieć mu, o co chodziło – w końcu studia skończyłeś. – A kiedy Włodek zaprzeczył, mówiąc, że ma tylko te siedem semestrów, machnął ręką. – Ale w każdym razie żyjesz, masz swoje miejsce pracy, żonę, dziecko, miejsce w życiu, żyjemy obydwaj – i teraz opowiadał o sobie: bez żony, bez dziecka, z dyplomem, stanowiskiem w ZSP, podróżami, a Włodek zastanawiał się kończąc wino, czy rzeczywiście łysieje, ale nawet jeżeli, to chyba nie bardzo, w ogóle jeszcze wygląda chyba nieźle, myślał pochylając się nad szklanym blatem, szukając w nim swojego odbicia, jeszcze nieźle, bo kiedyś pływał, był raczej szeroki w ramionach, twarz też raczej nie była zła, tyle że się jej ostatnio za bardzo nie przyglądał. Odstawił kieliszek nie przeczując jeszcze, że za nim stanęła Irena i że już wkrótce wszystko się rozpocznie. Słuchał dalej, jak tamten recytuje mapę Europy, więc żeby powiedzieć coś, włączyć się kulturalnie, wspominał o książce *Malarstwo włoskie*, na co tamten znów przerwał mówiąc: – Byłem. – Obejrzał się i zobaczył Irenę, młodziutką, długowłosą, o trochę trójkątnej energicznej twarzy, dużych oczach i wysoko odsłoniętych, ładnych nogach, tego wszystkiego oczywiście nie zobaczył od razu, raczej tylko tyle, że dziewczyna za nim jest ładna i młoda, więc machinalnie odsunął się, przepuszczając ją przed sobą do barku, a ona uśmiechnęła się serdecznie i z wdzięcznością, czym go zaskoczyła, zwłaszcza że zaraz dodała: – Bardzo dziękuję, naprawdę. – Potem dała mu do potrzymania swój kieliszek, ciągle patrząc na niego ufnie i z sympatią. Aż zaskoczony Andrzej zatrzymał się przy Madrycie i powiedział: – Ty zawsze, człowieku, miałeś szczęście do kobiet, tak samo na studiach, ten twój numer, och ty, stary, no to na razie, nie zapominaj, wpadaj, cześć, do widzenia, do widzenia pani, nie przeszkadzam. – Ukłonił się dowcipnie, trącił jeszcze raz porozumiewawczo Włodka i zniknął w drzwiach pokoju z napisem „Służbowy”.

– Ecie pecie, szuru buru – usłyszał Włodek z tyłu i zobaczył dwóch tych podsłuchiowanych pod klubem, stojących obok i patrzących na niego niechętnie, czego nie umiał sobie wytłumaczyć. Potem powiedzieli jeszcze: – Ujki mujki, chłop krokodyl – i odsunęli się dalej w stronę parkietu.

– To ładnie, że mnie pan od nich uwolnił, nie znoszę takich typów – powiedziała Irena i wyjaśniła, że tamci chodzili cały czas za nią, zaczepiali, dogadywali i gdyby nie to, że się nią zajął, toby się w ogóle nie odczepili i byłaby bardzo nieprzyjemna historia.

Wtedy Włodek kupił jeszcze dwie lampki wina takiego samego, po siedem dwadzieścia, spojrzął na zegarek, przestraszył się i stwierdził, że chyba już będzie musiał iść, a ona odpowiedziała, że trudno, że oczywiście, skoro się tak spieszy... I dodała, że ma na imię Irena i jest studentką czwartego roku polonistyki, a on oświadczył, że skończył siedem semestrów rusycystyki, i już nie wyjaśniał, dlaczego nie skończył więcej, zresztą ona nie pytała, tylko proponowała, żeby zatańczyć, więc zatańczyli, a ona rysowała mu się bardzo niekonkretnie, ponieważ nakładały mu się na nią wszystkie rozmowy, które miał odbyć za minut kilkanaście albo kilkadziesiąt, i już nawet przygotowywał słowa, dlatego rozmawiał z nią niepewnie, bardziej jeszcze niepewnie, niżby rozmawiał w sytuacji innej, na przykład parę godzin wcześniej, kiedy zawsze miał trochę luzu między biurem a domem. Zresztą to nie zdawało się jej przeszkadzać, mówiła dużo o sobie, że jest z innego miasta, mniejszego, a tu mieszka u ciotki, miłej bardzo, jednakże nieco purytańskiej i dość zabawnej. Zatańczyli jeszcze raz i Włodek już naprawdę bardzo chciał iść, ale znów zatrzymała go dziękując za pomoc, a on odpowiedział, że to nic takiego, naprawdę, ale niczego nie wyjaśniał, bo jeszcze wtedy nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tamtej sytuacji, że ona zobaczyła go zupełnie inaczej i na tej podstawie oceniła, zakwalifikowała nieprawdziwie i że to niezrozumienie zaciąży w tak decydu-

jący sposób, stanowić będzie moment pierwszy, wprowadzający w ciąg następnych, coraz bardziej nieprawdziwych rozpoznań. Na razie jednak przy cisnął ją w tańcu, ona chętnie przysunęła się, a zrobił to właściwie nie dlatego, że chciał, tylko wiedział, że powinien się tak zachować. I kiedy przestali tańczyć, zapytał, czy mógłby się z nią spotkać, i to też dlatego, że tak trzeba było powiedzieć i wiedział, że ona tego oczekuje. Na co rzeczywiście zgodziła się chętnie, bardzo nawet chętnie, proponując, żeby już jutro wpadł po nią na uniwersytet koło drugiej, a on nie przyznał się, że pracuje, tylko powiedział, że dobrze, myśląc, że oczywiście nie przyjdzie i w ten sposób cała sprawa się zakończy. A kiedy wyszli razem, zapytał, gdzie mieszka, zaproponował, iż ją odprowadzi, w czym nie było już nawet śladu rzeczywistej chęci, bo był roztrzęsiony, przejęty paniką, rozchwiany i coraz bardziej niepewny, co znów jej się ogromnie podobało, bo przecież niedawno był taki męski. To, że pocałowała go w policzek, dotarło do niego już zupełnie niekonkretnie, bo mieszkała dosyć daleko i szli długo, a ona opowiadała o swoich studiach, o profesorze, na którego seminarium chodzi na czwartym roku, i o wybitnym pisarzu młodego pokolenia, Ołubcu, wielkim oryginale, o którym ma pisać referat. Po drodze parę razy o mało nie zawrócił. Jeszcze przed pocałunkiem zauważył, że ma zgrabne nogi, a potem, już wchodząc do domu, przypomniał sobie jej uśmiech, który też wydał mu się bardzo miły.

Następnego dnia obudził się wcześniej. Mycie, golenie, ciężki oddech Hanki, kaszel jej ojca i dudniący masaż matki, klepiącej się po brzuchu w celach odchudzających – wszystko rozegrało się jakoś szybciej, mniej natarczywie. Udało mu się wyjść przed ojcem i po drodze próbował udowodnić sobie, że nie myśli o tamtej dziewczynie i że to szybsze, inne rozpoczęcie dnia jest zupełnie przypadkowe. Wczoraj po powrocie do domu z radością zauważył, że Hanka jego długi samotny spacer, zakończony spotkaniem kolegi, o czym rozwlekle i niedowcipnie opowiadał, potraktowała raczej z litością i pogardą niż ze złością. To zdeterminowało zachowanie reszty rodziny, instruującej go o głupocie trwonienia czasu. Potem poszedł z Hanką do łóżka, w którym nie była ani mniej, ani więcej wymagająca niż zwykle i po wszystkim poklepała go nawet łaskawie po twarzy, po czym od razu zasnęła.

Więc Włodek, oszołomiony tym, że wszystko skończyło się wczoraj tak jakoś nieszkodliwie, jeszcze przed zaśnięciem przygotował sobie na rano przepisane listy, potem słuchał oddechu Hanki myśląc o tamtej i wreszcie zasnął, postanawiając jednak obudzić się wcześniej, żeby uniknąć rannych rozmów. Kiedy otrzymał w biurze ostatnią podwyżkę, rodzice Hanki doszli do wniosku, że powinna przestać pracować, bardziej dbać o siebie i zajmować się dzieckiem, co przyjął bez sprzeciwu, bo mógł teraz, o ile udało mu się zmylić ojca, wymykać się czasem sam z domu. Od tego czasu Hanka tyła coraz bardziej i oczekiwał, że niedługo zacznie również stosować masaż, coraz częściej zalecany jej przez matkę.

Przez pierwsze parę godzin biurowych Włodek względnie spokojnie dyktował i przepisywał listy, zresztą roboty było dużo i pomyślał znowu, że ta podwyżka, którą dostał, jest nieproporcjonalna do jego pracy, a większej nie dostał tylko dlatego, że nie skończył studiów. Tej zresztą też pewnie by nie dostał, gdyby nie zdecydowany terror rodziny, która zmusiła go do pójsicia na rozmowę.

- Pan nie ma wyższych studiów – powiedział dyrektor.
- Jak to, a siedem semestrów rusycystyki?
- Ale jeszcze panu trochę brakuje.
- Ale mam jednak więcej niż pół.

I w końcu dostał jednak tę podwyżkę, chociaż chyba za małą, a gdyby wtedy powrócił do przerwanych studiów, po tym, jak go w pięćdziesiątym czwartym zawieszono na rok za to, że polecono mu napisać pracę *Gribojedow Szekspirem rosyjskiej literatury*, a potem on już sam na lektoracie angielskim przedstawił drugą: *Szekspear Gribojedowem angielskiej literatury* a to akurat były czasy, kiedy wszyscy się łatwo obrażali i takich żartów nie lubiano. Dlatego też rozpoczął się ten rok zawieszenia, w czasie którego poznał Hanke, potem jej rodzinę...

Na dwadzieścia minut przed drugą poprosił swojego szefa, który nie zajmował się żartami ani na temat Szekspira, ani na temat Gribojedowa i dlatego, mimo że od Włodka młodszy, miał wyższe studia, wyższą pensję i był jego szefem, poprosił więc, aby na dwadzieścia minut zwolnił go z biura, a tamten zgodził się chętnie, ponieważ Włodek był punktualny i na ogół nie wychodził. Więc za dziesięć drugą Włodek poszedł jednak na uniwersytet. Znalazł się tam niby przypadkiem, ale oczywiście przypadku w tym nie było, wszedł na dziedziniec, potem wcisnął się w rozstęp między drzewem a drewnianym płotem i stamtąd patrzył, jak z gmachu wysuwają się grupami i pojedynczo, w czapkach i bez czapek studenci. Ukryty starannie, obserwowował ich, przechodzących o kilkanaście metrów, i wreszcie zobaczył, że ona też wyszła z dużym uśmiechniętym w budrysówce, skulił się i zaraz potem poczuł dla niej wielką wdzięczność, kiedy podała tamtemu rękę i rozglądając się krążyła przed budynkiem. Patrzył niemal z rozczeniem, jak dwa razy, idąc już w stronę bramy, zawróciła, wyraźnie zdenerwowana, zawiedziona. Wreszcie, po dalszych piętnastu minutach, poszła w stronę wyjścia. Odczekał chwilę i ruszył za nią. Poprawił zakurzony od brudnego płotu płaszcz i posuwał się ostrożnie, cały czas przygotowany na to, że się odwróci. I rzeczywiście odwróciła się, najpierw raz, potem, już po wyjściu na ulicę, jeszcze raz. Ciągle wtedy tłumaczył sobie, że podchodzić nie ma sensu, że w ogóle nie zamierzał podejść, chciał po prostu sprawdzić, czy go zapamiętała, czy będzie go szukać, i to się w pełni sprawdziło. Mógł więc właściwie wrócić do biura, ale jednak przebiegł na drugą stronę ulicy, wyprzedził ją i ruszył naprzeciw, starając się wyrównać oddech, przygotowując uśmiech i zdanie, że się spóźnił, ale co za zbieg okoliczności. Wytarł zwilgotniałe dłonie, zmrużył oczy, ale ona przeszła obok z opuszczoną głową, nie widząc go, więc zrobił jeszcze kilkanaście kroków myśląc, że tak jest naprawdę znacznie lepiej, ukrywając wielki zawód i żal do siebie pod decyzją rozsądnej rezygnacji. Obejrzał się raz jeszcze i szybko podążył w stronę biura, w którym go nie było minut czterdzieści, czego znowu ku jego zdziwieniu nikt nie zauważył.

*

„*Uważamyje Towarzyszczi...*” – A opowiedz, jak dziadziusiowi kosa obcięła palec. – Dziadzius był nieuważny i mu obcięła na polu na boso. – Czy nie widzieliście szklanki? – „*Głęboko uważamyje Towarzyszczi. Z błagodarnostju potwierdzajem postuplenije naprawlonnychnam Wami knig...*” – Czy byłeś w tej spółdzielni? Oczywiście, nie byłeś. Nie wiem, dlaczego zależało ci, żeby rodzice nam pomogli finansowo przy wpłatach. – Znalazłam zbitą szklankę w kubie, jestem pewna, że nikt się nie przyzna. Zupełnie jak dzieci. Nikt się nie przyzna, nikt nie ma odwagi. – Dziadzius przeniósł angielskiego oficera przez granicę, a on mu nawet ręki nie podał, jak się spotkali na przyjęciu w ambasadzie... Ja myślę, że to dziadzius zbił. – To nieprawda. Ładnie go wychowujesz. Owszem, zbiłem, ale trzy dni temu talerzyk. Na pewno sam zbił. – Zostawcie dziecko w spokoju. Ewek by się przyznał, gdyby zbił. – W dziadziusiu kochała się też córka biskupa, generałowa i profesorowa i chciały się z nim ożenić, ale dziadzius nie chciał. – Nie chcecie, nie przyznawajcie się, jeżeli nie macie wstydu; w ogóle pijcie, w czym chcecie. – Albo mamuśka zbiła. – Cicho, Ewek, nieładnie jest sypać mamuśkę bez dowodów!

„*Z iskrennim uważanijem...*” – wystukał Włodek, który od początku wiedział, kto zbił szklankę, ponieważ zbił ją sam przed godziną, ale udało mu się zatrzeć ślady. Ta historia ucieszyła go nawet, pozwoliła mu na kilkanaście minut wyłączyć się z myślenia o Irenie, przestać rozważać tę rozsądną decyzję, której już teraz w żaden sposób nie mógł wybronić, której się wstydził, bo nie była decyzją, tylko słabością. W tym, że godziny wloką się wyją-

kowo powoli, zorientował się już w czasie przepisywania drugiego listu, ale starał się zdusić w sobie oczekiwanie, starał się bardzo, wiedząc już, że to nie da rezultatu.

„*Głęboko uważajemaja tow. G. Wisienkowa!*” – napisał jeszcze, po czym nagle podniósł się i nic nikomu nie mówiąc przeszedł przez pokój, na korytarzu bezszelestnie otworzył drzwi i zbiegł po schodach, bo ani na rozmowy, ani na zabezpieczenie się nie miał już sił ani czasu. Tak, właśnie czasu, bo wiedział już teraz, że biegnie jej szukać, chociaż w południe udało mu się prawie uzyskać pewność, że to tylko ona na niego czeka, a on jest w pozycji lepszej i ma przewagę. Wiedział to na pewno i nie zaskoczyło go, że tak boleśnie odczuł jej nieobecność w klubie, do którego dostał się dzięki powołaniu się na Andrzeja. Wszedł tam nie mając odwagi podnieść oczu, bojąc się, że ją zobaczy, a jeszcze bardziej, że jej nie zobaczy. Potem, po powrocie, tym boleśniej odczuł dom i tamte codzienne rozmowy, ale wtedy jeszcze miał nadzieję, że to minie, że nie ma wielkiego znaczenia, tak to odczuwał, a w każdym razie tak opowiadał o tym Irenie, kiedy wreszcie spotkał ją na uniwersytecie po trzech dniach straconych, wypełnionych próbami odnalezienia jej, spacerami wieczornymi pod domem ciotki, wyszukiwaniem z kilkudziesięciu oświetlonych okien tego, które mogło być jej. I tego trzeciego dnia postanowił podejść do niej od razu, nie czekając, czy się rozejrzy, bo na to było za późno, i poczuł ogromną ulgę widząc, że wyszła sama, więc szybko wysunął się z dobrze już przez trzy dni wydeptanego schowka, ruszył naprzeciw, a ona na szczęście poznała go od razu i ucieszyła się tak wyraźnie, że wszystko stało się bardzo łatwe. Wy tłumaczył swoją nieobecność, a ona powiedziała, że świetnie, że zjawił się w ogóle, że ją zapamiętał, a to, że nie przyszedł wtedy, było bardzo męskie i typowe dla niego. Potem wypili razem kawę i Włodek opowiadał jej o studiach przerwanych, o Gribojedowie, Szekspirze i o swojej pracy, na co ona spytała, czy jest żonaty, a on powiedział, że jest, co wcale jej nie zaskoczyło, kiwnęła tylko aprobująco głową, mówiąc, że oczywiście, że zdziwiłaby się gdyby było inaczej, gdyby taki ktoś jak on był sam. Tego dnia Włodek nie wrócił już do pracy. Szef patrzył na niego z pewnym zdziwieniem, ale ciągle nie wymagał wyjaśnień. Potem spotkali się jeszcze w tej samej kawiarni dwa razy i ona powiedziała, że wyjeżdża na trzy dni na zjazd polonistów, że przez ten czas muszą pomyśleć z całą odpowiedzialnością o ich historii, bo to nie jest błaha sprawa dla niej, a przede wszystkim dla niego. Natychmiast, jak wróci, zadzwoni do niego do biura, mówiła trzymając go za rękę, patrząc z oddaniem i podziwem, bo wydarzyła się przedtem historia jeszcze jedna.

Wieczorem odprowadzał ją do domu. Hance wyjaśnił, że ponieważ teraz nie dają mu maszyny do domu, musi przepisywać w biurze, i znowu mu nadspodziewanie łatwo uwierzyła, tak łatwo, że zaskoczyło go to i chyba nawet upokorzyło, bo skoro jego obecność okazywała się niekonieczna ani w biurze, ani w domu, to te sześć lat ścisłego zamknięcia stawało się niewytłumaczalne i głupie. Więc kiedy już blisko jej domu skręcili w wąską ulicę, usłyszeli krzyki i zobaczyli, jak dwóch mężczyzn biło kogoś zataczającego się, chyba pijanego. Wziął ją za ramię, żeby przejść na drugą stronę, zobaczył nagle jej oczy utkwione w siebie ze spokojną pewnością, za chwilę puściła jego rękę, kiwając przyzwalająco głową – zrozumiał, że nic innego zrobić nie może, i czując słabość w nogach, brak oddechu i wielką niechęć do niej za to bezprawne przymuszenie, zrobił w stronę tamtych parę sztywnych kroków, wreszcie, żeby skrócić to wszystko, odczuwając każdy krok, zaczął biec, a wtedy oni zobaczyli go i zaczęli uciekać, ale zrozumiał przecież, że to nie koniec, że nie może zwolnić, że absolutnie musi ich gonić. Dopadł jednego z nich, chwycił za ramię, pchnął na mur, trzymając nad nim rękę zaciśniętą w pięść, a w parę chwil potem była już milicja; wtedy ciężko oparł się o ścianę domu obok tamtego, którego brali do radiowozu.

Ona nie zdziwiła się wcale jego odwagą, nie podziwiała go, bo po prostu wiedziała, że taki jest, umocniło się w niej może tylko postanowienie uwznioślenia mu życia, wyciągnięcia z nielubianej pracy. Dlatego znów wróciła do swojego pomysłu, że przecież mógłby tłumaczyć. Było to po premierze sztuki *Mądrym biada*, na którą wybrali się razem, gdzie on właśnie

wspomniał, że to jest źle przetłumaczone, bo *Gorie od uma to* przecież znaczy co innego. Tak więc wtedy właśnie objawiła się jej już ta droga jako oczywista. Będzie tłumaczył, może dostać stypendium na wyjazd, potem wyda zbiór szkiców o współczesnej literaturze radzieckiej i o klasykach, przy czym ona mogłaby mu robić z początku korektę stylistyczną. Uświadomiła sobie też radośnie, że Ołubca mają tłumaczyć na rosyjski i że może on zgodziłby się na to, żeby Włodek przy tym współpracował, w każdym razie, oczywiście, porozmawia z Ołubcem, który ma stosunki wszędzie, a znowu ona ma z nim stosunki znakomite. Wyjechała na zjazd polonistów, a on wyciągnął książki rosyjskie, dawno nie oglądane, kupił parę słowników i zaczął czytać gazety, potem spróbował przetłumaczyć artykuł o teatrze i wychodziło źle, o czym wiedział, ale tak przecież zawsze jest na początku, więc wcisnął to zamiast przepisywania na maszynie między opowiadania o dziadziu, ryby mórz południowych i szklanki i przesiadywał długo czekając na jej powrót, a ona spóźniła się o trzy dni, w czasie których nie mógł już pracować nad tłumaczeniem, bo nie mógł wytrzymać czekania, dzwonił stale do jej ciotki i nie mówiąc nic odkładał słuchawkę, nie rozumiejąc, dlaczego się spóźnia, czując się strasznie opuszczony, śmieszny z artykułem o dramacie radzieckim i słownikiem wyrażen idiomatycznych. W biurze, nie mogąc znieść napięcia, wychodził co chwila, najpierw wynajdując jakieś preteksty, a potem już nie, wychodził, żeby skrócić oczekiwanie, mając nadzieję, że w czasie jego nieobecności zadzwoni, bo nie mógł znieść teraz telefonów od osób innych, którym odpowiadał teraz agresywniej, budząc wreszcie zainteresowanie szefa. Wybiegał więc na piętnaście, potem na dwadzieścia minut, a potem na godzinę i wracał wypełniony radosną pewnością, że przecież już musiała zadzwonić, i najpierw pytał, czy ktoś nie dzwonił, wreszcie patrzył już tylko prosząco, starając się jak najszybciej wyjść znowu. Wracał do siebie, dzwonił do ciotki i szedł pod jej dom, licząc na to, że właśnie wróci, i kładł się do łóżka z Hanką czekając na dzień następny, który stwarzał nową możliwość. Bo wieczory nie dawały właściwie żadnych szans i były stracone całkowicie.

*

Na dzień przed jej powrotem dostał wezwanie do komisariatu i usiadł przy długim stole z komendantem posterunku, kilkoma milicjantami i jakimś mężczyzną w cywilnym ubraniu, po czym wręczono mu wazon za pomoc w poskramianiu elementów chuligańskich – tak to właśnie sformułował kapitan i dodał, że gdyby każdy obywatel tak jak on, filolog, pomagał milicji, był tak odważny, zdecydowany, to sprawa wyglądałaby inaczej. – Bo, panie filologu – mówił dalej – pan nawet nie wie, jak nam jest czasem przykro, jak nas społeczeństwo nie rozumie. – Potem długo nie mówiono nic, ale wszyscy siedzieli uśmiechnięci za stołem, tylko ten w cywilu, widocznie wymęczony okropnie, stale drzemał, więc Włodek wyciągnął sto złotych i spytał, czy nie można by kupić winiaku, myśląc wtedy, że w ten sposób skróci ten dzień, bo dziś już listu być nie mogło, a przed południem telefonu nie było, czego nie mógł zrozumieć, i zaczynało już w nim nawet powstawać podejrzenie jakiejś gry z jej strony czy oszustwa.

– Panie filologu – mówił kapitan – dalibyśmy panu order, ale z tym jest dużo zachodu, a wie pan, wazon jest zupełnie przyjemny. Na służbie zaś nie piję.

– A właściwie to jak wy się nazywacie? – ocknął się ten zmęczony w cywilnym ubraniu, któremu ciągle myliło się, czy Włodek jest gościem, czy przesłuchiwanym, spojrział czujnie – a jednak wpadliście! – dodał i znów głowa osunęła mu się na ramię.

– Panie redaktorze – uśmiechnął się sierżant, któremu ta forma wydała się prostsza niż filolog – jakby co, to może pan już na nas liczyć.

Włodek podziękował.

- Właściwie to jakie jest wasze nazwisko? – poruszył się cywil.
- Nie miejcie do niego żalu – wyjaśnił kapitan. – On zaharowany, całą noc w robocie.
- Raz, panie redaktorze – rozpoczął sierżant – napadło mnie trzech ze sprężynami. I wie pan redaktor co? Zawiedli się.

*

Następnego dnia z samego rana w biurze zadzwonił telefon i to był jej głos. Więc chociaż przygotował sobie, a nawet częściowo zanotował ostre słowa, zapytał tylko gdzie jest, i wybiegł przepaszając po drodze szefa. A ona, opalona, uśmiechnięta, wzięła go za rękę i zaprowadziła do mieszkania, gdzie tego dnia nie było ciotki do szesnastej. Rozebrała się od razu, położyła na tapczanie i widząc jego niepewność, zmieszanie, uśmiechnęła się ciepło mówiąc:

– Skończmy już z tym drobnomieszczaństwem, chodź. – A kiedy potem spytał ją, jak to się stało, co ją do tego skłoniło, powiedziała, że semantyka. Potem opowiadała o zjeździe, o profesorze, koincydencji, infrastrukturze i Ingardenie, którego sądy są *quasi*. Potem znów opowiadała o Goldmannie i Popperze i że każda świadomość jest świadomością czegoś. Była już teraz zupełnie spokojna o ich przyszłość, bo wszystko, jak oświadczyła, przemyślała bardzo dokładnie. Ona jest mu całkowicie oddana, jeżeli chce, to mogą iść razem i porozmawiać z jego rodziną, wyjaśnić, czemu obecność ich przy Włodku jest zupełnie absurdalna. Potem wyszli, bo dochodziła szesnasta, i Włodek już wierzył, słuchał uważnie, kiedy mówiła o konieczności wynajęcia na razie mieszkania i aby popytał kolegów lub znajomych, z których, być może, ktoś. wyjeżdża za granicę i zostawia mieszkanie, bo to jest sposób najlepszy. Powiedziała mu też, że jutro o godzinie czternastej umówiony jest w kawiarni z Ołubcem, któremu musi opowiedzieć o sobie szczerze wszystko, a wtedy Ołubiec pomoże mu z pewnością, bo już jej to obiecał. Włodek starał się wyśliznąć z tej rozmowy, która wydawała mu się kłopotliwa, nie do przeprowadzenia, ale ponieważ poprzednio powstrzymał ją od odbycia rozmowy z rodziną, teraz zgodził się w końcu, zwłaszcza że ona uważała ten pomysł za bardzo dobry i wiązała z nim wielkie nadzieje.

Po powrocie do domu, gdzie jego coraz częstsza nieobecność nie wywoływała wrażenia żadnego, poza może pogardliwą litością, usiadł przy stole i najpierw nie mógł wypowiedzieć ani słowa, bo myślał ciągle o Irenie, o tym, że musiał się z nią rozstać, i o Ołubcu, ale potem, kiedy pomyślał o bliskiej konieczności rozmowy z Hanką ostatecznej, wpadł w panikę, zaczął bawić się z Ewkiem i spróbował włączyć się uprzejmie w życie wieczorne. Zachwycał się wraz z ojcem ośmiornicami, znalazł szklanek matce i dwukrotnie pocałował swoją żonę Hankę, po czym bujając Ewka na kolanach wysłuchał opowieści o tym, jak dziadzius gonił gestapowca pod lodem do przerebli, potem poszedł z Hanką do łóżka, gdzie po wypełnieniu solidnym obowiązków mógłby wreszcie zasnąć, gdyby nie Irena i przybliżający się Ołubiec. Postanowił tych swoich pierwszych prób tłumaczeń Irenie nie pokazywać.

*

Po długim krążeniu przed kawiarnią wszedł do środka. Ołubca pokazała mu szatniarka. Był chyba niewiele od Włodka starszy. Siedział sam przy stoliku, pijąc wolno kawę. Włodek podszedł, przedstawił się i usiadł patrząc z nadzieją w duże, mądre oczy tamtego, obserwując jego bladą, skupioną twarz. Zaczął mówić tak, jak nakazała mu Irena zapewniając, że Ołubcowi musi się spodobać, bo on lubi takich mocnych, pewnych siebie i spokojnych. Opowiadał

więc od początku, opanowując z wysiłkiem drżenie głosu, starając się mówić dowcipnie, opowiadał od początku, od Gribojedowa i zawieszenia na studiach, o swoich siedmiu semystrach i o tym, jak ceni Ołubca, więc że gdyby właśnie Ołubiec mógł mu coś pomóc albo zaryzykował nawet, że Włodek przetłumaczy jego książkę, a jeśli nie, to dał mu jakiś kontakt – zwierzał się, rozczulając się nad sobą i wycierając zwilgotniałe dłonie. A Ołubiec ciągle milczał, pił wolno kawę, obserwując go uważnie. Dodał więc jeszcze o zachwytach Ireny nad nim, a potem jeszcze o swojej sytuacji, skotłowanym życiu – to słowo, „skotłowane”, podsunęła mu wczoraj Irena, bo to było Ołubca słowo ulubione – i wreszcie umilkł zmęczony, wierząc, że powiedział wszystko jak trzeba, i czując zadowolenie i wielką ulgę, bo bał się, że nie będzie umiał tylu z siebie wydobyć spraw intymnych Czekał więc teraz, patrząc ufnie na tamtego. A Ołubiec skończył wreszcie kawę, popatrzył na niego długo i bardzo wyraźnie powiedział: – Spierdalaj.

*

Trudno było znaleźć dobry i tani pokój. Koledzy mrugali i pytali, na ile godzin potrzebuje, a on nie mógł im odpowiedzieć, że na całe życie. Długo nie dawały te próby żadnego wyniku, zresztą nie miał dużo czasu na szukanie, bo akurat ciotka wyjechała na trzy dni, więc wziął zwolnienie z biura, a w domu udało mu się wytłumaczyć, że wyjeżdża służbowo, i to były chwile tak wspaniałe, że aż nierealne. Pili herbatę, rozmawiali o planach, jedli coś, co ona przygotowywała, potem byli razem i znów pili herbatę w najlepszych filiżankach ciotki, wyciągniętych ze znanego Irenie schowka. Ona nie wydała się być wstrząśnięta historią z Ołubcem. – Mam nowy pomysł – powiedziała od razu. A chodziło teraz o jednoaktówkę radziecką, którą wskazał jej ktoś jako interesującą, a znajomy redaktor miesięcznika obiecał jej, że gdyby tłumaczenie było dobre... O Ołubcu powiedziała tylko, że może rzeczywiście jest trochę chamem, i dodała, że kiedy dwa tygodnie temu rozmawiała z nim w klubie o jego twórczości, bo przygotowywała właśnie referat pt. *Ołubca wizje transcendentalne*, którego fragmenty miał przedrukować awangardowy miesięcznik, Ołubiec był najpierw bardzo miły, wyjaśnił jej wszystko, a potem, kiedy wyszli z kawiarni na spacer i przechodzili akurat koło jego domu, nagle zaprosił ją do siebie na górę, żeby pokazać dziennik pisanej obecnie powieści. I wtedy rzeczywiście zaczął się do niej nawet dość ostro zalecać, co z jednej strony było miłe, ale jednak sprzeczne z etyką pisarza, gdyż straciłaby do jego pisarstwa dystans, poza tym kochała już przecież wtedy jego – Włodka. Dlatego odmówiła kategorycznie i może to właśnie była Ołubca zemsta. Chodziła po pokoju w kąpielowym kostiumie, nosząc herbatę, bardzo zgrabna, młoda i inteligentna, i znów mówili o planach dalszych, o wynajętym, a potem własnym pokoju, o tym, co będzie, kiedy on przetłumaczy tę jednoaktówkę i następne, a ona także zdobędzie pozycję, o ich życiu przyszłym cudownym, o stypendiach, Morzu Czarnym, Goldmannie, Ołubcu, salonie u Bądkowiaka, do którego tak trudno się dostać, że wydaje się to prawie nierealne, ale oni się tam dostaną, o wspólnej pracy w domu twórczym i spacerach w cichym parku, gdzie była niedawno u profesora prowadzącego seminarium, o półmroku wielkich sal wypełnionych antykami i nazwiskach pochyłonych nad obiadem. Potem te trzy dni się skończyły i Włodek wrócił do domu z rozpaczą i wysiłkiem równym temu, z jakim z niego wychodził przed miesiącem po raz pierwszy, kiedy nie wiedział jeszcze, że spotka Irenę. Widywali się wtedy rzadko, bo ona kończyła referat, a on szykował przekłady, wystukując je potem na maszynie polskiej. Siedział dłużej niż zwykle i czytając tłumaczenia inne starał się nadawać słowom odpowiednią giętkość, wyrazistość i nawet chwilami sądził, że mu się to udaje, lecz zaraz załamywał się, potem znów podrywał z rozpaczliwym wysiłkiem, brnąc przez zdania ciągnął to dalej, umacniany, a jednocześnie coraz to wytrącany jej spokoj-

nią pewnością, wiarą absolutną, uśmiechem, jakim przyjmowała jego niepewność, nazywając ją kokieterią. Potem przyniósł jej piętnaście gęsto zapisanych kartek, szybko pożegnał się i czekał znowu na jej telefon, bojąc się strasznie tego, co powie, bojąc się, że ją zawiedzie, że przekreśli jej plany, które były już teraz także i jego planami. Kiedy wreszcie zadzwoniła, nie mógł się zdobyć na pytanie, co o tym sądzi, tylko przeprowadził rozmowę obojętną, udając, że do tamtego nie przywiązuje żadnej wagi. A gdy spotkali się w kawiarni, ona powiedziała, że owszem, że pewne rzeczy wydają się jej niezłe, ale jednakże w sumie jeszcze trzeba nad tym popracować, i wytknęła mu szereg błędów stylistycznych, przy czym nie straciła ani odrobiny pewności, że się uda, ale powiedziała, żeby teraz to odłożył, bo na razie ma pomysł inny.

Nic też nie dał wtedy po sobie poznać, że nie chodziło naprawdę o te noce zarwane, tylko właśnie o rozbudzoną nadzieję, wezbraną wyobraźnię, pogardliwą wyższość, którą już zaczął okazywać w biurze, ironiczną odmowę brama do domu listów, podbudowaną otrzymanym od milicji wazonem za odwagę, kawy wypijane w klubie, strzępy rozmów dolatujące od tamtych stolików, rozmów, które już wkrótce stać się mogły jego rozmowami. Ale opanował to w sobie, chociaż chciało mu się uciekać i krzyczeć, że go oszukała i że on ją też oszukał, że trzeba przerwać to wszystko, wracać, ratować się, póki jest jeszcze czas. Ale nie powiedział jej tego, częściowo ze wstydu, upokorzenia, a może jeszcze dlatego, że nadzieja nie zniknęła tak zupełnie, z dumy wreszcie, jaką w nim rozbudziła, a na wyzbycie się jej nie był jeszcze przygotowany. Jednak wiedział już wtedy, że płaci cenę przewyższającą jego odporność, że dalsze oczekiwanie na telefony, na rozmowy, decyzje, szarpanina, w której wynik już nie wierzył tak mocno, ciągną go w dół coraz wyraźniej. Zaciśnął więc szczęki i po chwili słabość ustąpiła, ale nie mógł wybaczyć jej zbyt łatwego przejścia nad całą sprawą, wynikającego nie z troski o to, aby go nie zranić, ale z niezbitą pewnością, wiary, nie mógł znieść jej uśmiechu nieprzemijającego i tego właśnie, że miała już pomysł następny, lepszy.

Tymczasem zbliżały się wakacje i Hanka zażądała wczasów w Krynicy lub w Kudowie, oczywiście z małym, podpierając się jednomyślną opinią rodziny. Jednocześnie Irena proponowała Mazury, gdzie jest kompletnie dziko, można rozbić namiot, uciec od chaosu kulturowego, chodzić nago i czytać Toynbee'ego w oryginale. Tak więc zbliżała się chwila powiadomienia Hanka o wszystkim, rozpoczęcia chybotliwego życia bez niej. Jednocześnie realizował pomysł Ireny następny, tłumaczenie paru wierszy radzieckiego poety, którego poznała na uniwersytecie, a dwutygodnik obiecał jej, że przekład taki by zamieścił. Wtedy wreszcie mógłby rzucić pracę, zapisać się do Koła Młodych przy Związku Literatów, wystąpić o mieszkanie i skończyć z bezsensownym rozmienianiem się na drobne.

„Uważajemyje Towariszczi!

W swiazi z etim uwiedomlajem Was, czto nasze Izdatielstwo żelaja...”

– Włada, pająki! No popatrz, pająki!

– Dziadziusь szedł z całym pułkiem, nagle zza wzgórza wystrzelił czołg i został tylko jeden pluton z dziadziusiem, ale szedł dalej.

– O co chodzi?

– Zobacz, pająki. Czy rzeczywiście nie możesz zamknąć drzwi od kuchni? Jak na złość.

„...okazat Warn sodiejstwie naprawiło Wasze pismo sowmiestno s fotokopiej...”

– Potem wystrzeliła armata i została tylko jedna drużyna z dziadziusiem, ale idzie dalej.

– Zobacz, Włado, komar. Ale ma trąbkę! No, popatrz chwilę.

– Nie mogę teraz, mam robotę.

– Został tylko sam dziadziusь, ale idzie dalej. „W swiazi s etim...” – wystukał Włodek, odsunął maszynę, wytarł mokre dłonie, potem czoło, zaciśnął zęby przypominając sobie chwilę, kiedy z przetłumaczonymi wierszami zjawił się u tego redaktora, wchodzenie na czwarte piętro do redakcji, cofanie się parokrotne, błędzenie po piętrach trzecim i piątym, wreszcie pchnięcie drzwi, zamazane, niewyraźne twarze sekretarek, wypełnioną paniką chwilę oczeki-

wania, wreszcie kroki redaktora: cztery, trzy, dwa, jeden, serdeczny uśmiech i uścisk dłoni, który wzbudził w nim wielką nadzieję, i zaraz pytanie, o co chodzi, potem namysł, przerzucanie teczek, wreszcie ta odpowiedź, o której myślał, że go nie zaskoczy, a dopiero teraz rozumiał, jak bardzo Uczył, że się uda. Następnie słuchał nieuważnie, myśląc o tym, co by przeżywał, gdyby padły słowa inne. Słuchał więc wyводу o nieprzydatności, nieporozumieniu, dobrodusznym rad, żeby dał raczej spokój... Słuchał wiedząc, że czoło pokrywa mu się potem, spuścił oczy wstydząc się tamtego człowieka, z nienawiścią rozpamiętując uśmiech Ireny, i wreszcie mógł odwrócić się i odejść, bo zarzuty zostały już wyczerpane. Wychodził licząc teraz swoje kroki, byle szybciej do drzwi, byle zniknąć z oczu sekretarek, w których wzroku przewidywał pogardliwą litość.

– O, patrz, jak ten pajak tego komara... Aha, aha, wpadł, łobuz! – ucieszył się ojciec. – Zobacz, Włodek, jak wpadł.

Włodek przyznał, że komar jest rzeczywiście w trudnej sytuacji, i myślał, co będzie dalej, starał się wykrzyć, odczytać do końca swoje odczucia, upewnić się, czy istotnie sprawą największą, wyłączną niemal, jest w nich strach, próbował wyłuskać spod niego przekonanie, że postąpić inaczej nie mógł, ulgę wreszcie, że ma to już za sobą, że przekreślił wszystko najśluszniej, najprawdziwiej, mszcząc się za życie swoje rozchwiane, wytracone z normy.

– A jak dziadzius przeniósł kamień, którego czterech nie mogło ruszyć?

– Cha, cha, teraz tę trąbkę możesz sobie wsadzić w tyłek.

– Czy ktoś nie widział spodeczków?

Siedział teraz czekając. Na razie jeszcze bezpiecznie. Stukał w maszynę i myślał o tym, czego już zatrzymać ani odwrócić nie mógł. Siedział obserwując pajaka i rozglądając się za spodeczkiem. A przecież to dziś, parę godzin temu, spotkał się z nią w zupełnie pustym parku, rozżalony, rozbity podbiegł, wykrzykując z daleka, że wszystko na nic, a wtedy nie spodziewał się jeszcze, nie mógł nawet pomyśleć o tym, co nastąpi. Ale kiedy zobaczył jej twarz spokojną, czystą, i ona, uśmiechnięta ufnie, powiedziała, że to nic, że wszystko będzie dobrze i że na razie ma pomysł nowy, nagle zacisnął jej ręce na szyi, rozpaczliwie starając się zatrzymać te słowa, a potem zniszczyć je, oddalić, odzyskać spokój, wrócić na to krzesło, na którym siedział teraz. Myślał o tym nie rozluźniając uścisku palców i kiedy ona upadła na ziemię, odwrócił się i odszedł prosto tutaj, przygotował maszynę, wkręcił kartkę papieru i napisał cztery listy nie pomyliwszy się ani razu, a teraz przyglądał się długiej śmierci komara.

– Ale to sprytna sztuka, taki pajak! Popatrz, jak biega. Oho, teraz na muchę. Oho, już się za nią wziął.

– Istotnie – zgodził się Włodek, któremu pajak wydał się naraz stworzeniem ciekawym, choć nieco tłustym. – Istotnie.

Wstał z krzesła. Za godzinę odchodził pociąg do Kudowy. W pokoju Hanka trzaskała walizkami. Zapakowany ochronnie w watowany ortalionowy płaszczyk Ewek czekał już na tapczanie. Włodek był teraz spokojny. Zupełnie spokojny, świadom słuszności dokonanego wyboru. To dobrze, że nie poszedł w ogóle na to spotkanie z Ireną w parku, to bardzo dobrze. Nie zniósłby z pewnością tej rozmowy. Musiałby ją zabić, oczywiście, na pewno zachowałby się tak, tylko tak. Nie mógłby postąpić inaczej. Ale oto potrafił nie iść, potrafił o tym sam zdecydować, uniknąć najgorszego dla niej i dla siebie. Poza tym musiał w tym czasie kupić bilety do Kudowy na pociąg z miejscówkami.

NOWY TANIEC LA-BA-DA

- Konsul szwedzki pojechał z żoną do Istambułu, a to była bardzo piękna kobieta, blondynka, włosy formalnie do ramion...
- Niech pan sobie wyobrazi, w czasie okupacji jest łapanka...
- Więc wiesz, no, ten facet zaprosił tę dziewczynę na przejażdżkę swoim samochodem za Warszawę...
- No chodź...
- Nie...
- Bo wie pan, żeby pan ją znał, jaka to była czarująca kobieta. Przyjemna, miła, tylko niestety absolutnie łysa...
- Mój poziom naukowy jest oczywiście niższy od pańskiego. Świadczy o tym moje błędne wysławianie. Rozczarowany jestem, bo mając czterdzieści dziewięć lat nie umiem przelać tego, co czuję. Jestem wyeksploatowany fizycznie i psychicznie, a co gorsza, do dziś dnia nie zdobyłem sobie zawodu.
- I w czasie łapanki nagle powstaje taka sytuacja...
- Więc ona zgodziła się na tę przejażdżkę tym jego samochodem i wtedy on ją wsadził do tego samochodu, i za miasto, znaczy wywiózł ją za miasto...
- No chodź...
- Nie.
- I właśnie przygotowałem jej perukę, a nigdy jeszcze nie robiłem tego choć trochę równie pięknej kobiecie...
- Po wyzwoleniu zorientowany byłem politycznie i oddałem się pracy społecznej, aby pomóc utrwalić władzę ludową. Rozbudowę trzyletniego planu, sześcioletniego planu...
- Bo w Istambule, trzeba panu wiedzieć, kobieta w ogóle nie może sama pokazać się na ulicy, zwłaszcza, jak to mówią, biała kobieta, szwedzka.
- Po zawarciu aktu małżeńskiego z córką jedynaczką u wdowca, sześćdziesiąt trzy lata, osiadłem na ich dwóch ha gospodarstwa.
- A kiedy on wywiózł ją za Warszawę tym swoim samochodem, to zaczął się do niej dość ostro dobierać.
- Gospodarstwo to w przeciągu dwóch lat zrewolucjonizowałem. Niektórzy się podśmiewali, chcieli mnie rozstawić z teściem...
- A ona była tak piękna w tej peruce, że pełno mężczyzn chciało się z nią żenić...
- I nagle w czasie tej łapanki podchodzi do mnie ogromny gestapowiec i kopie mnie w dupę... I mnie to niesłychanie podnieca.

– No to się strasznie cieszę, że cię widzę. Pamiętasz, taka chwila, i akurat dziś... Gdzie masz stolik? Sam jesteś? Siadaj z nami. Zajrzyj przed północą, wypijemy. Poznaj Inge, moją... tę... narzeczoną. Co za zdarzenie!

Narieczona podała mi rękę. Była nieduża, tęgawa. Głęboko wycięta suknia odsłaniała białe, pełne ciało.

Poruszyła się szeleszcząc zwojami tafty. Tam gdzie ramiączka sukni wpijały się w ciało, powstawały czerwone znaki.

– A to moi przyjaciele. – Uścisnąłem dłonie dwóm mężczyznom w identycznych czarnych garniturach i srebrzystych muszkach. – A to jest Blanka. Musiałeś o niej słyszeć albo widzieć ją w telewizji, bo śpiewa.

Blanka przyjrzała mi się uważnie, była nawet dość ładna, chyba rzeczywiście śpiewała w jakiejś kawiarni. Ucałowałem rękę jeszcze jednej kobiety, która stała z nimi, i odszedłem w stronę wielkiej sali, gdzie zaczęto tańczyć. Obejrzałem się jeszcze raz za tamtymi, ale wtopili się już w tłum, przemierzający nerwowo salę w poszukiwaniu miejsca, kotłujący się przy stolikach. Długie, szerokie okna zasłonięte błękitną bibułą ozdobioną gwiazdami i tylko przez szpary można było zobaczyć jezioro, które zresztą wyglądało teraz jak zwykłe, pokryte śniegiem pole. Po schodkach przeszedłem do małej salki szczelnie wyklejonej połyskliwymi plakatami, w której urządzono barek. Tutaj tłoku jeszcze nie było. Wypiłem jakąś wódkę, potem następną, realizując bony konsumpcyjne, cofnąłem się pod ścianę i obserwowałem ożywionych ludzi, wykonując szklanką ruchy celowo bezsensowne i wolne, ale nikt nie zwracał uwagi na moje ironiczne istnienie w rogu koło srebrno-błękitnego okna, więc przestałem wywoływać w sobie uczucie pogardy i starałem się teraz przez jakiś czas odnaleźć uczucie radości, że jestem bez Ewy, że mogę spokojnie stać pod oknem i wykonywać takie właśnie wyniosłe gesty. Potem zrezygnowałem z poszukiwania satysfakcji i próbowałem odczuwać tylko ulgę.

– Ale ona była taka lojalna, że jak jakiś narieczony oświadczył się jej, to ona zawsze mówiła: „Owszem, kochanie, ale ja jestem łysa.” I zdejmowała perukę...

– Teść, choć był sfanatyzowany, nie dał na mnie złego słowa powiedzieć, szczylił się mną, „wy się śmiejecie, a my pieniądze będziemy rachować”, bo ich nam nie brakowało...

Przesuwałem się w stronę sali głównej. Przy wejściu kilkanaście osób patrzyło w górę, na krążącą pod sufitem lampę w kształcie sputnika, dającą kolejno światło czerwone, zielone i białe.

– Bardzo dużo przychodziło do mnie młodzieży, bym ich uczył grać na akordeonie. Po tej linii miałem też kwalifikacje i często grywałem na różnych ucztach towarzyskich zarobkowo. Dużo tym pomagałem sobie, a jeśli chodzi o naukę młodych, to z zamiłowania bezpłatnie uczyłem ich.

– No chodź stąd!

– Nie.

– Więc kiedy ten gestapowiec kopnął mnie w dupę, to mnie to niesłychanie podnieciło.

– I rozumiesz, on wywiózł ją za miasto i skręcił w boczną aleję.

– I wtedy, jak ona zdejmowała tę perukę, to w ogóle każdy uciekał.

Przepchnąłem się w stronę umieszczonej w rogu estrady, gdzie wodzirej przeprowadzał naukę najmłodniejszego nowego tańca la-ba-da.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, bęc.

– Ferma drobiu promieniowała w całej Polsce, niestety, trzeba było pomóc władzom, które borykały się z trudnościami. Coraz więcej czasu traciłem na pracę społeczną, społeczeństwo zaczęło mnie nienawidzić, ja widząc obce do mnie ustosunkowanie się społeczeństwa przyjmowałem funkcje. Spółdzielnie trzeba było zakładać, byłem przekonany. – Podał mi kieliszek dużą dłonią, jakby za dużą dla niego, powiększoną przez to jeszcze, że wyłaziła z przykrótkich rękawów czarnej marynarki, która z przodu w ogóle nie mogła się dopiąć, wci-

snał mi go i te za duże ręce przyciągnęły mnie bliżej, a on mówił wyschniętym, matowym głosem, mówił dalej, chociaż nie znałem go w ogóle i nie odpowiadałem. Zaczął opowiadać może dlatego, że zatrzymałem przez chwilę wzrok na nim, to znaczy na tych rękach, kusej marynarce i pozacinanej przy goleniu, cienkiej szyi, pociętej zmarszczkami, w których zaschły ślady krwi. Mówił więc, chociaż przerywałem mu, tłumaczyłem, że musiał się omylić, że w niczym mu nie mogę pomóc, dalej wypowiadał jednostajnym głosem słowa, do których nie miał żadnego przywiązania, i mówił jakby bez nadziei, że któreś z nich może mną wstrząsnąć, poruszyć, wytrącić z obojętności. Dlatego pewno nie kontrolował mojego zachowania, nie badał, czy słucham, tylko manewrując rękami przytrzymywał mnie, przesuwając się ze mną stale.

– Działo się to ze mną, działo! A co się działo! Takie głupstwo, że mi nagle dwudziestoczoletnia żona zmarła. Co tam, głupstwo z żoną. To jest sprawa spółdzielni.

– Tak więc jednego razu ta żona szwedzkiego konsula prosi go, żeby wyjechali, ot tak, wieczorem na spacer. A potem mówi mu: „Zatrzymaj, kochanie, na chwilę, przejdźmy się.” Bo ona nic nie wiedziała o tamtejszych zwyczajach...

– Ale raz spotkała takiego mężczyznę, że jak zdjęła przed nim perukę, to on ani drgnął.

– No chodź...

– Nie mogę, jestem z kimś.

– To niemożliwe: pogrzeb kościelny, żona działacza – tak mówili.

Z boku pomachał mi ten dawny kolega. Próbował z narzeczoną wciągnąć się w la-ba-da.

– Co u ojca? – krzyknął. – Zresztą pogadamy potem. – Uśmiechnął się i otarł pot z szerokiej, zarumienionej twarzy.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, la-ba-da...

– Była noc. Budzę się, a tu stoi osoba nade mną, trzyma siekierę w rękach. Prawie miał zadać cios. Szybko pochwyliłem go i odebrałem mu tę siekierę. Mówię do niego: „Teściu, co wy robicie?...”

Przeciskałem się przez coraz ciasniej wypełnioną salę, wirujący sputnik rzucał teraz światła srebrzyste i żółte, odbijające się efektownie w chromowanych poręczach krzeseł. Anna miała stolik blisko zasłoniętego okna, pomachała mi ręką, Maciek napelnił kieliszki uśmiechając się uprzejmie. „Nowy Rok, Nowy Rok” – zanucił. Odpowiedziałem ciepłym uśmiechem. Anna pogłaskała go po twarzy.

W sali balowej nastąpiło pewne zamieszanie w związku z przygotowaniem do występu artystów. Wodzirej zapowiedział przerwę w szkoleniu w la-ba-da i zaprosił na estradę piosenkarza. Nasz stolik znajdował się na podwyższeniu, więc wszystko było znakomicie widać. Piosenkarz był bardzo młody, śpiewał historię o chłopaku ze Śląska, którego Niemcy wzięli do wojska, ale on nie chciał walczyć z braćmi, więc zamknięto go w celi, a on wtedy myślał o swojej dziewczynie. Czterech chłopców z gitarami włączyło się chórem we fragment o dziewczynie.

Anna zapytała, gdzie się podziewałem, i teraz mnie pogłaskała po twarzy. Wyjaśniłem, że chciałem obejrzeć wszystko, że teraz się tańczy nowy taniec la-ba-da – trochę ją to zainteresowało. A ja zastanawiałem się, co tu właściwie robię, po co siedzę z nimi przy stoliku, i zacząłem przez chwilę rozczulać się nad swoją sytuacją, swoją samotnością tutaj, a potem pomyślałem o pierwszym spotkaniu z Anną, kiedy po odejściu ostatnim Ewy zdecydowałem się podejść do niej, a przedtem długo ją obserwowałem, bo jadaliśmy w tym samym miejscu obiady. Przychodziła tam z Maćkiem, którego również nie znałem, ale kiedyś zjawiała się sama i wtedy przysiadłem się, bo naokoło nie było miejsc, a właściwie to ona uśmiechnęła się i zaproponowała, żebym usiadł.

Tymczasem chłopak w tej piosence został rozstrzelany, zresztą do końca myślał tylko o swojej dziewczynie, w związku z czym zdawać się mogło, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Chłopcy na gitarach urwali, włączył się perkusista imitując werbel, zgasło światło, po czym na estradę wbiegły cztery modelki w spódniczkach mini. Sala zareagowała żywymi oklaskami.

Wtedy Anna zgodziła się iść ze mną do innego lokalu, potem jeszcze innego, a kiedy odprowadzałem ją o trzeciej nad ranem do domu, trzymaliśmy się za ręce i szliśmy przez park, a ona podnosiła liście z ziemi i układała z nich bukiet, do którego ja, radośnie rozczulony, dołożyłem parę liści, a ona, zawsze dotąd obojętna, biegała teraz z rozsypanymi włosami, co było wspaniale zaskakujące. Potem wyszliśmy z parku, znów trzymając się za ręce, i szliśmy już między kilkoma starymi, ocalałymi w czasie wojny domami, gdzie Anna kiedyś mieszkała. A dalej było dawne getto, tam gdzie stoją teraz nowe bloki. Weszliśmy do takiej ocalałej bramy już inaczej, uroczyście, ona szła pierwsza, a ja za nią, poruszony odkryciem jej wrażliwości wielkiej i smutku, którego w niej nie przeczuwałem.

– Więc ona stoi przed nim kompletnie łysa, z gołą głową, a on jej na to mówi: „Kochanie, ja cię kocham nie za twoje włosy, tylko za inne względy...”

Starałem się stapać cicho, bo nasze kroki rozbijały uroczystą ciszę. Anna powiedziała, że tam dalej, w bramie, są kolorowe kafelki, które pamięta z dzieciństwa, i były te kolorowe kafelki. Że dalej będzie kolorowa szyba, i była szyba. Potem znów wywoływała obraz tamtego muru, opierając się o kafelki parę metrów ode mnie, i wyglądała teraz bardzo młodo.

Spod błękitno-srebrzystego nieba z bibuły obserwował mnie tamten obracając w za dużych rękach kieliszek. Przedtem obszedł dwa razy stolik, teraz stał oparty o framugę okna, stał prawie bez ruchu, czasem tylko wychylał się, kiedy rozdzielali nas przechodzący ludzie, sprawdzał, czy siedzę dalej, i spokojnie czekał.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, la-ba-da, bęc! – rozbrzmiewało znów z sali głównej. Teraz spory tłum przesuwał się do sali balowej. Uniosłem się na próbę i zaraz poruszył się tamten przy oknie. Usiadłem myśląc znowu o tamtym wieczorze z Anną, o tym, jak wzruszałem się tą szybką i tymi kaflami, podbijałem w sobie to wzruszenie starając się nie myśleć o Ewie.

– I niech pan sobie wyobrazi, otóż po tym ślubie zaczęły jej odrastać włosy na wskutek miłości...

Posunąłem się w stronę sali holując za sobą tamtego.

– Więc mówię do niego: „Teściu, co wy robicie?! Przecież gospodarstwa nie oddałem do spółdzielni. Cóż ja jestem winien, że Marysia zmarła?” Widząc jego rozczarowanie gwarantuję mu, że odejdę od niego, zostawię mu całe gospodarstwo, które tak rozbudowałem i zagospodarowałem.

Potem przytuleni wchodziliśmy po schodach, minęliśmy szereg drzwi, zatrzymaliśmy się na końcu korytarza. Anna powiedziała, że znalazła niedawno koło domu, w skopanej ziemi, srebrny pierścionek, a na nim dwa imiona i gwiazdę, i wtedy długo nie mogła się uspokoić. Wyjęła klucze i widząc, że robię krok do przodu, szepnęła, że nie mogę wejść dalej, ponieważ czeka na nią ktoś, kogo kocha i kto ją kocha bardzo. Zacząłem ją całować, a wtedy ona pociągnęła mnie kilkanaście metrów dalej, gdzie była winda, powiedziała, że po tym pierścionku długo nie mogła przyjść do siebie, i przyłgnęła do mnie mocno. Przesuwała dłoń coraz niżej, wolno osuwając się na kolana. A ja oparłem się o ścianę i najpierw myślałem, że zacznę się śmiać, a potem starałem się nie myśleć o niczym.

– I wtedy jak ten konsul szwedzki z żoną wysiadł z samochodu, to zaraz obskoczył ich tłum Turków.

– Wyzywał na mnie: „Ty bezbożniku, komunisto, bolszewiku! Pan Bóg polecił mi ciebie zabić!...”

– I teraz we mnie narasta konflikt: czy oddać się temu gestapowcowi, a był to cudowny chłopak, czy zachować się z godnością i dać mu w twarz.

– Jak się zaczął do niej zabierać, to ona wysiadła z samochodu. Więc on jej mówi, żeby go chociaż pocałowała...

– „Zabiję, zabiję cię, nie ujdiesz z życiem. Pan Bóg skarał mnie za to, że trzymałem cię w domu. Dawno ludzie o tym mówili... Skarał mnie tak, że córkę zabrał. Ale wiedział Bóg, co robi. Biedna męczenniczka miała za męża antychrysta z samego piekła...”

– A jak by się pan zachował na moim miejscu po takim kopnięciu?

– Wtedy ona zgodziła się, wsadziła głowę przez okienko do auta, a on przykręcił jej głowę szybką i zaszedł ją od tyłu.

– Tańczymy la-ba-da... – Wodzirej urwał na moment, spojrzął na zegarek i przypomniał, że za dwadzieścia minut, czyli o godzinie dwudziestej czwartej, odbędzie się zapowiedziana w programie eksplozja sztucznych ogni.

Przepychałem się między tańczącymi, ale tamten kluczył za mną i chociaż chwilami zostawał z tyłu, docierały do mnie coraz nowe fragmenty jego sprawy. Przez chwilę próbowałem go przekonać, żeby dał spokój, ale on nie przerywał, sunął za mną ciągle, chociaż nie wyglądał na pijanego.

– Miałem dwie drogi do wyboru: zgłoszę tę sprawę do prokuratora, co zakończyłoby się kryminałem teścia, ale po rozpatrzeniu sprawy wybrałem drogę drugą – humanitarną. Odszedłem pozostawiając teściowi całe gospodarstwo, udowadniając, że są działacze partyjni o wysokim humanizmie socjalistycznym. Nie tak, jak ludzie mówili, że najgroźniejszy człowiek na świecie to jest komunista.

Ten mój kolega wyćwiczył już zupełnie niezłe nowy taniec la-ba-da, tańczył go dalej z narzeczoną. Pomachał do mnie rozpromieniony i znowu zakołysał nierytmicznie ciałem. I właśnie teraz, dopiero teraz poznałem go.

Kubula trącił mnie w ramię. Przyciskał w tańcu tę rudawą piosenkarkę. Przyjrzałem jej się uważnie. Właściwie nie była ładna: szeroka, dosyć pospolita twarz, za duże usta. Ładne miała tylko oczy.

– Słyszałem, żeście się już poznali i zrobiliście dobre wrażenie. Spodobałeś jej się. Kubula wie o wszystkim. No nic, zajrzę teraz do Anny. – Przystanęli koło mnie. – Prawda, że Kubula dobrze tańczy? Fajny jest Kubula, nie? Dziewczyny lubią Kubulę. Wpadniemy razem do Anny?

Wyjaśniłem, że z Anną rozstałem się przed chwilą i teraz chcę się trochę rozejrzeć. Kubula wziął Blankę za rękę i pociągnął ją do drugiej sali. Obserwowałem znowu taniec tamtego kolegi, dziwiąc się, jak mogłem nie poznać go od razu. Opowiadałem przecież o nim wiele razy, opowiadałem Ewie wtedy, kiedy jeszcze wszystko było dobrze, ona śmiała się, a ja odczuwałem jednak dumę, że znalazłem dla niej pokój, wyciągnąłem ją od matki. Widziałem w jej oczach ogromną wdzięczność i nadzieję na rozpoczęcie normalnego życia.

Coraz więcej osób umiało tańczyć nowy taniec la-ba-da. Tuż przede mną kołysał się ten kolega. Jego serdeczność i wylewność, wyćwiczone starannie już wtedy, przetrwały, nawet w nieco ulepszonej formie. Przypomniałem sobie tę zabawę szkolną sprzed lat dziesięciu, kiedy odwołał na bok aktywistów i powiedział: „Koledzy, wróg dostał się na zabawę”, następnie usiadł przy radioli i zaczął pacyfikację płyt: tango o ustach czerwonych odpada, sambo, gorący rytm, odpada, fokstrot *Kolej-kolej* na razie odłóżmy na bok.

– Wydzielono mi działkę przyzagrodową ze spółdzielczego pola. Z przybraną żoną i z dzieckiem po pierwszej żonie zamieszkałem w zbitej z desek odpadowych izbie. Społeczeństwo, podobnie koledzy z aktywu, jeszcze bardziej kpiło ze mnie. Mówili między innymi: „Chciało mu się Kalwarii, to niech śpiewa”, tak więc załatwili się ze mną za ten pogrzeb kościelny. Stwierdzić muszę, że dostałem pomoc od obcych ludzi, nie związanych ze mną. Ludzie ci znali mnie z muzyki o wysokim stopniu.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni dyrekcji, że urządziła nam wypoczynek sylwestrowy właśnie tutaj, w perle miejscowości. Bo to i las, i woda. Dlatego też proponuję wzniesienie zdrowia dyrektora tym symbolicznym kieliszkiem wina.

Dlaczego teraz wczepiałem się jeszcze ciągle w Ewę, może po prostu ze strachu? Zresztą ona przedtem też wczepiała się we mnie, wymagając rzeczy, których wymagać nie miała prawa. Wiedziałem, że mam sam zbyt mało, że to, co jej dawałem, jest okradaniem siebie, ponoszeniem ofiary, ofiarowując czułem się skrzywdzony, miałem świadomość upływającego czasu, wymykania się życia i sposobności. Za to otrzymywałem jej wdzięczność, oddanie i ufność, za dużo ufności; to obnażało moją słabość.

O litość prosiłem ją coraz częściej, o spokój, litość. Oskarżałem się chętnie, wiedziałem przecież, że daję zbyt mało, ale inni dawali jeszcze mniej i jej, i mnie. Jednak wszystko, co dawałem, było skażone wyrzeczeniem, osaczałem ją swoim egoizmem, zapewniałem, że czuję swoją małość, mam wielki żal do siebie. Oskarżałem się bardzo chętnie, zaszczuwałem głośno, co oczywiście nie było żadnym usprawiedliwieniem, bo pozostawały zdarzenia, zachowania, słowa, których samooskarżenie nie mogło wyciszyć, zatrzeć. Chyba próbowałem także sprawić, aby stała się taka jak ja, i za to miała do mnie żal największy. A ja próbowałem długo narzucić jej swoje widzenie wszystkich spraw i robiłem to konsekwentnie, rozbijając jej wiarę, niszcząc jej wartości – dopiero potem zrozumiałem, że miała tej wiary jeszcze mniej ode mnie, że wiedziała chyba o wiele więcej i dlatego właśnie broniła się tak zawzięcie, broniła tego, co jeszcze między nami było, potrafiła być długo taka silna.

– Wznosząc ten kieliszek symboliczny życzę wszystkim pracownikom szczęśliwego Nowego Roku.

– Nie łamałem się, działałem sercem i duszą i z siłą, jak było potrzeba w spółdzielni. Około dwa razy w tygodniu prowadziłem wieczorki taneczne. Ciężko pracowałem półtora roku w warunkach niehigienicznych, po szesnaście godzin. Przez cały czas nie miałem święta, pracowałem jako oborowy opiekując się dwudziestoma siedmioma sztukami bydła.

Jednak nie mogłem odejść od Ewy zbyt daleko. Ta odległość teraz była dobra, lepsza, chociaż właściwie nie była to nawet odległość, tylko przepaść. Nie chciałem w to do końca uwierzyć i myślę, że ona też, chociaż była już z kimś, a ja temu nie przeszkodziłem. Dalej czepialiśmy się siebie płacąc za to wielką cenę, bo nie mogliśmy wypełnić tego niczym ani poprawić, ani złączyć. Wykonywaliśmy tylko półposunięcia, półgesty, potem przykrywane różnymi słowami, których fałszu ukryć się nie udawało.

– Więc jej mówię: „Co będziemy łączyć po mieście jak osły. Mam w domu kawał pysznej polędwicy i coś do wypicia.”

– Niezwłocznie po północy przystąpimy do noworocznego rozdawania upominków. Koleżanko, zechciejcie ustawić ten akt od strony organizacyjnej.

– Przez towarzyszy z wyższego szczebla często publicznie byłem krytykowany niesłusznie za niedopilnowanie obory. Mówili, że się muzyki chce leniowi. Wieczorki zaczęły być coraz to bardziej monotonne. Byłem już wyczerpany.

– Przyprawiam ją do domu i mówię: „Kochana, znamy się stosunkowo niedawno i nie chciałbym, żebyś mi wycofała z mieszkania jakieś precjoza.”

W sali głównej trwały eliminacje do konkursu na wykonanie tańca la-ba-da. Wyłoniono już cztery pary finałowe. Potem nastąpiła dekoracja zwycięzców. Pod sufitem wirował sputnik błyskając teraz światłem żółto-niebieskim. Przez wywiercone w suficie otwory sypało się miarowo confetti. Anna przytuliła się do mnie w tańcu, zapytała, dlaczego jestem smutny, potem roześmiała się szepcząc, żebym nie był głupi i że chyba nie jestem zazdrosny. Odpowiedziałem, że raczej nie jestem, ale że może by wróciła do Maćka, któremu może być przykro. Przytuliła się do mnie jeszcze mocniej i pokręciła przecząco głową, bo przecież Maciek mnie bardzo lubi.

Maciek chyba lubił mnie rzeczywiście, a w każdym razie, kiedy spotykaliśmy się w mieszkaniu Anny, zachowywał się serdecznie i wyrozumiale. Właśnie się rozwodził i miał się żenić z Anną. Powstał między nami rodzaj porozumienia: ten, który zjawiał się pierwszy, wychodził w parę minut po wejściu drugiego. Oczywiście, zdarzały się sytuacje, kiedy to się

nie sprawdzało, na przykład przychodziłem tuż po nim albo on w parę minut po mnie, jednak i wtedy przestrzegaliśmy tej zasady.

Kubula pojawił się u Anny dziesięć dni temu. Kiedy przyszedłem wieczorem, kręcił się po mieszkaniu, potężny, opalony, z twarzą rozjaśnioną nieustającą radością życia i wielkim z siebie zadowoleniem, krążył w białej koszuli z zawiniętymi rękawami i pokazując białe zęby przygotowywał kolację. – Już Kubula zaparzył herbatę i Kubula chleb pokroił – oświadczył po uściśnięciu mi dłoni. – Miły jest Kubula, prawda? – Musiałem przyznać, że jednak było coś rozbijającego w jego idiotycznym zadowoleniu z siebie. – To mój przyjaciel z Katowic – przedstawiła go Anna. – Bardzo miły. Dziewczyny w Katowicach za nim szaleją. – I wyczuwając moje zakłopotanie, pogłaskała mnie po twarzy. Pomyślałem wtedy z przykrością o Maćku, który przecież zaraz miał nadejść. Kubula rozłożył tymczasem obrus, a Anna włączyła telewizor. Zauważyłem, że denerwuję się z powodu Maćka, pomyślałem, że go polubiłem, poczułem się dość głupio, chociaż przez chwilę starałem się wydobyć z tej sytuacji jakieś momenty dramatyczne. Żałowałem, że nie ma Ewy, żebym mógł jej to opowiedzieć, wykrzyczeć swój upadek, chociaż Ewa oznajmiła ostatnio, że nie zgadza się na żadne oczyszczanie się przy niej, że to będę musiał załatwiać sam. Potem rzeczywiście przyszedł Maciek, rozejrzał się niepewnie, ale Kubula posadził go zaraz przy stole, Anna pocałowała i zdjęła płaszcz. Maciek usiadł, podał mi rękę ze smutnym uśmiechem.

– Może cukru? – Kubula już sam sobie osłodził. – Mizerny jesteś, Maćku. – Kubula jeszcze zje. – Co u pana słyhać? – Może wino otworzyć? – Kubula otworzy. – Usiłowałem wmówić w siebie, że upaja mnie płaskość tej sytuacji, jednocześnie zastanawiałem się nad zakończeniem. Ja przecież wyjdę, ale Kubula przyjmie reguły gry, które się zresztą niesłychanie komplikują? – No to będę leciał – podniosłem się. Maciek pokiwał smutnie głową. Anna uśmiechnęła się, a Kubula powiedział, że ma do mnie dwa słowa. – Bo widzi pan – przystanął w drzwiach – ja tu przyjechałem na dziesięć dni urlopu, żeby się zabawić. Anna to, wie pan, stara historia. A pan musi mieć jakieś kontakty, pan wygląda na fajnego chłopaka, Kubula zna się na ludziach. Ja bym się odwdzieczył w Katowicach. A ten, co przyszedł, to jej narzeczony. Swoją drogą, co ona w nim widzi? Zdechłaczek. Mam wyjść za pół godziny. – Odpowiedziałem, że oczywiście bardzo chętnie, że się skontaktujemy i wyszedłem na korytarz. Kubula zamknął drzwi, a ja oparłem się o ścianę i wyprowadziłem z wściekłością parę ciosów, po czym utwierdziłem się w przekonaniu, że postąpiłem słusznie, bo i tak nie dałbym rady Kubuli.

– Do tego budowałem domek murowany, wprawdzie mały, o powierzchni trzydzieści dwa metry kwadratowe, jedna izba, jeden pokój. Na dobre załamałem się, jak na działce przyzagrodowej zaprowadziłem fermę drobiu i zaatakowany zostałem przez towarzyszy z wyższego szczebla, że robię się kapitalistą. Prezesowi z geesu zapowiedziano, że pod karą nie wolno ode mnie kupić jaj ani sprzedać pasz treściwych. Kurczęta trzeba było zlikwidować.

– Następnie wprowadziłem ją do pokoju egzekucyjnego i mówię, że dla mnie ten wieczór jest bez puenty.

– Bezpartyjni i partyjni mogli mieć dwie krowy, trzy świnie i tak dalej, a mnie zrobili kapitalistą.

– Tańczymy la-ba-da, la-bada, la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, la-ba-da, bęc!

Znów zatrzymał mnie tamten kolega. Na szyi bujał mu się papierowy medal za drugie miejsce w konkursie la-ba-da. Plecy przysypane miał confetti. – Wpadnij koniecznie po dwunastej! To jest moja... narzeczona – zaprezentował ją Annie. – Aha, pytała o ciebie Blanka. Powinieneś z nią zatańczyć, świetna dziewczyna.

– Więc, uważasz pan, ten nauczyciel emeryt miał służącą i żonę i z tą służącą miał córkę. Następnie wybuchła wojna...

– W tym czasie na wsi zrobiono zabawę. Zespół orkiestralny prosił mnie, żebym wziął udział na akordeonie. Chętnie parę złotych zarobię – pomyślałem, i tak się stało, że na zabawę

ekstratowarzysze z wyższego szczebla zaplątali się pijani. Jeden kopnął do mojego akordeonu. Ja, do ostatniego, zrujnowany nerwowo, zabrałem akordeon do domu.

– Następnie, po wojnie, jak zaginęła żona i służąca, on się ożenił z córką...

– A papiery?

– Wojna była, panie, zafalszował.

– Po kilku dniach ogłosiłem sprzedaż akordeonu. Sprzedałem za siedem tysięcy, a mogło być dziewięć, niestety, był zepsuty. Sprzedałem aparat foto i radio, bo jak bez kultury, to bez kultury. Tak zostałem zepchany na samo dno.

– Następnie on z tą córką miał trzy dalsze córki i tak się, uważasz pan, urządził, że z dwiema starszymi już po trzynastce również normalnie prowadził życie.

– Dlaczego pan jest sam? – uśmiechnęła się Blanka. Wyjaśniłem, że nie jestem sam, tylko z Anną, Maćkiem i Kubulą.

– Ale bez dziewczyny.

Powiedziałem, że tak jakoś wyszło.

– Chciałam z panem zatańczyć od razu, kiedy pana zobaczyłam. Jest pan zaskoczony? Niech pan powie tylko: tak czy nie?

Powiedziałem, że tak, że jestem zaskoczony.

– No to tańczymy. Widzi pan, pana to dziwi, a to naturalne. Ja po prostu do wszystkiego doszłam sama. Mieszkałam w czasie okupacji w Warszawie niedaleko muru, za którym było getto. Jeszcze dziś, jak tam idę, chce mi się płakać. Tam są takie stare bramy... Potem byłam w Domu Dziecka – nie lubiano mnie, byłam ambitna, wszystko musiałam zdobywać sama. Dlatego mogę tańczyć, z kim chcę.

Powiedziałem, że ją rozumiem.

– Czy słyszał pan moją ostatnią piosenkę? Odparłem, że nie, ale podobno jest udana.

– Jest fatalna, niech pan nie wierzy. Robią ze mnie kogo innego. Napijmy się.

– Dobrze. Wypiliśmy przy barze.

– Niech pan słucha – mówiła dalej – teraz odejdę od pana, ot tak, po prostu. Stać mnie na to. Zaskoczy to pana? Tak czy nie?

– Tak – oświadczyłem – bardzo.

– No właśnie. Ale może wróć.

– Tak?

– Tak, może. Teraz odejdę.

Sputnik zawirował po raz ostatni, zatrzymał się i zgasł.

– Uwaga, zbliża się godzina dwudziesta czwarta, czyli równa północ. Zapraszamy w stronę okien w celu obserwowania fajerwerków wykonanych przez wytwórnię „Fajerwerk”, od niemieckiego *Feuer* – ogień.

Zaczął się ruch w stronę okien, potem na niebie rozsypały się czerwono-niebieskie gwiazdy. Równocześnie zegar zaczął wybijać północ. Strzeliły korki od шамpana, zgasło światło, orkiestra wykonała efektowny tusz. Z daleka pomachali do mnie Maciek i Anna. Przeciskali się w moją stronę przez zbity tłum.

– Pernambuko – mój dawny kolega ucałował mnie trzykrotnie. Potem ścisnął się z jego narzeczoną. – Ożenię się z nią – powiedział. – Jej ojciec ma warsztat, przejdzie się tylko po Chmielnej i już ma piętnaście tysięcy. Trochę z nim współpracuję. A ty co?

– Tak jakoś. Skończyłem studia, coś kombinuję.

– No to w porządku. Grasz?

– W co?

– No, czy grasz w pernambuko? Na pewno grasz, musisz grać. Twój stary przegrał w pernambuko i ja przegrałem w pernambuko. Może nie wiesz, ale grasz. No, to wypijmy. Wypijmy za to, co było, za dawne czasy, no i za to, co teraz. – Ujął mnie silnie pod ramię, był już chyba mocno pijany, czerwoną, szeroką twarz pokryły mu kropelki potu. Odprowadził mnie

na bok. – Chodź, pogadamy – mrucał przepychając się przez kotłujący się tłum ludzi, wymieniających życzenia, okrywających się pocałunkami. – To jest poker, rozumiesz, poker! – Odciągnął mnie pod błękitno-srebrzystą ścianę, pięknie odbijającą połyski znów zapalonych lampy-sputnika. Za nami przeciskała się narzeczona. – Licytujesz, rozumiesz, zostajesz na końcu z jednym facetem, cała reszta odpada, a ty masz najwyższego pokera. Wykładacie karty i on nie ma nic, jedną parę czy coś. Więc myślisz, że wygrałeś, ale wtedy on mówi: per-nambuko. Rozumiesz?

– Jakie per-nambuko? – wtrąciła się narzeczona. – Jakie per-nambuko?

– Czekaj, Inga. Otóż, rozumiesz, on ma spluwę i dlatego wygrywa per-nambuko, a nie poker, rozumiesz mnie? Tak jest, stary, tak jest.

– Upiłeś się – powiedziała narzeczona.

– Czekaj, czekaj. Ty wygrywasz, ale ciągniesz grę dalej i teraz, uważasz, ty masz per-nambuko, ale nie wygrywasz, bo per-nambuko jest już nieważne, skończone, tylko znowu poker. Tak jest, stary, to jest hazard kontrolowany. Pozdrów ojca – machnął ręką.

– Chodź już, posiedź trochę – narzeczona Inga uśmiechnęła się do mnie. – Zawsze, jak się upije, to tak gada. Chodź.

– Dobra. W porządku. Ożenię się z nią. No, na razie. Twój ojciec na tym wyorłował, na per-nambuko. Pokręciłem przecząco głową.

– Jak to nie?

– Nie na tym.

– Ty wiesz, kto to był twój stary?

– Wiem.

– No i klawo. Był wspaniały facet. Ty nie myśl, że ty nie grasz. Wszyscy grają. Ale twój stary grał w to namiętnie i dlatego dał takiego dubla. – Poprawił medal za drugie miejsce w la-ba-da i wycofał się, pociągnięty przez narzeczoną.

– Wznawiamy obecnie zabawę – rozpoczął wodzirej. – Wznawimy ją tańcem la-ba-da. Pożegnaliśmy wszyscy rok stary z uczuciem żalu, gdyż przeżyliśmy w nim wiele intensywnych chwil z naszego życia. Prosimy orkiestrę! Tak więc – z Nowym Rokiem nowym krokiem!

– Najlepsza spółdzielnia w całym powiecie rozwiązała się. Bronić jej byłem bez sił. Po załamaniu się duchowo załamany zostałem fizycznie. Po zbadaniu mnie przez lekarza chwycił się za głowę. W pięćdziesiątym szóstym roku towarzysze pochowali głowy w piasek, a do mnie wszystkie pretensje wsi i spółdzielców. Stałem oficjalnie i publicznie na zebraniach. Od czterdziestego ósmego dopiero teraz zakupiłem garnitur. Tak wyglądało moje życie, dlatego, że głowę położyłbym za rzeczywistość, która zaistniała. Obecnie pracuję za tysiąc osiemset złotych w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Nie chcę się szczyścić swymi zdolnościami, które przepadły.

Tamten kolega widocznie doszedł już do siebie, bo wyginał się z narzeczoną, znowu uśmiechnięty, w la-ba-da.

Nie, ojciec z pewnością w nic nie grał, nie tak jak tamten, który teraz ma koncepcję Golgoty i z patetyczną rezygnacją przejmuje wyhodowaną córkę z dodatkiem warsztatu. W nic nie grał chyba do końca, i wtedy, kiedy chodził po domu ciężkim krokiem czekając na przyjazd samochodu, i przedtem, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy w mundurze zwycięskiej armii i kiedy z płaczem uczepliłem się jego szerokiej, dużej ręki, a świat wrócił od razu do normy, bo wiedziałem, że to już koniec krzywd moich i matki. On chyba też bardzo się wzruszył, tak w każdym razie opowiadała później matka, bo mu byłem potrzebny ze swoim zaufaniem bezgranicznym, pragnieniem słuchania go i przestrzegania zasad i praw, które teraz miały stać się obowiązujące w moim życiu. Tak samo chodził po pokoju w parę lat później, tłumacząc mi życie, porządkując sprawy. Wtedy pił więcej, o czym też powiedziała mi matka, zresztą uważałem, że wiedział, co robi. Matka zawsze była z boku. Kiedyś próbowała mnie

odzyskać opowiadając o kochance ojca. To była prawda ale ojciec zaprzeczył – i matka poniosła ostateczną klęskę.

– I rozumiesz, żonę tego konsula szwedzkiego złapali za ręce, zaciągnęli na bok i zerznęli.

– Śmieją się z Hitlera, że malarz, że wasy ma, a on chciał mądrze...

– Bo to trzeba robić tak: jak przychodzisz na zabawę albo gdzieś do lokalu, to wybierasz sobie najbrzydszą na sali, patrzysz na nią i pijesz, pijesz i patrzysz...

– My we dwójkę moglibyśmy uratować ten film...

– A on chciał, żeby Niemcy leżeli sobie na hamaczkach, a Słowianie żeby im winko przynosili...

– Ratowanie tego filmu nie ma sensu...

– Ty wiesz dobrze, że miałyby sens.

– Ale jestem w nim za biały.

– Wypijesz znowu i znów na nią patrzysz, i jest w porządku.

– Wcale nie jesteś za biały.

– A kiedy wypijesz, spojrzysz na nią i stwierdzisz, że byś ją przeleciał, to znaczy, że jesteś już pijany i musisz iść do domu.

– Czy występowałeś kiedyś nago na wernisażu?

– Jednak z całą pewnością jestem za biały.

– Ja występowałem cały pomalowany na złoto, poza kutasem, żeby się kutas nie uduślił.

– Nie zazdrościsz ludziom, którzy zdobyli wysokie kwalifikacje i którzy pod dostatkiem żyją sobie, ale w oderwaniu od ideologii marksistowsko-leninowskiej. Nauka ta przyszła im za darmo i uważam, że nie będą się tym panoszyć i nadęci chodzić jak burżuje. Rozczarowany jestem, że padłem ofiarą trudności. Bardzo wyczuwam poniżenie, dlatego że tak byłem spychany na samo dno. Nie mogę nabrać entuzjazmu, który umarł we mnie. Pod tym względem będę miał trudności dalej. Jestem na dnie zmarnowany i niewinny – wychrypiał koło mnie, ciągle patrząc trochę obok. Potem przerwał, jakby czekając na odpowiedź. Stał spokojnie pod błyszczącym niebem i czekał na coś, co jego zdaniem powinienem odpowiedzieć czy wyjaśnić. Przepchnąłem się na próbę parę metrów w lewo i on, niemal automatycznie reagując, ruszył za mną. Oczywiście czuje się ofiarą, nie ma wyrzutów sumienia, jest tylko krzywdą, jego krzywdą. Wszyscy pokrzywdzeni, ja też skrzywdzony przez siebie, przez Ewę, przez wszystkich. Tylko co mu pomogę? Gdzie mam z nim iść? Postawić mu wódkę?

Zresztą może to w ogóle jakiś psychopata? Na pewno psychopata, który wymyślił sobie jakąś historię. Każdy może wymyślić taką historię, o to jest u nas bardzo łatwo.

– Zjawiałam się. Przyzna pan, że niespodziewanie. Tak po prostu przyszłam. I teraz zapraszam pana znowu do tańca. Tak sobie normalnie. Mnie na to stać.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, la-ba-da, tańczymy labada, la-ba-da, bęc...

– Ale mógłbym napisać o tym do gazety. Proponował mi współpracę pewien miesięcznik lśniący kolorami złoto-czerwono-niebieskimi, pokazujący Polskę przasną i uroczystą, eksportowo uśmiechniętą.

– Tańczymy la-ba-da...

Kiedyś ojciec wypił dużo i opowiedział historię zlikwidowania leśnej bandy. Opowiedział ją, jak zawsze chodząc po pokoju, a za nim krążył pies. Ojciec przywiózł go z kolejnej wyprawy, kundel właściwie bardziej podobny do lisa. Pies chodził za nim czujnym, skradającym się krokiem, na nas nie zwracał uwagi, natomiast z ojcem rozumieli się świetnie. Ojciec rozpoczął od tego, jak trudno teraz mieć do kogoś zaufanie, bo o ludziach za mało się wie, nie można ich poznać. I opowiadał dalej, jak złapali zastępcę dowódcy bandy i musieli dowiedzieć się natychmiast, gdzie jest dowódca, bo mieli informację, że szykuje nowy napad. Ale ten zastępca nie chciał mówić. – Wyjaśniłem mu, że musi powiedzieć, i on mnie zrozumiał, ale milczał. Wtedy musieliśmy go zmuszać, długo musieliśmy go zmuszać, bo od tego zależało życie innych. On nie powiedział nic, ale ja dowiedziałem się wtedy o nim bardzo wiele,

patrzac, jak powoli umiera, i on tez patrzyl na mnie, czulem, ze wie o mnie duzo. To byla sprawa miedzy nami. – Ojciec zamyslil sie, stanal. – Wiedzialem od poczatku, ze nic nie powie, ale dowiedzialem sie od niego, jak sie umiera. – Dostal sobie wodka, troche chwiejnie ruszyl znow przez pokoj. – Kiedy sie rozstawalismy, wiedzielimy chyba o sobie wszystko.

Blanka przytulila sie do minie mocno w tańcu. Z boku pomachal mi tamten kolega. Gdzieś zgubil medal.

– Bylam piekielnie ambitna i dlatego wyplynelam, tylko dlatego, ze bylam taka silna. Wszystkich mialam .przeciwko sobie... Ktos mi dobrze o panu mowil.

– Kto?

– Nie pamietam. Zatrzymalam sie tu w hotelu.

– Aha.

– Dziwny pan jest, taki powykręcany jak ja, ale tez czuje w panu jakas silę. Podobam sie panu? Powiedz tylko: tak czy nie?

Ta historia z psem rozegrala sie w jakis czas pozniej. On rozrosł sie, zzolkl jeszcze bardziej i prawie nie rozstawal sie z ojcem. Czasem wychodzil ze mna albo snul sie gdzieś z tyłu, jakby obserwujac mnie. Wtedy rzeka byla zamarznieta prawie zupełnie. Szedlem po lodzie, wyczuwajac za soba jego obecność. Kiedy wracalem, lod zaczal trzeszczeć, potem pekac. Zapadlem sie jedna noga, ale zdazyłem wyskoczyc na brzeg. Za mna z trzaskiem pekala kra. Odwróciłem sie i zobaczylem go – siedzial na sporej bryle lodu, miedzy nim a brzegiem bylo ze cztery metry wody. Prad wolno poruszal kra i lada moment mogl wyniesc ja na srodek nurtu. Zdziwilem sie, ze nie zdazył, ze zostal. Patrzylimy na siebie, poczulem suchosc w gardle, a on przygladal mi sie spokojnie, uważnie, rozplaszczony na tej krze, nie dajac zadnego znaku, nie zdradzajac zadnego niepokoju, i dopiero pozniej zrozumialem, ze po prostu czekal, ale juz wtedy wszystko wiedzial. Niedaleko mnie lezala gruba galaz – moglem przyciagnac kre do brzegu. Cofnalem sie po galaz nie spuszczajac go z oczu, a on wtedy przesunul sie na sam koniec kry i odslonil zęby. Zrozumialem nagle, ze boi sie mnie, nie liczy na pomoc, tylko mnie o cos podejrzewa. Zamachnalem sie galazią i zaczalem kruszyc kre obok, potem chyba staralem sie go trafic, ale nie moglem juz dosiegnac, wiec walilem wsciekle galazią, krzyczac, ze to jego wina, ze celowo tam zostal, zeby pokazac, ile wie o mnie, a on obserwowal mnie ciagle, juz nie warczac, spokojnie, nawet wtedy, kiedy kra wyplywala na srodek. Naraz zrobilo mi sie slabo, usiadlem na brzegu, potem polozylem sie jedzac snieg i chyba na chwile stracilem przytomność. Pies wrócił do domu w jakis czas po mnie. Na mój widok nie zawarczal, nie dal zadnego sygnalu, ze miedzy nami cos sie rozegralo – zniknal w pokoju ojca.

– Powiedz: tak czy nie?

– Tak.

– W porzadku. Lubię jasne sytuacje. Chociaz nie tańczysz najlepiej la–ba–da.

– Nie.

– Próbuje, bardziej kołyszac sie w biodrach, ograniczyc ruchy nog. Ręce wyrzuc na boki. Tak, teraz lepiej.

Taka scena jak ta, która wydarzyla sie na cmentarzu, kiedy ojciec idac na spotkanie delegacji potknal sie i zniknal w jakimś dole czy grobie, musiala sie wydarzyc prędzej czy później. Wygrzebal sie na czworakach, próbował wstac, zatoczył sie znou i chociaz spiker radiowy próbował ratowac sytuacje opowiadajac, ze ojciec klęka w celu rytualnego oddania czci, nie moglo to wiele pomoc. Bylo to jeszcze przed koncem tamtego okresu. Ojciec w nic nie gral i nawet nie mial świadomości, ze później nim grano. Troche wcześniej wyrażono mu uznanie za operatywnosc, a ja juz wtedy wiedzialem, co to znaczylo. Po tej historii na cmentarzu ojca przeniesiono na emeryture – to bylo wlasnie niedlugo przed koncem tamtego okresu, wiec pijaństwo ojca niektorzy potraktowali z sympatią. Najgorsze jednak, ze jego dawni wspoltowarzysze uwierzyli w te pogloski idiotyczne, ze on sie rozpil, bo zrozumial, nabrali

do niego niechęci i odsunęli się. On nie wiedział, o co chodzi. Krążył między nimi od mieszkania do mieszkania, przysięgał, że się nic nie zmienił, że jest taki sam, jak był, że się po prostu nad tym grobem pośliznął. Ale już mu nie wierzyli. A znowu ci nowi stwierdzili, że za późno zrozumiał, poza tym pijak, człowiek skończony. Zresztą dostał wysoką emeryturę – bo ordery. Powtórne małżeństwo matki przyjęto jako jednoznaczny gest potępienia męża, o którym dowiedziała się wszystkiego.

Tańczyliśmy z boku sali, z góry sypało się jeszcze ciągle confetti, sputnik wirował już tylko na białą. Dookoła tańczono trochę wolniej, w naszą stronę przepychał się Kubuła.

– Może chodźmy stąd – powiedziałem – gdzieś na bok, może napijemy się czegoś...

– Rozumiem cię – powiedziała Blanka. – Chodźmy. To mi się w tobie podoba.

Przeszliśmy przez bar. Hotel był po drugiej stronie, za parkingiem.

– Nie warto się ubierać – powiedziała Blanka. – Przebiegniemy.

Na dworze chwycił nas na moment ostry mróz, potem weszliśmy do hotelu. Blanka miała pokój na pierwszym piętrze, z widokiem na jezioro, teraz zresztą niewidoczne.

– Spodobałeś mi się od pierwszej chwili – powiedziała siadając na tapczanie. Uważnie zsuwała przez głowę balową suknię, starannie powiesiła ją na wieszaku. – Tu masz wieszak dla siebie. – Rzuciła go w moją stronę. – Fatalnie grzeją. – Wsunęła się do łóżka, szczelnie otulając kołdrą. – Przypomina mi się od razu Dom Dziecka. Połóż się raczej od ściany. Kontakt jest na lewo.

Przekreśliłem kontakt, położyłem się obok niej i wszystko narzuciła już ona. Wykonywałem więc tylko ruchy, czując na sobie jej uważne spojrzenie, wtedy też zacząłem patrzeć na nią, a ona przymknęła oczy poruszając się wprawnie. Spoglądałem teraz ponad nią w stronę zasłoniętego okna i pomyślałem, że tamten człowiek mógł mówić prawdę, i naraz wyobraziłem sobie tę scenę bardzo wyraźnie. Zobaczyłem otwarte szeroko okno i po chwili usłyszałem z dołu na asfaltowym podejździe histeryczny krzyk, później dołączyły się inne głosy, biegłem więc korytarzem, za mną dudniły jakieś kroki, przepychałem się przez stłoczoną grupę ludzi, rozstępujących się powoli, niechętnie, a on leżał tam z rozrzuconymi szeroko rękami, twarzy nie mogłem zobaczyć w pierwszej chwili, bo zasłaniał ją klęczący lekarz, ale przecież od razu dostrzec musiałem te za duże, sine teraz dłonie z zeszywniałymi, zagiętymi palcami wyciągnięte ku mnie, a za chwilę, kiedy lekarz już wstał, patrzące na mnie nieruchome oczy; lekarz coś mówił, usłyszałem tylko „nie żyje”, potem powtórzył to jeszcze raz i spytał, czy ktoś go zna, nie odzywałem się, bo to już nie miało żadnego znaczenia, kierownik hotelu martwił się, że to właśnie u niego się stało i w Nowy Rok, ktoś z boku dodał, że to musiało być z pijaństwa, dwaj sanitariusze umieścili ciało na noszach i przebijali się przez niechętny tłum, a ja zacząłem się oskarżać: przecież mogłeś mu pomóc, gdybyś się wtrącił w jego życie, chociaż z nim porozmawiał, może by nie doszło do tego, tak, byłeś obrzydliwie nieufny, to jego krążenie za tobą mogło być właśnie wołaniem o pomoc ostatnim, więc może to by się nie stało, to by się nie stało, gdybyś wypytał, poradził, miałeś możliwość uratowania go, sposobność uratowania życia nareszcie prawdziwą i przepuściłeś ją, jesteś teraz wciągnięty w tę śmierć, osaczony przez nią i wiesz, że już jest za późno, żeby coś odrobić, żeby uratować jego i siebie, odnaleźć prawdę o krzywdzie, która dosięgła tego człowieka właśnie dzisiaj, na noworocznym balu.

Usłyszałem przenikliwy krzyk Blanki. Krzyczała coraz głośniejsze. Poczulem coś w rodzaju satysfakcji. Oto odsłoniła się wreszcie zupełnie, zmusiłem ją do tego. Zrozumiałem, że jest mi jakaś bliższa, że coś między nami zostało usunięte. Nagle spytała bardzo spokojnie: – A ty, kochanie, czemu nie krzyczysz? – I znów zaczęła krzyczeć, patrząc wyczekująco, więc ja też krzyknąłem na próbę, potem jeszcze raz i krzyczeliśmy oboje bardzo głośno jeszcze dość długo.

– Było ci kiedyś tak cudownie? Odpowiedz: tak czy nie?

Odpowiedziałem, że nie, a ona z aprobatą kiwnęła głową.

– Musimy wstawać. Nie znoszę plotek. Chodźmy, podaj mi suknię. Musimy się jeszcze kiedyś zobaczyć. Zrobiło się późno.

Szedłem przy niej analizując jeszcze przez chwilę wszystko, co odczułbym, gdyby tamta scena wydarzyła się rzeczywiście, gdyby tamten człowiek się zabił. Szedłem smakując ową porażkę ostateczną, której świadomość towarzyszyłaby mi na zawsze, z której nie mógłbym już się wyzwolić, i wywoływałem w sobie uczucie ulgi, doznanie niemal prawdziwego odprężenia, że to się nie stało.

Blanka postanowiła, że wejdę w chwilę po niej, aby uniknąć podejrzeń. – Po co ludzie mają wiedzieć, są zawistni, chcą wykończyć każdego, kto się wybił, a wiesz, ile mnie kosztowała ta droga z Domu Dziecka tutaj, wyzwolenie się od tego muru i innych wspomnień.

– Tańczymy la–ba–da, la–ba–da, la–ba–da, tańczymy la–ba–da, la–ba–da, bęc!

– A kiedy ten konsul szwedzki rzucił się, żeby żonę bronić, to ci Turcy jego też zerznęli.

Żeglował w moją stronę Kubula. – Zawieruszyłeś się, szukałem cię, mam coś ciekawego.

– Halo – powiedziała Anna – gdzie się podziewasz? – Cześć, cześć – uśmiechnął się z boku tamten kolega. Na dworze robiło się szaro, przez zasłonięte błękitną bibułą okna przeciskało się trochę światła. Teraz już na pewno widać było jezioro. Wszyscy naokoło odczuwali wyczerpanie radością, tańczyli anemicznie, nawet wodzirej trochę przygasł. Rozglądałem się szukając tamtego człowieka. Stał oparty o postrzępioną, srebrno–błękitną planszę nieba i patrzył na mnie. Zastanowiłem się, czy czekał, czy szukał mnie, i wydał mi się naraz bardzo bliski. Oczywiście nie mógł wiedzieć, ile mnie z nim teraz łączy, ile wspólnie przeszliśmy. Przez chwilę chciałem nawet do niego podejść, odkryć przed nim swoją wrażliwość, ofiarować mu rzeczywiście jakąś pomoc, zapytać chociaż, czego ode mnie oczekiwał. I kiedy tak patrzyliśmy na siebie, nie wydawało mi się to pozbawione sensu. Potem szarpnął mnie za ramię Kubula. – No więc zobacz, że mam coś ciekawego. – Popchnął młodą, wydekoltowaną dziewczynę. – Mariolka, to jest Mariolka. Zakochała się w Kubuli, będziemy się z nią kochać.

Mariolka kiwnęła potakująco głową, zatoczyła się lekko i wsparła na Kubuli. Kubula spojrział na zegarek. – No to będziemy szli. Jutro muszę wpaść do mojego starego na grób, wypada go odwiedzić, no nie? Pewne formy obowiązują. – Znowu trącił mnie porozumiewawczo w ramię.

Biłem go po głowie zaciśniętymi pięściami, był silniejszy, ale dał się zaskoczyć, z tyłu łąpał mnie za rękę tamten kolega, bełkotał: „ty łobuzie, ty łobuzie” – wykręcając mi je boleśnie – „wiedziałem, że to kiedyś z ciebie wyjdzie!”, kopnąłem go w kolano, rozluźnił chwyt, wyrwałem się i złapałem krzesło, dookoła zrobiło się pusto, uderzyłem w zasłonięte okno rozrywając błękitno–srebrzyste niebo, posypało się stłuczone szkło, a ja zachłystywałem się głęboko świeżym, mroźnym powietrzem i krzyczałem: „wy dranie, chodźcie tu, no chodźcie!”, potem z boku błysnęła znów spocona twarz tamtego kolegi, rzuciłem się w jego stronę, ktoś mnie podciął, upadłem na parkiet, wtedy rzucili się na mnie wszyscy, próbowałem się wyrwać, ale nie miałem już sił, nad sobą widziałem rozwścieczone, poczerwieniałe twarze...

Coraz wolniej unosiły się wyrzucane w la–ba–da ręce, biodra tańczących zataczały mniejsze kręgi, ale nadal kołysali się miarowo. Między parami na parkiecie słaniał się brat narzeczonej tamtego kolegi, Stasio, chichocząc wykrzykiwał: – Nowy taniec gli–gli! – i łaskotał tańczących, próbując ożywić ich i rozśmieszyć. Oni opuszczali uniesione w górę ręce opędzając się przed nim leniwie. – Gli–gli–gli – próbował dalej Stasio. Potem bełkot jego ucichł gdzieś w drugim końcu sali.

– Bo w końcu wypada starego odwiedzić. To jak, Mariolka, idziesz ze mną? – ziewnął Kubula. – A wy zostajecie jeszcze, co?

Rozluźniłem zaciśnięte pięści, oparłem się o ścianę i wzruszyłem ramionami.

– Cholerny świat! – zakołysał się tamten kolega, wspierając się na narzeczonej. – To jest wszystko pech, paskudny pech, pech w pernambuko. – Chodź! – pociągnął mnie na bok. – Ty wiesz, jak ja się męczę? Zrozum mnie. Ty myślisz, że co? Że mnie to moje życie teraz odpo-

wiada? Że mi to wszystko odpowiada? Ty – zastanowił się – pamiętasz? – Zanucił coś, zakrzuszył się i zaczął jeszcze raz. – No, co, pamiętasz?

Praca w hucie będzie się paliła
Jak miliony rozpalonych serc, hej!

Oczywiście, że pamiętałem tę piosenkę o chłopakach z błękitnymi oczami i jasnymi włosami, którym śniła się po nocach stal.

Teraz przysunął się do nas Kubula, także zaczął nucić, potem śpiewać:

Zakochają się w hutniczych nocach,
Pokochają raz na zawsze stal.

Potem dołączył się jeszcze ktoś i jeszcze ktoś, orkiestra przycichła, urwała la-ba-da i zaczęła nam wtórować.

Tamten człowiek zniknął już spod błękitno-srebrzystego nieba – rozejrzałem się, ale nigdzie nie było go widać.

Więc, kolego, już od dzisiaj
Cegłą buduj każdy nawy dzień.

– Pamiętasz, stary, pamiętasz? – trącił mnie tamten kolega. – „Ty w lipcowe noce nam się śnisz.” Coś wtedy wiedzieliśmy jednak, o coś chodziło. Różnie bywało, no, ale maszerowaliśmy.

– Pewnie, równo, w nogę... Aż tu wypadło ci złe rozdanie. Czujniej trzeba było, jeszcze czujniej.

– Stary, gra gra, ale żal, cholera... To były czasy. W to można było wierzyć.

– Chcesz w coś wierzyć, nie?

– Każdy chce. Ty nie chcesz? Każdy chce. Nie w tę forszę tylko... Pokaż teraz piosenkę, co by ją tak wszyscy razem, z orkiestrą...

Wokół nas śpiewało już kilkadziesiąt osób. Wśród nich zobaczyłem Annę, Maćka i wielu innych. Wyszedłem z sali. Za sobą słyszałem śpiew.

Ktoś na korytarzu krzyknął histerycznie, potem dołączyły się nowe podniecone głosy. Przepychałem się przez stłoczoną grupę ludzi, rozstępujących się powoli, niechętnie.

BÓL GARDŁA NA DWÓCH

Szmery pod drzwiami ucichły, potem coś zabulgotało. Kobieta leżąca obok Pawła poruszyła się.

– Słyszysz? Odlewa znowu.

Niechętnie otworzył oczy. Siedziała już na łóżku, w skupieniu wsłuchując się w dochodzące zza drzwi odgłosy.

– Więcej wziął niż szklanek. Ciągłe bierze więcej. Ruszyłbyś się.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Zakłuło. „Przeziębłem się – pomyślał. – Teraz trzeba szybko coś gorącego, mogłoby jeszcze przejść, proszek powinien gdzieś być.” Znow przełknął ślinę z niejasną nadzieją, że teraz uda się lepiej. Spojrzał na biały, wilgotny tynk. Trzeba było jednak poczekać, aż ściany wyschną, wprowadzić się trochę później.

Wiedział, że obserwuje go niechętnie, czuł, że zaraz zacznie, i dokładnie przewidywał wszystko, co powie. Ale nie chciało mu się ruszyć, nawet udać, że chce wykonać jakiś ruch. Słuchał więc, jak ostrożnie podnosi się z łóżka w długiej flanelowej koszuli, robi parę kroków w stronę drzwi. Tracone krzesło przesunęło się po podłodze i zaraz na schodach zatętniły szybkie, drobne kroki. Potem na końcu korytarza skrzypnęły drzwi. Odprężył się trochę, ona tymczasem podeszła do okna, otworzyła je, rozsunawszy przedtem kretonowe zasłony. Usłyszał rytmiczne uderzenia deszczu.

– Pójdę do tego capa starego raz wreszcie. – Odwróciła się. – Pójdę. – Zrzuciła koszulę. Obok łóżka przesunęły się duże białe piersi, ciężkie nogi w miękkich pantoflach.

Już od drzwi zawołał ją zachrypniętym głosem. Zobaczył z ulgą, że jednak zatrzymała się. Wolał skupić jej niechęć na sobie niż nasłuchiwać krzyku z końca korytarza. Odwróciła się i zaczęła mówić. Poczul do siebie ogromną niechęć, że nie potrafił jej przerwać, wypchnąć z tego pokoju, rozegrać przygotowanej od tygodni sceny, zakończonej jej odejściem. Przełknął ślinę, zmusił się do rozluźnienia napiętych już skurczem mięśni. I natychmiast przestraszył się zwilgotniałych rąk, tego, że jest już wyczerpany nie rozpoczętą jeszcze rozmową. Spróbował pocieszyć się, że to może jednak przeziębienie.

Przeszedł do łazienki wymijając Wandę – niosła z obrzydzeniem opróżnioną do połowy butelkę mleka. Mył twarz myśląc o ich poznaniu cztery miesiące temu, kiedy dostał od swojego przedsiębiorstwa pokój w tych blokach, zupełnie nowy, aż za nowy, bo jeszcze wilgotny, i przeniósł się tutaj z wynajmowanego na spółkę z kolegą, u rodziny tamtego, mieszkania na drugim końcu miasta. Miał więc wreszcie ten pokój i po długim czekaniu, opisywaniu choroby ojca i ciężkiej sytuacji matki, mieszkającej w mieście mniejszym od tego, oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów, mógł teraz wyłączyć się z całego przeszłego życia, dorzucić nawet trzy lata do dwóch zaliczonych już na wydziale ekonomii. Dostał klucz i wypożyczoną z przedsiębiorstwa ciężarówką za jedną szóstą miesięcznej pensji przewiózł łóżko, stolik, dwa krzesła, których nie potrzebowała rodzina kolegi, i wypełnił tym pokój dostatecznie. Mógł też pomyśleć o kobietach; właśnie w tym celu wyszedł na miasto.

– Napijesz się mleka? Jest ta nie dopita reszta. Napij się, ja po nim nie będę pić. Nie chcesz ze starym porozmawiać, to teraz pij.

Usiadł przy niej na stołku obok małej kuchenki, sprawdził gardło i ostrożnie zjadł kawałek chleba. Było już jednak o wiele lepiej, klucie zmniejszyło się. Teraz jeszcze proszek.

Dolała mu mleka i patrzyła niechętnie, jak pije, ciężka, utleniona trzydziestoletnia, niebrzydka nawet, ale nieważna, nie przynosząca ulgi, nie łagodząca nic.

Wtedy po przeprowadzce, opuściwszy wreszcie wilgotny pokój, wsiadł z kluczem w zaciśniętej dłoni do kolejki elektrycznej i po piętnastu minutach był już w prawdziwym mieście, szedł centralnymi ulicami, minął uczelnię, na której studiował dwa lata i przestał, kiedy zrozumiał, że skończenie studiów było mu niepotrzebne, nie mogło nic zmienić, zbliżyć do kobiet innych niż Wanda czy ta, która była przed nią, tak do niej podobna, że twarze ich zlewały się w jedno. Przybliżyć te wszystkie długonogie, wysoko odsłonięte! Mijały go z lewej i z prawej, a on odnotowywał ich przejścia wilgotnieniem dłoni, zaciskaniem szczęk, odwracając oczy, gdy któraś z nich spojrzała na niego, bo nie mógł znieść ich doskonałości, chociaż obrzydzał je sobie rozmaicie, wyobrażając w różnych scenach. Tłumaczył, że nie są lepsze ani nawet trudniejsze, że widywał je z o wiele gorzej niż on wyglądającymi.

Potem zjadł i wypił za złotych prawie dwieście, rozkołysany tym podszedł do wmieszanej w wychodzący z kina tłum szerokiej, ciężkonogiej blondyny, którą, sam nie wiedział kiedy, sobie wybrał, a ona uległa jego namowom i zgodziła się wejść do jeszcze jednej restauracji, drugiej tego wieczora, i to była właśnie ona, Wanda, która nie wróciła już do męża niekochanego, tylko pozwoliła mu wprowadzić siebie na przeznaczone dla innych łóżko, przejmując przeznaczone dla innych pieśczęty. I pozostała tutaj zakrywając ściany szafą z lustrem i dwiema makatkami, bogato haftowanymi w gwiazdy i półksiężyce, trzecią rozłożyła na podłodze przy łóżku i wypełniwszy w ten sposób miejsce sobą i swoimi sprawami, nie mając do tego żadnego prawa zajmowała ciągle pokój nie swój i nie swoje łóżko. Więc porozmawiał z nią w miesiąc później, że nie ma przed nimi przyszłości, ale ona nie zgadzała się z tym. Opierając się na doświadczeniach własnych nie uważała, aby było niedobrze, bo tak żyli inni, i w rozmowach przygniatała go zawsze wspomnieniem porzuconego domu i męża, który wtedy przestawał być już niekochany.

Kiedy czasem pomyślał, że mógłby na przykład naraz podejść do którejś z tych doskonałych, przemówić dowcipnie, ładnie i otrzymać w zamian chętny uśmiech, a tymczasem miejsce jest zajęte tak niewłaściwie i męcząco – czuł narastający szum w głowie i zaciskał palce, szykując się do rozmowy. Nie umiał jednak nigdy przebić się przez jej odporność, pewność siebie, nie miał sił już nawet na próby, chociaż nie dopuszczał jeszcze myśli, że tak mogłoby zostać na długo, bardzo długo. Odkładając wszystkie swoje sprawy do momentu jej odejścia, obciążał ją ich niewykonaniem.

Dopił mleko, zjadł jeszcze jedną kromkę chleba i spojrzawszy na jej pełną, nieruchomą twarz doznał nagle współczucia, że nie jest taka jak tamte, których nigdy nie wprowadzi do tego pokoju, póki ona w nim jest, i nawet później, kiedy jej już nie będzie. Poczł litość z powodu bezużyteczności jej piersi, ust, nóg. Dotknął ręką włosów szorstkich, gęstych i też nieprzydatnych i zobaczył twarz wytrąconą z obojętności.

*

– Tak więc, widzi pan, oczywiście, że można wykombinować więcej, tylko, widzi pan, trzeba wtedy dużo kombinować. – Siedzący przy stoliku obok baru starszy z dwóch urzędników przetaił okulary w drucianej oprawie. – Na przykład tam, gdzie byłem ostatnio, to piją herbatkę zmieszaną z wódką, połowa, prawda, herbatki, połowa wódeczki... – Zamyślił się. – Każde miasteczko ma swoje obyczaje. – Włożył do herbaty dwie kostki cukru i zakręcił łyżeczką.

– Bez wątpienia – przytaknął z szacunkiem siedzący naprzeciw, gładko przylizany. – Nie wątpiwiwie tak.

Przy stoliku pod oknem Heniek zakołysał się na krześle, podwinął rękawy wytartego swetra odsłaniając duże ręce. Zginając i rozprostowując palce obserwował biegające mięśnie. Deszcz przestawał już padać. Za oknem przeciągał obciążony pakunkami tłum.

– Dziesiąta – powiedział.

– Na pociąg – pokazał głową spieszących się ludzi chudy, żyłasty mężczyzna w za dużej marynarce, siedzący naprzeciw Heńka. – Nie chcesz, możesz nie mówić. Zmusza cię kto czy jak?

– Może ci powiem. – Heniek wpatrywał się w splecione teraz ręce. – Jeszcze nie wiem, ale raczej ci powiem. – Był zadowolony, że udało mu się zająć najlepsze w restauracji miejsce, przy samym oknie, skąd można było mieć oko na wszystko, kontrolować, kto wchodzi, kto wychodzi, ucieszyć się spóźnionym biegiem tych zza okna. Uczepiony dwóch walizek grubas zwolnił dopiero teraz, na niewątpliwy już stukot kół odchodzącego pociągu, oparł się o słup z ogłoszeniami ciężko sapiąc, następnie wysmarkał się dokładnie i poczerwieniał jeszcze bardziej widząc, że Heniek z zadowoleniem pokazuje go palcem. Potem jednak z godnością ruszył w stronę drzwi restauracji.

– Ja to właściwie, wie pan, na delegacje dużo nie jeździłem. To właściwie jedna z pierwszych. Ale kupiłem tak, bilet, znaczy, na klasę drugą, a podałem, że pierwszą. Tak mi poradzono – uśmiechnął się przebiegle przylizany.

Starszy urzędnik zamachał z lekceważeniem ręką. – Zapewne, kolego, zapewne. Sposobów jest bardzo dużo. Na przykład taki... – Ożywił się, pociągnął spory łyk herbaty i napotkawszy spojrzenie Heńka, ostrożnie ściszył głos, pochylając się do swojego sąsiada. – Ale znowu jak się wyda, to mogą być nieprzyjemne konsekwencje – dokończył głośno.

Za oknem uspokoiło się. Wolno, niemrawo przechodzili ludzie. Do następnego pociągu nie było na co patrzeć. Heniek odwrócił się. W drugim kącie jakaś rodzina uroczyście popijała herbatę. Gruby, spocony, usiadł przy samych drzwiach. Rozejrzał się niechętnie, rozpiął płaszcz i obstawił się walizkami. Znad kontuaru Heniek wyłapał zachęcający uśmiech na szerokiej, mięsistej twarzy bufetowej. Przejechała po nim spojrzeniem, zatrzymując je na młodszym urzędniku, który zawisł osłupiałym wzrokiem na wypchanym piersiami fartuchu.

Heniek myślał teraz o tym, jak przed dwiema godzinami zatrzymał się przy bramie starego domu, właśnie z tym obciążającym teraz za dużą marynarkę, byłym posiadaczem warsztatu naprawy motocykli, który zupełnie zaprzepaścił obchodząc różne knajpy, takie jak ta i lepsze. Zatrzymali się obaj, następnie wszedł już sam do bramy, wyminął zamontowane pod kątem lusterko dozorca, skręcił w pierwszą klatkę schodową obok drewnianego trzepaka i nadgniłych komórek, wszedł na trzecie piętro po wysłizganych schodach i na końcu ciemnego korytarza zastukał do drzwi. Otworzyła je nieduża, szczupła blondynka w narzuconym na koszulę płaszczu. Spostrzegłszy jej ruch jakby wahania, szybko wszedł do środka i wiedząc już, że nie ma nikogo, zapytał, czy jest sama. Na jej słowa ostre, niechętne, że za dwadzieścia minut wychodzi do pracy, powiedział, że starczy dwadzieścia. Przeszedł za nią do oddzielnego kotarą od małej kuchni pokoiku, usiadł na krześle między wyłożoną poduszkami kanapą a wysokim kredensem z rozsuwanymi matowymi szybami. Wyjrzał przez okno i zobaczył kiosk z gazetami i kręcącego się tam byłego właściciela warsztatu.

Potem ona wyszła do kuchni, ale kotary nie zaciągnęła, więc podsunął się do kredensu, delikatnie odepchnął szybkę, zobaczył swoje zdjęcie i, czujnie sprężony, włożył rękę do gipsowego wazonu. Słyszając, że się poruszyła, nie zdążywszy już zasunąć szybki do końca, oparł się leniwie, jakby przypadkiem, o kredens, wyrażając uznanie dla jej wytartej granatowej sukienki.

– Jest jeszcze jeden sposób zarobienia na delegacji, tylko – zaraz zniechęcił się starszy urzędnik – to w ogóle trudno. – Pociągnął spory łyk herbaty i zakaszłał.

– A może by jednak... – Jego sąsiad siedział już bokiem, patrząc na wypełniony piersiami fartuch bufetowej. – Może jednak po małej na rozgrzewkę nie zaszkodzi?

– Po małej? – zawahał się tamten i zabębnił palcami.

– Właśnie. Jak sądzę, można będzie nawet bez zakąsek.

– Mówi pan, bez zakąsek?

– Bez.

– Kto wie, kto wie?... – Znowu puścił w ruch palce. Były właściciel warsztatu zakręcił na stole pustym kuflem. – Nie chcesz, możesz nie mówić. W ogóle nie musisz.

– Może ci powiem – mruknął Heniek myśląc o tym, jak wtedy po powrocie z kuchni na jego uwagę, że bardzo przyjemnie wygląda, powiedziała ostro: – O co chodzi? – Oświadczył wówczas, że sprawa jest przykra i zamacona, na co przyznała, że chyba tak, że domyśla się, skoro nie było go dwa lata, a teraz przyszedł. Siedząc naprzeciw niej obmyślał sposób przeprowadzenia sprawy, podejścia najlepszego, najchytrzejszego, a ona przypomniawszy mu znowu o teraz już piętnastu minutach czasu. – Spokojnie – powiedział – co jest, nie lubię, jak jesteś szybka.

Patrzył teraz chwilę na kręcący się kufel i znowu przypomniał sobie jej twarz, napiętą po tych jego słowach, które powtórzyła: – Nie lubisz? – Kiwnął głową, podniosła się: – Wyjdz. No już. Zjeżdżaj, ty gnoju głupi. Zjeżdżaj! – Opanował się wtedy, mógł trzasnąć ją i wyjść, ale nie, bo jednak miał pewien plan, którego do końca nie wykonał. Dlatego powiedział tylko: – Uważaj, żebyś nie przesadziła, bo na co ci to, i mnie też na nic. – Ona powtórzyła znowu: – Jazda, na co czekasz! – Więc uśmiechnął się układnie: – Właściwie to o co ci chodzi? – Właściwie to o nic. Tylko cię nie było dosyć długo, teraz cię obejrzałam i mi wystarczy. No już! – Przedtem jednak porozmawiajmy wyjaśniając różne rzeczy.

– Można by przy okazji spróbować – przylizany pochylił się do przodu i pokazał głową w stronę bufetowej – coś spróbować.

– Ha, ha – zapiszczał starszy z uznaniem. – Spryciarz, widzę, z pana. No proszę, spryciarz.

– To jak, wziąć i dla pana?

– No to może i ja rzeczywiście w tej sytuacji się skuszę, chociaż – zastanowił się – właściwie, to wie pan, już nie warto. Za dwie godziny mam pociąg. Ale proszę, niech pan spróbuje. – Patrzył, jak tamten podnosi się, podciąga spodnie i rusza w stronę bufetu.

– Bo, proszę pani, czasem trzeba się rozgrzać. Więc poproszę jedną małą na katar. Bufetowa zaśmiała się ochoczo i sięgnęła po butelkę.

– Śmieje się – zauważył były właściciel warsztatu naprawy motocykli. – Wesolo jej.

– Aha – zgodził się Heniek. – Wypiłbym może jeszcze piwo.

– Taa – zatrzymał kufel sąsiad Heńka. – Zajmuje mnie to, ale możesz nie mówić...

Usiadł, wyciągnął tak jak teraz nogi przed siebie i zaczął wyjaśniać, że najchętniej pozostałby u niej, tak samo jak nie chciał wychodzić dwa lata temu, tamta cała sprawa wynikła przez nieporozumienie, na co ona odpowiedziała, że wtedy jakoś nie wyjaśniał za dużo, jak wychodził. Więc, żeby zyskać na czasie, wyjął sporty, podsunął jej uprzejmie, chociaż wiedział, że nie pali, a następnie zapalił sam, zaciągnął się, elegancko puścił kółko z dymu, a jednocześnie, popatrując po pokoju, zastanawiał się, że jeżeli nie wazon, to może obraz. Brał również pod uwagę kął pod poduszkami na kanapie. Wyjaśnił, że nie powracał do tej pory, ponieważ odbywał karę więzienia, z którego wyszedł nie dalej jak wczoraj, i dodał jeszcze, że nie chciał, żeby odwiedzała go, boby jej było wstyd. Dlatego to właśnie nie dawał znaku życia, chociaż nie przychodziło mu to łatwo. Zwierzał się, jak uderzył milicjanta i co było potem, mianowicie te dwa długie lata. Wysłuchała go obojętnie i powtórzyła: – Wyjdz. – Ty, co jest? – powiedział wtedy. A ona oświadczyła, że wie, istotnie siedział, ale rok temu, i opisywała, gdzie był i co robił, na co znowu uśmiechnął się i przyznał, że owszem, w więzieniu ostatnio nie przebywał. Właściciel warsztatu wrócił z piwem.

– Pani to zapewne nudzi się w takim miejscu – powiedział młodszy urzędnik. – Pani to wyraźnie tutaj nie pasuje, raczej w większym lokalu i w ogóle nie w takim, powiedzmy sobie, charakterze.

Heniek od razu wypił cały kufel i znów wrócił do tamtej sytuacji, kiedy oznajmił, że teraz się zmieniło i zamierza pozostać z nią, i chyba ona nie ma nic naprzeciw, a ona szła już w stronę drzwi, bo dwadzieścia minut upłynęło, więc zabiegł jej drogę pokazując, że trzyma jego zdjęcie, czyli że czekała, i krzywiąc się niechętnie na jej pytanie, czy w ogóle nie ma gdzie spać.

– Popatrz się, kto przyszedł – trącił Heńka właściciel warsztatu.

Nieduży mężczyzna zatoczył się przy drzwiach. Znad kołnierza zielonej wojskowej bluzy z obciętymi nierówno pagonami wyglądała spierzchnięta twarz. Machnął ręką w stronę Heńka, który obserwował go obojętnie, i przystanął obok grubego obstawionego walizkami.

– Tu była bitwa, tu była – pokazał podłogę. Gruby nerwowo przyciągnął do siebie walizki.

– Wypraszam sobie – powiedział czerwieniejąc. – Tu była – zwrócił się do starszego urzędnika, który właśnie zbliżał się do bufetu.

– No tak, oczywiście. Powiedzmy sobie, pełno wszędzie takich miejsc w naszym kraju – przytaknął niepewnie tamten, mijając go. – Można powiedzieć, co krok.

– Byłem dowódcą, pułkownikiem. Szedłem na przedzie, za mną chłopaki, aż tu zza rogu cekaem. Wychylam się, aż tu patrzę – oka nie mam, o, myślę sobie, zza rogu, bez uprzedzenia, niecharakternie. Więc macham ręką: „Naprzód, chłopaki!”, aż tu patrzę, ręki nie mam...

– No cóż, prawda. – Tamten, osadziwszy okulary, przyglądał się badawczo jego ręką. – Smutne oczywiście i przygnębiające.

– Niech się państwo nic nie przejmują – bufetowa wysunęła fartuch do przodu. – On nic, nie stracił w żadnej bitwie. Niech się państwo nie przejmują.

– Zapewne, może i tak – starszy urzędnik znów poprawił okulary. – To ja już, prawda, z herbatką się uporałem, płacę sobie i pobiegnę.

– Zaraz, zaraz, bitwy może i nie było, ale wypić zawsze mogę z porządnymi ludźmi.

Wyszarpnęła mu się wtedy mówiąc, że owszem, zdjęcie trzyma, ale odwiedzają ją teraz różni inni, dzięki niemu właśnie odwiedzają, czego mu nie zapomni. Znów przytrzymał ją mówiąc, że zmyśla, i ponieważ otwierała już drzwi, przejechał szybko wzrokiem po obrazie i kanapie i teraz już chwytając się byle czego powiedział, że jak go wyrzuci, to zrobi co złego. Zrobi co złego i to spadnie na nią. Zatrzymała się jednak, więc dalej ciągnął, że wtedy to był przypadek, a teraz pozostanie na stałe, i zobaczył, że już mięknie. Więc przycisnął ją mocno, a ona nie wyrywała się, dygotała tylko, wtedy pociągnął ją na kanapę i jedną ręką szarpiąc się z suknią, drugą delikatnie wsunął w upatrzony kąt pod poduszkami.

– Ale bitwa była. Znaczący my, Ruskie, Giermańce i kozaki. Oni z lewej, my z prawej, a kozaki od tyłu... Młodszy urzędnik zachichotał.

– Właśnie przypomni mi się pewien dowcip...

– Jadłeś co? – podniosła się pierwsza, wciągając suknię. – Ty leż, zjesz coś – przejechała mu dłonią po włosach. Poruszył się wtedy mówiąc, że musi jeszcze skoczyć na dół po parę rzeczy, które zostawił, ona rozjaśniła się jeszcze bardziej, że widocznie spodziewał się uzyskać jej zgodę. Kiwnął głową i przypomni, że coś by zjadł, gdyby przygotowała, a kiedy przeszła do kuchni, przeszukał dokładnie róg kanapy, podniósł się, poruszył obraz, jeszcze raz dokładnie przejechał po kredensie, i to była możliwość ostatnia. Tak więc wiedział już, że to wszystko było na nic, bo albo nie ma, albo chowa gdzie indziej. Zaciągnął suwak kurtki, powiedział, że zaraz wróci, i schodząc na dół, gdzie ciągle jeszcze czekał były właściciel warsztatu, myślał, że tamten mu nie uwierzy, że nie znalazł nic, i tak było rzeczywiście. Ale tamten nie dał po sobie poznać, zauważył tylko: – Długo byłeś. – A potem jeszcze: – I co, nic, stówy nawet? – Po czym przeszli kilka ulic dalej, do „Dworcowej”, ale tamten ciągle mu

jeszcze nie wierzył, dlatego pewnie znowu przyniósł piwo, licząc, że Heniek w końcu coś wyciągnie.

– W Oświęcimiu – pochyliła się nad grubym wojskowa kurtka – to ja byłem największy cwaniak. Podchodzi do mnie Niemiec i mówi przy chłopakach: „No, Majewski, pójdziecie do gazu.” On mnie znał, że ja cwaniaczek. A ja mu na to: „Takiego wała pójde do gazu.” Chłopaki konali...

– Wypraszam sobie – oburzył się gruby. – Co to w ogóle za wychowanie.

Heniek podniósł się, podszedł do starego, pchnął go w stronę wyjścia. – Nie masz forsy? Skończyłeś pracę?

– Skończyłem – zatoczył się tamten.

– Masz parę złotych?

– Nie.

– Panie Heniu, panie Heniu – wychyliła się bufetowa – pan zabierze stąd ojca. Takie zachowanie.

–Chodź, tata – powiedział Heniek. – Idziemy. No już
Rozeszli się pod drzwiami.

*

Ulica nagle skończyła się. Mijając przeznaczone do rozbiórki powykęcane rudery, Paweł spojrział na zegarek: był spóźniony o przeszło kwadrans. Dopiero teraz niesmak i poczucie bezsilności, wywołane porannymi myślami, ustąpiły wobec bardziej bezpośredniego zagrożenia. Na parterze nie otynkowanego budynku oparty o biurko strażnik przecząco pokręcił głową – czyli listę już zabrano. Trzeba będzie teraz tłumaczyć się, układać mnóstwo zdań i wymawiać je przekonywująco. Dzisiejsze spóźnienie było już zresztą trzecie z kolei – poprzednio spóźnił się przez podobne poranne przetargi, szarpaninę, bardziej nawet z sobą niż z Wandą. Mijał drzwi z tabliczkami: „Dyrektor”, „Zastępca Dyrektora”, „Główny Księgowy”, i wyobrazivszy sobie niezadowoloną twarz kierownika swego działu, cofnął wyciągniętą już w stronę drzwi rękę, poszedł dalej korytarzem, wypełniony niesmakiem za tę głupią słabość, przedłużającą tylko nerwowe chwile. Żałował, że korytarz był pusty, że nikt tego nie widział, bo wtedy mógłby po prostu udać, że zamyślił się, i odprowadzony czymś spojrzeniem, popychany nim, wszedłby oczywiście łatwo do środka, a tam już wszystko rozwiązałoby się w parę chwil. Zatrzymał się i zawrócił. Stał przed drzwiami i pokonując opór wewnętrzny, nacisnął klamkę.

– ...Halo, Edziu. Więc co wy tam chcecie wystawić? Płyte, pomnik czy obelisk?...

Kierownik w narzuconym na ubranie drelichowym kitlu odprowadził go niechętnym spojrzeniem. Przełożył słuchawkę do drugiej ręki. Paweł skłonił się w jego stronę, przesunął między rozpiętymi na rajzbretach planami miasta w stronę swojego biurka.

– Ciszej, proszę – rzucił kierownik w stronę urzędniczki strzelającej w klawisze maszyny do liczenia. – Więc co, płyta wystarczy? Dobra, zostawimy wam na to miejsce. Chcecie przy placu?...

Paweł rozkładał wokół siebie bezpieczną barykadę kosztorysów. Najgorsze już było za nim. Oczywiście tamten się nie powstrzyma, ale zawsze w końcu, jak się usiadło, jest lepiej. Gorsza byłaby rozmowa przedtem, przy drzwiach.

– ...A ilu ich było?... Na co mi to? Bo chcę wiedzieć, ile miejsca... Z podejściem?... Zrobimy z podejściem. Cześć, Edziu.

Zbliżył się do Pawła.

– To ładnie z pana strony, że pan przyszedł. Zrobił mi pan prawdziwą przyjemność. – Rozłożył na jego biurku plik papierów. – Te kosztorysy, które pan przygotował, trzeba zmienić. Nie zatwierdzili. Zmienić i nanieść. Tych prefabrykatów nie doślą, trzeba skalkulować inaczej.

– Halo, Edziu? – znów był przy telefonie. – To co, obelisk jednak?... Dobrze, będzie obelisk.

– Ale dlaczego nie doślą?

– Bo nie mają – wzruszył ramionami kierownik. – Jakby mieli, toby dostali, a czekać nie ma czasu.

– I jak się wam pracuje? – Paweł zobaczył nad sobą ekonomistę, kierownika działu, jednego z najbardziej liczących się w przedsiębiorstwie specjalistów. – Mam do was pewną sprawę – zbliżył do Pawła chudą twarz w kwadratowych okularach. – Może wyjdziecie ze mną na moment? W porządku, w porządku – uspokoił niezdecydowany ruch Pawła w stronę kierownika, który znów odbierał telefon i przesłał tylko ekonomiście głęboki ukłon. Paweł, idąc korytarzem obok tamtego, wsunął niepewnie ręce w kieszenie i zaraz je wyjął, oczekując z niepokojem jakiegoś wyjaśnienia.

– Otóż mam dla was pewną propozycję. Obserwujemy waszą pracę... – Przystanęli na korytarzu i wtedy zauważył, że ekonomista jakby zbyt nerwowo zapalał papierosa. Słuchał dalej z pełnym zrozumieniem i szacunku uśmiechem, ciągle nie mogąc się zorientować, do czego tamten zmierza. Słuchał jego powykręcanych, nic nie znaczących zdań i odpowiadał, bo niektóre z nich zawierały pytania. Tak, rzeczywiście, przeniósłby się do działu ekonomicznego, chociaż ta obecna praca także jest interesująca, nawet bardzo – zastrzegał się ostrożnie. Potem, już zupełnie zdezorientowany, usłyszał, że jest dziś na szóstą zaproszony do domu ekonomisty na coś w rodzaju takiej niekrępującej herbatki.

– ...A kto to byli ci polegli?... No, widzisz. Dobrze!... Cześć, Edziu. – Kierownik uśmiechnął się ciepło w stronę Pawła, który dopiero po chwili zorientował się, że nie było to bez związku z odwiedzinami ekonomisty.

*

Wszedł po paru wykrzywionych kamiennych schodkach, Otworzył oszklone do połowy i zasłonięte przybrudzonymi firankami drzwi, pociągnięte zieloną, odłazącą łatami farbą.

Od stołu zerwał się pochyłony dotąd nad zeszytem dziesięcioletni brat Zygmunt.

– Byli u ciebie z urzędu zatrudnienia i z milicji. Wezmą cię? – spojrzał pytająco. I zaraz popchnięty przez matkę, opadł na krzesło wykrzywając twarz.

– Dobrze, żeś przyszedł – powiedziała matka. – Pogadasz z tym, ja sił nie mam na niego.

Przy kuchni jednostajnie mamrotała babka wycierając talerze. Matka szarpnęła zasłonę wydzielającą parometrową kłitkę, niemal całkowicie wypełnioną łóżkiem. Leżał na nim ojciec w rozpiętej wojskowej bluzie, z twarzą przykrytą mokrym ręcznikiem. Matka zasunęła kotarę.

– Kto przychodził? – Heniek obserwował ściekającą z ręcznika na podłogę wodę.

– Masz przyjść dziś o czwartej w sprawie porzucenia tamtej pracy, zostawili wezwanie.

Ojciec zastękał, ściągnął ręcznik; głębokie, nierówne zadrapania biegly mu od czoła do brody. Skrzywił się w uśmiechu, wyrażając zadowolenie z nadejścia syna, zamoczył ręcznik w stojącej obok miednicy, wyjął, przyłożył do twarzy i westchnął z ulgą.

Matka sucho zaszlochała:

– Niech odda pieniądze, łobuz jeden! Niech odda, Heniek, ty mu powiedz.

– Gdzie to wezwanie?

– Czekaj, Heniek. Odbierz mu!

– Co jemu można zabrać?

– Pieniądze ma – podwijala rękawy długiego, pocerowanego na łokciach swetra. Skurczyła się ostatnio jeszcze bardziej, sięgała Heńkowi do piersi, wyostrzył jej się także starczo głos, chociaż nie miała jeszcze sześćdziesiątki. – Ma pieniądze. Ma. Wyprosiłam mu robotę przy przenoszeniu paczek, potem rozmawiałam, zapłacili mu, dzisiaj mu zapłacili.

– Aha! – Heniek wsadził ręce do kieszeni zniszczonej skórzanej kurtki, która podobno była kiedyś lotnicza, a w każdym razie miała ze sześć suwaków i napis USA.

– Niech powie, co jest, niech mówi! Ty go, Heniek, spytaj, ty sam.

Za zasłoną zaszurało krzesło.

– Uczyć się – matka szarpnęła kotarę – już!

– To jak to jest, ojciec? – Heniek usiadł na łóżku. – Co tam jest? Znaczy, masz coś?

– Jakie ja tam mam... – zabulgotał spod ręcznika ojciec. – Miałem coś, ale pobili, zabrali... Matka znowu wyłamywała palce.

– Słyszysz, Heniek, słyszysz?

– Kto ojcu zabrał? – Zastanowił się, że jednak przyszli z Dzielnicy i zostawili to wezwanie. Może trzeba będzie tam pójść, pogadać, coś zakreślić, żeby się nie czepiali, że odszedł z tamtej pracy. Można by również nie iść, ale znowu przyjdą, mogą nawet przetrzymać albo grzywnę... – Więc co jest, kto ojca pobił?

– Ludzie – zabełkotał tamten.

– Jacy ludzie?

– Dziesięć lat i pierwszy raz coś zarobił... od dziesięciu pierwszy raz... dlatego że załatwiłam, i to nie chce dać.

– Jacyś nieznani, jakby nie stąd, jakżeś odszedł, zaraz potem.

– Taaa – przeciągnął Heniek – to gdzie to wezwanie?

– Czekaj – złapała go za rękaw matka – najpierw niech odda. Musi oddać... Nie przeżyjemy... Prawie czterysta... Musi oddać.

– I gadaj z taką – ojciec obruszył się pluskając ręcznikiem – gadaj z taką... Zabrali.

– Wyjdź! – Heniek pchnął matkę za kotarę. – No już, wyjdź. – Potem znów usiadł na łóżku. – Gdzie masz?

– Co? – niepewnie zachrypiał ojciec. – Wiesz, Heniu, jakbym miał... Gadaj z nimi! – zamachał rękami.

– Gdzie masz? – Heniek odrzucił ręcznik, szarpnął go za kołnierz zielonej bluzy w górę. – No już! Gadaj! Bo cię zaraz trzasnę... Nie ze mną... – Obserwował z bliska siniejącą twarz z czerwonymi, zaschniętymi zadrapaniami. Kołnierz z lewej strony urwał się i ojciec opadł niezgrabnie na łóżko. – No już!

Tamten podciągnął się, wychylił za łóżko, zerknął za kotarę, odbijając postać matki, potem poruszył deską w podłodze i wysunął zwitek banknotów. – O Jezu! – powiedział, kiedy Heniek rozprostował papierki. – O Jezu, zostaw coś. Naharowałam się.

Heniek z namysłem przeglądał papierki. – Nic ci nie będzie. – Wsadził sobie zmiętą pięćdziesięciozłotówkę do kieszeni.

– Tylko szkoda twarzy – ojciec przejechał ręką po zadrapaniach i zasyczał. – Dałbyś stówę. Z tą twarzą to ja sam, dla niepoznaki.

– Stary sposób – odwrócił się Heniek.

– Ty łobuzie! – doleciało jeszcze z łóżka. Zasunął kotarę. Tamten coś jeszcze zabełkotał i zaczął się podnosić. Matka bez słowa schowała pieniądze. Podała Heńkowi zadrukowany blankiet. – Podejdziesz tam? Podejdziesz może...

Babka skończyła już wycierać talerze i teraz wyciągała, sapiąc, deskę do prasowania. Rozłożyła ją koło okna.

– Ty, Heniu, masz przecież swój rozum. Nie chcesz, nie idź... Ale może idź...

Długa, pomalowana w czerwono–żółto–zieloną kratę sala kinowa Domu Kultury zapełniona była mniej więcej do połowy. Paweł usiadł z matką na dobrych miejscach, w samym środku dziesiątego rzędu. Przyszli trochę przed szóstą i na estradzie kończył się właśnie, reklamowany plakatami, poprzedzający film pokaz stołecznej mody jesiennej. Teraz defilowali mężczyźni-modele. Uśmiechnięty konferansjer w przeciętym srebrzystym krawacie czarnym garniturze zręcznie wyłuskiwał odpowiednie karteczki z rąk stąpających uroczyście panów. Przy pianinie uśmiechał się nauczyciel śpiewu z miejscowego liceum, wypełniający właśnie obowiązkową pracę społeczną.

Dzień zrobił się jakiś zatłoczony, nerwowy. Ekonomista i jeszcze teraz matka. Czego tamten może od niego chcieć?

– Skończył się, proszę panów, okres spodni amerykańskich typu džinsy bądź farmery. Mężczyzna 1969, czyli okresu gospodarczej stabilizacji, przykuwa wzrok pań solidną, swobodną wytwornością...

Z tyłu Paweł usłyszał miarowe uderzenia. Jeden z dwóch siedzących parę rzędów za nimi strażaków wprawnie odbijał butelkę wina.

– Powinieneś wyjechać gdzieś na wakacje, tam najłatwiej jest o taką właśnie znajomość – pochyliła się do niego matka, nieduża, tęgawa, o czerstwej twarzy, otoczonej siwymi włosami, nadającymi jej wygląd matrony. – Właśnie Kazik...

Znowu Kazik. Już przedtem opowiadała o tej historii z Kazikiem, który chodził z nim razem do szkoły, potem w ogóle nie studiował, tyle, że miał maturę. Ostatnio pojechał na wakacje na Mazury i tam poznał dziewczynę, która się okazała córką, ho, ho, jak wysoko postawionej osobistości.

– Przyjemny garnitur elana de luxe, koszulka z usztywnionym kołnierzykiem bez prasowania, wytworny szelest ortalionowego płaszcza zwraca uwagę pań...

– I ożenił się z nią... – zaszepotała matka. – Przeprowadził się do stolicy, mam zapisany dla ciebie jego adres, w samym centrum. Nowe budownictwo własnościowe.

Zbiorowa parada rozkołysanych wdzięcznie modeli zakończyła pokaz. – Na tym finalizujemy nasz prowizoryczny przegląd i następnie życzymy państwu przyjemnej zabawy na filmie o tragicznie zagubionym w mrokach historii pokoleniu. Dziękujemy...

Konferansjer zszedł z estrady. Przy pianinie kłaniał się nauczyciel śpiewu, potem zgasło światło. Paweł nieuważnie patrzył na ekran. Już po wyzwoleniu dwaj bojowcy z podziemia zlikwidowali nie tego, kogo chcieli zlikwidować.

Z prawej doleciał do niego stłumiony chichot, uderzyły wysoko odsłonięte, obciśnięte czarnymi pończochami uda.

Z tyłu zabalgotało wino. – Do kreski – przestrzegł jeden z pijących, zagłuszając rozmowę przy barze, w czasie której młodszy z dwóch z podziemia zapalał spirytus w szklankach mówiąc, że czasy wtedy, w powstanie, były lepsze, bo wiedzieli, czego chcą i z kim walczą.

– Tamten Kazik cztery razy jeździł na Mazury, cztery lata, i dopiero właśnie za czwartym razem się udało. Mają trzy pokoje z kuchnią, samochód. Najlepiej właśnie na Mazury, tam ubiór nie jest najważniejszy, wszyscy równi. Masz kąpielówki? – zainteresowała się nagle.

Za dwadzieścia minut ten film powinien się skończyć. O co chodziło ekonomiście? Znowu spotęgowało się zdenerwowanie tą sprawą.

Młodszy zamachowiec z podziemia miał już niedużo czasu na wykonanie wyroku...

Z tyłu coś zabalgotało. To jeden ze strażaków wymiotował do kasku.

– To skandal – powiedział ktoś z boku – džinsy w czterdziestym piątym roku. Nieznajomość podstawowych realiów.

Matka odwróciła się z niesmakiem.

- Widzisz, ty chamie pieprzony, wstyd mnie przynosisz przed tą panią – rozzłościł się drugi.
- Pierdol się – odpowiedział tamten z godnością.

Film wyraźnie zbliżał się do końca. Chłopak, trafiony w brzuch zupełnie przypadkowo, w czasie niepotrzebnej ucieczki, biegł teraz, ślizgając się rękami po murze, biegł ciągle, a ścigający go żołnierze nie mogli go znaleźć. Wypadł wreszcie na wielkie wysypisko śmieci i zataczał się na nim, bełkocząc coś i jęcząc, aż wreszcie upadł, objął głowę rękami i długo, skulony, kopał ziemię, zanim znieruchomiał ostatecznie. Potem zabłyśły światła.

– Tak więc pomyśl koniecznie o Mazurach, przecież uczyłeś się lepiej od Kazika – powiedziała matka. Z tyłu chwiejnie podnosili się strażacy.

– Hołota – powiedziała bileterka patrząc na leżące na podłodze butelki. Obejrzała markę wina. – Hołota.

*

– To rzuciliście tę pracę po jednym dniu? – poruszył się na krześle pochylony nad aktami delegat z Dzielnicy.

– Po półtora – poprawił Heniek.

– No cóż – sprawdził tamten – istotnie, macie rację. Po półtora. Nie za wcześnie?... Do poprzedniej nie stawiliście się w ogóle.

Heniek przeniósł wzrok wyżej. Nad stołem, koło estrady, kolorowe plakaty zapowiadały przyjazd artystów i zachęcały do wzięcia udziału w konkursie recytatorskim. Stół, przy którym siedział mając naprzeciw siebie tamtych trzech, stał pośrodku głównej sali Domu Kultury, gdzie dwie godziny temu skończono wyświetlanie filmu, a za godzinę miała się odbyć próba chóru.

– Nie słyszeliście pytania towarzysza? – poruszył się ze złością urzędnik z wydziału zatrudnienia. Pokręcił z oburzenia głową i podciągnął suwak swetra, ozdobnie wyszywanego w trójkąty i kwadraty.

– Nie odpowiadała... – Heniek przeniósł teraz spojrzenie na dwa krasnoludki smażące coś na patelni. „Rys. Andrzejek, kl. II” – przeczytał. Spodziewał się tych wszystkich pytań, wiedział, że są niezbędne, należą do tej całej ceremonii, że tamci są w porządku. Oczywiście, cała sprawa skończy się tak, że trzeba będzie wziąć skierowanie do jakiejś pracy, do której nie zgłosi się wcale albo przyjdzie jeden raz, ale tak od razu wyładuje tam komuś, że go wyrzucą. Za jakieś dwa miesiące akta jego wrócą znowu tutaj, dostanie pierwsze wezwanie, potem drugie. Wiedział też, że siedzący naprzeciw niego mieli również świadomość ostatecznego wyniku, ale jednakże rozumieli, że rozmowa taka odbyć się powinna i że ma trwać nie krócej niż piętnaście minut. Odprawiali więc ją teraz rzetelnie, przewidując pewnie, ile jeszcze czasu upłynie, zanim wydadzą skierowanie, wejdzie ktoś następny z grupy czekających i zanim rozpocznie się wreszcie próba chóru.

– Czyli mówicie, że wam ta praca nie odpowiadała – powiedział delegat z Dzielnicy. – A dlaczego?

Drzwi sali otworzyły się, do stołu podszedł plutonowy MO. – Aha – spojrzał na Heńka – jesteście. Resztę wezwań doręczyliśmy, jeden czeka w korytarzu doprowadzony.

– Dobra – powiedział delegat z Dzielnicy. – Dziękuję wam, w porządku.

Tamten zakręcił się niepewnie i wyszedł.

– Za ciężka – powiedział Heniek – przy piachu, przy łopacie...

– Tak? A wyglądacie na silnego chłopca.

– Bić to umiał słabszych, towarzyszu, miał siły – podrzucił gorliwie przedstawiciel wydziału zatrudnienia.

– Czekaście – przerwał tamten niechętnie. Sprawdził, czy kołnierzyk wyłożony na marynarkę nie zagina się. – Tak nie można. Długoście siedzieli? Wtedy, za to pobicie i za budkę „Ruchu”?

– Dwieście trzydzieści cztery dni.

– Tak. Czy zdajecie sobie sprawę – położył na stole ciężkie ręce – że do innej pracy, jak by to ująć, nie macie, powiedzmy, kwalifikacji? Ile klas skończyliście?

– Pięć.

– No, widzicie. Gdybyście mieli siedem, dałoby się może coś wyszukać, ale tak...

Chudy, krostowaty nauczyciel chrząknął, rozumiejąc, że teraz przyszła jego kolej. – Pozwolicie, że się wtrączę?... Dziękuję – odpowiedział na serdeczny ruch delegata z Dzielnicy.

Heniek spojrział na niego z pewnym zainteresowaniem. Poprzednim razem nie było go tutaj.

– Wie pan zapewne, że mamy szkoły dla pracujących.

Mógłby pan tam w trybie, dajmy na to, przyspieszonym, kto wie, może w ciągu roku, machnąć te dwie brakujące klasy, oczywiście pracując, a potem zarysowałyby się możliwości pracy bardziej interesującej. Zakład szedłby panu na rękę.

– No właśnie – przytaknął delegat. – Nie chcielibyście mieć wykształcenia? Nie? Dlaczego? – zapytał na przeczący ruch Heńka.

– Nie mam głowy – powiedział obojętnie Heniek.

– No i widzicie – przyjaźnie uśmiechnął się do nauczyciela delegat z Dzielnicy i rozłożył ręce. – Ile tam was jest w domu? Pięć osób, tak? Ktoś pracuje?

– Tak. Matka.

– Ile przynosi?

– Tak dokładnie to nie wiem.

– No to powiem wam: tysiąc trzysta. Nie za mało na te pięć osób? Ojciec pije, wy pijecie, za co? Heniek wzruszył ramionami.

– Nie chcecie, nie mówcie. Moje prawo pytać, wasze nie odpowiadać. Ale posłuchajcie. Są skargi na was, na ojca, pijecie, demoralizujecie. Wy musicie wziąć się za coś, trudno. Rozumiecie mnie?

– Można jeszcze na chwilę? – pochylił się do niego nauczyciel.

– Zawsze – uśmiechnął się delegat.

– Czasem coś dorobię gdzieś z ojcem.

– Chodzi pan do kina – często? A lubi pan karty? – spytał nauczyciel.

– Dosyć.

– Organizujemy tutaj u nas kącik brydżowy. Umie pan grać w tę grę? Nie? No właśnie. A to świetna gra, interesująca i można wygrać, nie mając dobrych kart, dzięki znajomości prawideł gry i różnym fortelom.

– Ja nie oszukuję.

– Co? Ach, nie zrozumiał mnie pan – zarumienił się nauczyciel. Spojrział niepewnie na mężczyzn obok siebie, ale twarze ich zachowały poważny, dostoyny wyraz. – Więc gdyby pan chciał, jutro o szesnastej? To by pana na pewno wzięło. Będzie kawa i porozmawiamy może jeszcze o tej pana nauce.

– Duże pomieszczenie zajmujecie? – wtrącił delegat.

– Cztery i pół na pięć na parterze od ulicy – podsunął przedstawiciel wydziału zatrudnienia.

„Jeszcze jakieś siedem minut – pomyślał Heniek. – Siedem minut, zanim dadzą mi to skierowanie. Już mają dosyć.” Namacał w kieszeni pięćdziesiąt złotych. Można będzie gdzieś wyjść. Przejechał paznokciem po składanym nożu, który dziś rano zabrał bratu. Nawet przyjemny, składany jakąś masą. Mały nic nie zauważył, na pewno zresztą też komuś podebrał. Gdyby nie miał tej pięćdziesiątki, mógłby za to dostać dużą wódkę na dworcu, może nawet półtorej.

– Tak – powiedział delegat – no, czyli czas już przejść do wniosków. Otóż trzeba będzie jednak, abyście tę pracę podjęli. Czy odmawiacie podjęcia w ogóle?

- Nie – powiedział Heniek – w ogóle nie.
- No, widzicie – powiedział obojętnie delegat. – Rozmowa nasza jednakże może wam coś dała. To co my tam mamy dla was? Jest tak...
- Przy piasku, przy żwirze, czyli ładowanie na barki, i w kopalni, na poczcie i na konwojenta – sprawdził urzędnik z zatrudnienia.
- No... prawda – przerwał delegat – ten konwojent to może raczej nie dla was. Ale inna praca... No jak? Nie najgorsze. Więc gdzie was pchnąć? – zastanowił się. – Może kopalnia... Listy dostajemy z podziękowaniami. O! – pokazał zmiętą kartkę – pisze tu jeden: „Oświadczam, że lepszej pracy nie ma jak górnik na dole. Na wyższy poziom życia zostałem postawiony i wielu kolegów pokupiło sobie samochody...”
- Heniek wzruszył ramionami.
- W kopalni to nie. Może przy maszynach gdzieś...
- Wspominał wam towarzysz, że nie macie wykształcenia – zniecierpliwiał się ten z zatrudnienia.
- No właśnie – chrząknął nauczyciel – no właśnie. Niech pan pomyśli, jaką rodzice mieli by niespodziankę, gdyby pan ukończył siedem klas. A może pan chciałby recytować?
- No, to może na listonosza? Nie? To przy żwirze. Niezła praca, na powietrzu, przy wodzie. No, bierzecie czy nie?
- Może wezmę – zastanowił się Heniek.
- To w porządku – odchylił się na krześle delegat z Dzielnicy. – Mam nadzieję, że nieprędko się zobaczymy. Wypiszcie skierowanie. – Wyciągnął papierosa, uważnie zapalił. – To teraz weźmy tego doprowadzonego. Nauczyciel z niepokojem spojrzął na zegarek, po czym zaszeptał coś do delegata.
- No, to przesuniecie trochę próbę chóru.
- „To tyle – pomyślał Heniek. – Można zajrzeć do «Dworcowej», a potem zobaczyć jeszcze coś.” Właściwie źle rozegrał tę sprawę z Danką. Gdyby wrócił do niej, można by dobrze zjeść, późno wstać. Do domu nie bardzo mu się chciało wracać, stary na pewno zasypał go za te pięćdziesiąt złotych, a mały rozedrze się o nożyk. Właściwie można by mu nawet zwrócić. Tak, to rozegrał głupio. Byłby u Danki, wezwanie by nie doszło, nie musiałyby się dziś zgłaszać.
- Gdyby pan jednak chciał, to jutro o szesnastej, przypominam o brydżu, wypożyczyłbym panu podręcznik Culbertsona.
- Proszę to skierowanie. Tylko może jednak bez kawałów – powiedział przedstawiciel wydziału zatrudnienia. – Już na skierowanie dla was las wycięliśmy...
- No, to pozdrowienia i wszystkiego najlepszego – podniósł się delegat. – I poproście tam tego następnego.
- Wychodząc Heniek zatrzymał jeszcze wzrok na czerwonych, dymiących kominach fabrycznych, między którymi prześlizgiwały się samoloty. „Rysio, III c” – przeczytał.
- Na korytarzu poruszyło się parę osób.
- Wzięłeś? – zapytał doprowadzony.
- Tak – powiedział Heniek – przy żwirze. Tamten wzruszył ramionami i wszedł do środka.

*

- Bo wiecie, co jest w Belgradzie najciekawsze? Najciekawsze i najwspanialsze? – Dyrektor przedsiębiorstwa sięgnął po kieliszek.
- Proszę bardzo, niech pan kosztuje.
- Paweł pochylił się nad tacą i wyciągnął rękę w miejsce, gdzie w sporą kanapkę z szynką celował purpurowy paznokiec żony ekonomisty. Przysiadł na skraju plecionego fotela. Ciągłe nie mógł się zorientować, po co go tu ściągnięto i czego będą za to od niego wymagać. W każdym razie musiał być zapowiedziany, bo nikt z obecnych nie wyraził zdziwienia.

– Więc jak sądzicie, co jest w tym Belgradzie najwspanialsze? – rozjaśniła się znów w uśmiechu szeroka, starannie wygolona twarz.

– Może muzea? – skwapliwie wtrącił podkreślający nerwowym węzłem krawata artystyczny charakter swojej pracy rzecznik prasowy przedsiębiorstwa, wychylając się do przodu z kanapy. Widząc, jak z wyższością zakołysała się przecząco głowa dyrektora, gorączkowo szukając innej odpowiedzi spojrział ze złością na siedzącą obok bladą, chudą żonę.

– Belgradzka ulica – powiedział dyrektor i jeszcze przez parę chwil delektował się wywołanym wrażeniem. – Jej klimat, proszę państwa, niepowtarzalny.

– Ogromnie trafne spostrzeżenie – zgodził się rzecznik. A jego żona, w amerykańskiej niebieskiej sukni z ogromną czerwoną różą, spojrzała na niego z cierpkim uśmiechem.

– Koniak, winiak, jarzębiak czy soplca? – znów przesunęła się obok Pawła żona ekonomisty.

– Niech pan się czuje jak u siebie w domu – poklepał go po ramieniu gospodarz.

– Proszę bardzo, niech pan kosztuje – znów zbliżyła się taca.

– Właśnie dyrektor przywiózł ogromnie ciekawą grę, którą nabył w czasie swojego pobytu w Jugosławii. Jestem ogromnie zaciekawiony – życzliwie uśmiechnął się w stronę Pawła rzecznik.

Na stojącym w kącie orzechowym stoliku dyrektor rozwijał z kolorowego papieru sporą tarczę z plecionki, podzieloną, podobnie jak tarcze strzelnicze, na szereg numerowanych kręgów w czarno-czerwonych kolorach. Obok rozłożył zakończone ciężkim stalowym ostrzem nylonowe strzałki, zakończone barwnymi lotkami.

– Jakie ładne! – ucieszyła się żona ekonomisty.

– To ogromnie ciekawe – pochylił się rzecznik.

– Proszę, niech pan kosztuje... – Żona ekonomisty powstrzymała ruch Pawła, który pode-rwał się, aby dopomóc przy umocowaniu tarczy. – Niech pan siedzi, dadzą sobie radę sami. – Przynęła się bliżej, wysoko zakładając nogę na nogę. – Koniak, winiak, jarzębiak czy soplca?

Wypił starając się nie patrzeć na jej nogi. Ile w ogóle mogła mieć lat? Może czterdzieści? Trochę za gruba, starannie wepchnięta w obcisłą błyszczącą suknię, wypełniała dokładnie fotel. Twarz też miała jakby opuchniętą, za dużą, jeszcze te nogi najlepsze, i ona o tym wiedziała. Kiedyś na pewno mogła być bardzo dobra. Spojrzął na jej męża myśląc, że tamten wtedy miał ją całą dla siebie codziennie w tym mieszkaniu albo w innym, równie puszystym, mógł kłaść ją na tapczanie, jeśli tylko miał na to ochotę. Zakrztusił się wódką. W każdym razie to picie pomoże na przeziębienie, to chociaż na pewno. Gardło nie stawiało już żadnego oporu. Nieufnie parę razy z rzędu przełknął ślinę.

– Pan tutaj pierwszy raz? – Zobaczył obojętną twarz wychylającą się zza wielkiej czerwonej róży nad chudym dekoltem.

– Tak, rzeczywiście...

– Aha – żona rzecznika wyłączyła się z rozmowy.

– Następnie, prawda, ustala się dystans, o, na przykład taki, i rzuca do tej tarczy starając się trafić jak najbliżej środka, przy czym fragmenty czerwone premiowane są dodatkowo. To typowo jugosłowiańska gra – dyrektor uśmiechnął się z satysfakcją. – Wyrabia pewność ręki, ćwiczy oko, hartuje nerwy, napawa nawykiem fizycznym.

– Ogromnie interesujące.

– To proszę, niech pan może rozpocznie, dyrektorze – powiedziała żona ekonomisty.

– Bardzo ci dziękuję, Stefan, uroczy prezent.

– Tak myślisz? – ucieszył się dyrektor ściskając dłoń gospodarza.

– Ale to musi być bardzo drogie – załamała ręce żona ekonomisty. – Na pewno tyle pieniędzy pan wydał!

– Co też pani mówi! Chociaż, oczywiście, nie przeczę, ma to swoją wartość. Kupiłem to z myślą o tobie, Erneście. Pamiętasz, dawniej miałeś oko i rękę, że pozazdrościć.

– Koniak, winiak, jarzębiak czy soplica?

– Ogromnie interesujące.

– Nie, Stefan, muszę zaprotestować. Najlepszym snajperem w całym plutonie byłeś ty. Pamiętasz wtedy w oknie trzeciego piętra, przed nami barykada...

– No to, dyrektorze, niech pan rozpoczyna. Jestem ogromnie zainteresowany.

Tamten skupił się, ważył przez chwilę strzałkę w dłoni, zmrużył oko, odchylił się do tyłu, wreszcie rzucił trafiając w sam dół tarczy.

– Świetnie! – wykrzyknęła żona ekonomisty.

– Ogromnie udany rzut.

– No, lepiej byłoby, prawda, bliżej środka. – Dyrektor, nieco zakłopotany, rzucił następną, a gdy wbiła się tuż koło pierwszej, machnął niechętnie ręką.

– Ogromna regularność, jaki mały rozrzut.

– A może pani też spróbuje.

– Och, nie, to taka męska gra! – uśmiechnęła się żona ekonomisty. – Jak długo był pan w Jugosławii?

– No cóż, konferencja trwała tydzień. To ciekawy kraj. O – zmiął w palcach rękaw marynarki – tam kupione. I widzicie, nie gniecie się. Ciekawy kraj!

– A – wtrącił się rzecznik – czy widział pan tam w Belgradzie pewien lokalik, notabene ogromnie nieprzyzwoity?

– Ależ co pan! – zachnął się dyrektor.

– A jak tam z hotelami? – włączył się ekonomista próbując odwrócić uwagę od swoich niezbyt udanych rzutów.

– Daj nam Boże takie hotele. Oczywiście nie musicie zaraz tego gdzieś chlapanąć – spojrzał ostro na rzecznika. – Mówię to między nami.

– A jak kobiety? – spytała kokieteryjnie żona ekonomisty.

– Och, absolutnie nie tak piękne jak u nas. – Podniósł kieliszek. – W pani ręce perswaduję.

– Bynajmniej – uśmiechnęła się z satysfakcją gospodyni.

– To nie był pan w tym lokaliku ogromnie nieprzyzwoitym, o którym wspominałem? – Rzecznik był już mocno rozkołysany wypitym alkoholem. – Zwłaszcza, prawda, po dwunastej dzieją się tam rzeczy ogromnie zajmujące – zachichotał nerwowo.

– Co wy, co wy!...

Rzecznik rozpaczliwie zmobilizował się:

– A... tego... budownictwo?

– No, nieźle, trzeba przyznać, nieźle. Oczywiście nie mamy powodu się wstydzić naszego dumnego budownictwa, ale, prawda, organizacja – to daj nam Boże. Tylko nie chlapijcie gdzieś tego... Ależ pan ma oko, kolego – zwrócił się do Pawła, który umieścił właśnie strzałkę w samym centrum tarczy – czy pan się gdzieś przygotowywał?

– Nie, nie... – Paweł, przestraszony swoim sukcesem, odłożył strzałki.

– Koniak, winiak, jarzębiak czy soplica? – zbliżyła się na moment żona ekonomisty i naraz delikatnie przesunęła mu ciepłą, trochę wilgotną dłoń po policzku i ustach.

Cofnął się gwałtownie. Jeśli jej mąż to widział... Przecież zaraz go stąd wyrzucą. Co ona wyprawia? Jeżeli tamten nawet chciał mu coś zaproponować, to teraz, o ile widział, wszystko już przepadło. Odważył się spojrzeć w jego stronę. Tak, widział to chyba na pewno, nie ma się co łudzić. O co im w ogóle chodzi? O co im wszystkim chodzi? Poczul roztkliwienie nad sobą. Już po dziesiątej, do domu pół godziny. Jeśli wcześniej wyjdzie, to może łatwiej dogada się z Wandą, szybciej będzie mógł zakończyć całą sprawę.

– A, panie dyrektorze, w tym lokaliku nieprzyzwoitym... – rzecznik zakołysał się na krześle i urwał. – Przy okazji – rozpoczął znowu – dyrektorze, mam taką prywatną sprawę...

– Na miłość boską, nie tutaj – zniecierpliwiał się tamten.
Rzecznik odwrócił się do niego bokiem i wypił jeden po drugim dwa kieliszki.
– Idiota! – wypłynęło z niego suchego dekoltu.
– O, ósemka – ucieszył się dyrektor. – Popatrz, Erneście, ósemka. – Przystanął przy oknie.
– Tutaj tak miło, ciepło, a na dworze chłodny dzień. Przypomina mi to inny wieczór, zaraz po powstaniu. Pamiętasz, Erneście? Spotkaliśmy się – sami koledzy. Jeden rodzinę stracił, drugi dom, trzeci – zastanowił się – wszystko.
– W tym lokaliku... – rozpoczął rzecznik i machnął ręką. – Wie pan co? Ja mam w dupie zagranicę – poufnie zwierzył się Pawłowi. – Co mi się pan tak przygląda? Też pana wykołują. Myśli pan, że się pan przy niej długo utrzyma? Niesłusznie. – Skrzywił się i pokręcił przecząco głową. – Może i jestem idiota – spojrzał na żonę – może i jestem, ale uczciwy. Napijemy się? – Niezdarnie rozlewając wódkę napełnił kieliszki.
A może właśnie dziś – Paweł zacisnął ręce – zostanie mieszkanie puste? Puste mieszkanie i kartka od niej. Krótka, ordynarna. Że dłużej niej wytrzyma, że się zabiera, że ma dosyć takiego... Albo może właśnie kiedy wróci, ona będzie się pakować. Im później wróci, tym szansę są większe. No bo rzeczywiście może się na to zdecydować. Odgrażała się przecież, że go zostawi, że dopiero wtedy on zrozumie, czym dla niego była, co w ogóle znaczyła w jego życiu. Może jest jednak jakaś szansa...
– ...Więc jeden rodzinę stracił, żonę drugi, siedzimy, wspominamy, nagle lekarz pewien, zasłużony człowiek, poważny, podnosi się z zapalonym papierosem i wychodzi do pokoju obok...
– Otóż mówię panu – zabelkotał rzecznik – że długo się pan przy niej nie utrzyma. A w ogóle to nie pan pierwszy i nie ostatni sprowadzony, ma temperament. Chociaż – przyjrzał się uważnie Pawłowi – jak jej pan dobrze dogodzi – mrugnął porozumiewawczo – a on się z nią rozejdzie, to i mieszkanie może zostawi... – Wykonał jeszcze jeden skomplikowany grymas, podniósł się, zakotyłsał i rzucił strzałkę w kierunku tarczy, odłupując spory kawał tynku pod czarno-białym obrazem. Żona gospodarza przykucnęła tam zaraz, oglądając wyrwaną strzałką dziurę.
– Panie kolego, usiądźcie – z niesmakiem pokręcił głową dyrektor.
– Bardzo panią przepraszam – spróbowała się uśmiechnąć żona rzecznika.
– Ach, nic nie szkodzi – odpowiedziała tamta nieszczerze.
Matce też udało się z tym wyjazdem na Mazury. Swoją drogą ciekawe, jaka ona jest, córka tej osobistości. Samochód, trzy pokoje. Może jeszcze ładna, to możliwe, chociaż jednak trochę byłoby tego za dużo, za dobrze dla tamtego, bo za co?
Nagle zaczęły do niego docierać słowa rzecznika.
– Właściwie to o czym pan mówi? Tamten machnął ręką i napełnił wódką trzy kieliszki. Potem dostawił jeszcze jeden.
– ...I wtedy z drugiego pokoju słyszymy strzał. Biegniemy tam wszyscy, otwieramy drzwi i widzimy, że nasz lekarz trzyma w jednej ręce dymiący pistolet, w drugiej dymiącego papierosa, zaciąga się dymem i ten dym wydobywa się przez dziurę w płucach. Potem upadł. – Dyrektor zamyślił się.
Przed Pawłem przesunęła się żona ekonomisty, oparła się na moment o jego fotel i przeszła dalej, ale on odczuł to jak ostre ukłucie. Począł zastanawiać się nad słowami rzecznika. Napotkał wzrok ekonomisty, napięty, czujny, i jeszcze wydawało mu się, że tamten, jakby próbując się uśmiechnąć, przyzwalająco kiwa głową.
Rzecznik wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, usiłując zapalić ustawione rzędem kieliszki z wódką. – Franek – zabelkotał – Łysy!...
– Wódka się nie zapali – podniósł się z krzesła ekonomista, zastygając z opuszczonymi sztywno w dół rękami. Podobnie uroczyście znieruchomiał dyrektor. Paweł także podniósł się na wszelki wypadek.

– Ma pani spirytus? – wymówił z trudem rzecznik. – Zresztą – machnął ręką – do spirytusu teraz dolewają wody. – Paweł podniósł się, zrobił parę kroków i zdziwił się, że nie jest pijany. Spojrzał na rzecznika, który znów próbował włączyć się do rozmowy.

Stał przy wielkim ekranie telewizora, ustawionego w drugim końcu pokoju. „Teraz – pomyślał – teraz ktoś do mnie podejdzie.” I zaraz poczuł, że tamta stoi tuż koło niego. Pochyliła się, przekreśliła gałkę, poczuł dłoń ześlizgującą się po jego czarnej marynarce i wiedział już, że rzecznik ma rację. Przewidywał dalsze słowa i zastanawiał się, co zrobić. Żałował, że nie wypił więcej, a kiedy zobaczył jej twarz, nagle poczerwieniała, i usłyszał, że ma wyjść z tamtymi i potem wrócić, pokręcił przecząco głową. Co teraz powinien zrobić? Odepchnąć ją? Zadenuncjować przed mężem? Może jutro na przykład wyznać mu poufale, po znajomości, jaką to ma żonę, i zasłużyć sobie na jego wdzięczność? Tymczasem ona mówiła szybko, przytłumionym głosem, udając, że manipuluje gałkami, żeby był spokojny o męża i o pracę, bo mąż w tym celu go tu przyprowadził, wybranego przez nią parę dni temu, i dalej, o wynikających z tego dla niego korzyściach. Jej oczy były teraz proszące, smutne.

*

– Za ciasno – rzucił Heniek. Znowu zaczął padać deszcz. Heniek podniósł kołnierz lotniczej bluzy, podciągnął dwa z sześciu suwaków.

– Heniek! – Wyskoczył za nim z drzwi „Dworcowej” miniaturowy, wychudzony, z precyzyjnie zwichrzonymi rzadkimi włosami. – Heniek! Czekaj! – Widząc, że oddała się, dogonił go i szedł obok, ciężko dysząc. Dwie bruzdy na policzkach wydłużały jeszcze bardziej jego jajowatą głowę, postarzały twarz. – Ty, Heniek! One pójda, ale z tobą. Bez ciebie nie pójda! – Uczepił się jego ramienia. Deszcz przyklepał mu włosy, spływał na wystrzępioną marynarkę. Nie zważając na to dreptał obok.

– Zmęczony jestem – mruknął Heniek. Właściwie od rana nic nie jadł, wypił niby nie tak dużo, ale w ogóle nie czuł się dobrze. Zdecydował, że pójdzie do domu. Nie miał ochoty na dalszą zabawę z tamtymi dwiema i Cześkiem. Mieli iść do Władki, ale u niej była tylko jedna amerykanka z rozwalonymi sprężynami. Tak, w ogóle by się wyciągnął. Odrzucił piszczącego Cześka, który odleciał o parę metrów.

– O Jezu, Heniu! Bez ciebie one nie pójda, a ja już miesiąc nic... Wiesz, cały miesiąc ani-ani... – plątał się dwa metry z tyłu.

– Za ciasno – rzucił Heniek.

– Damy radę. Ty, Heniu, wygodnie, a my jak leci, byle jak. Ty leżysz, ona na tobie, a ja ją... – Przystanął zrezygnowany i powłókł się w stronę „Dworcowej” Heniek skręcił w boczną ulicę. Kiedy przed swoim domem zobaczył Danę, było już za późno, żeby cofnąć się albo cokolwiek wymyślić, zresztą był zmęczony. Zainteresowało go nawet, co ona tu robi, wyraźnie chyba na niego czeka, ale o co w ogóle chodzi? Nic jej nie wziął wtedy z domu, więc to nie, a że nie przyszedł, o to chyba afery nie będzie robić, bo to do niej nie pasuje. Zatrzymał się.

– Masz co do mnie? Nie przyszedłem, bo mi coś wypadło.

– Nie przyszedłeś, nie przyszedłeś, twoja sprawa. Nie chciałeś, zgrywałeś się tylko głupio i niepotrzebnie – mówiła zupełnie spokojnie.

– Ja? – zaprotestował. Jeszcze nie wiedział, co na niego szykowała, trzeba ją wyczuć, podpuścić.

– Daj spokój – podsunęła się bliżej ściany. Pochyły dach zasłaniał przed deszczem. – Wiedziałam, jak szedłeś do mnie przez podwórze, i zabrałam pieniądze spod wazonu. Potem chciałam się z tobą położyć. – Zobaczyła w jego oczach uznanie.

– Ale – zastanowił się – po co żeś tu przyszła? Po co tu stoisz?
Znacznie łatwiej wymawiała już teraz dokładnie obmyślane zdania:
– Pomyślałam, że jak nie znalazłeś nic, to nie wrócisz. Dlatego mówię ci, że jak przyjdiesz, to może jednak coś znajdziesz.
– Coś ty – powiedział.
Wyciągnęła z kieszeni płaszcza zmięte pięćdziesiąt złotych.
– Masz. Przyjdiesz, znajdziesz więcej, zjesz coś, pośpisz. Kupiłam wino...
Przyglądał się jej czujnie. Za łatwo się to wszystko układało, za dobrze. Ale w końcu właściwie co mu zależy? O co chodzi?
– Głupio wypadłem – powiedział.
– Ja też się zgrywałam – wzruszyła ramionami. – Wszystko jedno.
– Ale ty mnie tak przekreśliłaś – skrzywił się z niedowierzaniem. – Ty... Jednak coś nie pasowało. Dlaczego jej aż tak zależało, żeby przyszedł dzisiaj? Stała, czekała, może już długo czekała, jeszcze na deszczu... Z drugiej strony, z tą forszą tak go odkryła, tak dobrze to odegrała, dorzuciła mu, to pewne, w ogóle zresztą jest czas, żeby się zastanowić, zwłaszcza że tak stawia sprawę, że ryzyka właściwie nie ma. Bo co mu zrobi? Dała pięćdziesiąt, trzeba pomyśleć. Przespać się u niej, zjeść byłoby całkiem dobrze.
– No to co, idziesz?
– Może – przeciągnął – może przyjdę, ale później.
Zobaczył, jak się szarpnęła, i wyczuł, że znów ma przewagę.
– Dobrze – odwróciła się. – Przyjdź później, jak chcesz. Coś dostaniesz.
– Tak – powiedział zadowolony. – później chyba przyjdę.
– Patrzył, jak oddala się spokojnym, równym krokiem. Trzeba się zastanowić. Coś bardzo jej zależy. Obejrzał pięćdziesiąt złotych i zawrócił w stronę „Dworcowej”.

*

– Otóż, proszę pana, nie należy ufać ludziom na ogół – zatoczył się lekko rzecznik prasowy przedsiębiorstwa. – Ja tam wspominałem panu o takiej historii...
Paweł poczuł jego czujne spojrzenie i zastanowił się, czy tamten rzeczywiście był aż tak pijany.
Krążyli razem już z pół godziny w okolicy domu ekonomisty nowymi ulicami, nie pokrytymi jeszcze chodnikiem, ślizgając się po gliniastych wzniesieniach i balansując między kałuzami na porzrzucanych płytach. Deszcz padał coraz większy i Paweł poczuł naraz ochotę na szybki odwrót do domu, gdzie była wprawdzie Wanda, ale po pół godzinie wszystko wróciłoby do normy, byłoby coś ciepłego do picia i w ogóle wszystko byłoby znajome, od dawna ułożone i oczywiste. Minęło sporo czasu, odkąd wyszli. Powinien już tam wrócić, wejść po schodach, zadzwonić, ona otworzyłaby mu drzwi, może już w rozchylnym szlafroku.
Bez rezultatu starał się przywołać uczucie podniecenia.
– Ekonomistę znam od dawna, jest to człowiek wybitnie zasłużony dla przedsiębiorstwa. Poznałem go w minionym okresie. Wiatr hulał ulicami stolicy, prznosił stare gazety, ludzie mieli podniesione kołnierze i niespokojne oczy...
Szedł obok w oblepionych gliną luksusowych butach, z pewnością za wiedzą i namową żony, która powiedziała zresztą wyraźnie, że gdyby się przeszedł, dobrze by mu to zrobiło. Ekonomista nie wyszedł razem z nimi, został na górze, ale ostentacyjnie podkreślał przedtem, że wzywają go ważne sprawy i dziś jeszcze odwiedzić musi przyjaciela zza granicy, który zatrzymał się w hotelu, i kto wie, czy nie pozostanie z nimi do rana. Paweł poczuł dla niego coś w rodzaju współczucia i sympatii, że opuścić musi własny dom w taką pogodę, włączyć się gdzieś, i wyobraził sobie, jak tamten podchodzi do żony i pyta, czy on, Paweł, przyjdzie.

Brała go sobie dość swobodnie, jeszcze za pośrednictwem męża. Co on o tym właściwie myśli? Jak się będzie w stosunku do niego zachowywał? Czy rzeczywiście go będzie popierał i na ile? Co mu załatwi? A jeżeli nie będzie go chciała na dłużej, to jak on się zachowa? Wyrzuci go? Czy przeciwnie, może polubi? Właściwie – gdyby nie Wanda – toby może tam nie poszedł, to znaczy, gdyby czekał ktoś inny zamiast Wandy. Ale tak to nawet będzie jakiś protest przeciw Wandzie, przeciw temu życiu z nią, posłusznemu i płaskiemu. Raczej go polubi i będzie chyba go popierał, raczej tak.

– Po studiach widzę przed panem świetnie, naprawdę świetnie – zakołysał się na nierównej płycie rzecznik. – Rozkopali, cholera! Dawno mieli skończyć i takie porządki.

Paweł zatrzymał się. Tak, teraz powinien zawrócić, odczepić się od niego i iść do tamtej. A gdyby mu się nie udało odczepić? Wtedy byłby właściwie usprawiedliwiony, mógłby wrócić do Wandy, autobus jest nawet niedaleko. Ale jak by się wtedy zachował ekonomista?

– No – zatrzymał się także rzecznik – to bardzo miło było mi pana poznać. Mieszkam tu – pokazał odległy o kilkadziesiąt metrów blok. – Naprawdę bardzo miło.

– To jeszcze odprowadzę pana kawałek – powiedział szybko Paweł. Zawsze jeszcze opóźni się wszystko, jeszcze dwieście kroków i potem osiemset czy dziewięćset z powrotem. Nogi kompletnie mokre, gardło znowu kłuło. No tak, chyba mam gorączkę – dotknął czoła – chyba tak. Najlepsze będzie, jak się u niej rozchoruję. Ta woda w butach! Jak w ogóle zdejmować takie buty?

Z drugiej strony zbliżały się w ich kierunku jakieś postacie.

– To jak, Heniu, będzie co z tego? O Jezu, co ci zależy? Wrzucisz sobie, i co takiego? – zachlapał w kałuży Czesiek. – Cały zmokłem – zastanowił się.

Heniek poślizgnął się na glinie i zaklął.

– Gub się stąd – powiedział – już! Jestem umówiony.

Kiedy po rozmowie z Danką wrócił do „Dworcowej”, tamten znów się przykleił, laźł za nim spory kawał.

– Coś ty, Heniu, coś ty?!

– Z przeciwnej strony nadchodziło dwóch mężczyzn. Heniek poślizgnął się znowu. Jednak wypił dzisiaj sporo. Niewyraźnie rozróżniał sylwetki. Jeden był wyższy, młodszy. Słyszał za sobą dreptanie Cześka. Opuścił głowę, przechodząc potracił jednego z nich.

– Co za zachowanie! Chuligaństwo jakieś! – wykrzyknął rzecznik.

– Niech pan zostawi – zaniepokoił się Paweł, rozglądając się niepewnie.

– Trzeba, proszę pana, tępić na każdym kroku – zaczął tamten. Urwał nagle, uderzony z dołu przez Heńka, zatoczył się na płot i osunął pod nim na ziemię.

Paweł zrobił krok w jego stronę, myśląc ze wściekłością, że to przez tego idiotę i jego głupie gadanie ta cała historia, potem odwrócił się i czując krew w ustach upadł w kałużę. Leżąc uświadomił sobie, że tamten uderzył go z tyłu bardzo mocno, chyba miał coś w ręku. Naokoło wzbierało lepkie zimno. „W tym stanie już w ogóle nie mogę tam iść” – przestraszył się. Tamci odsunęli się parę metrów, chyba dadzą już spokój. Podniósł się, dotknął ostrożnie dłonią twarzy, przestraszył się silnego bólu, czerwonych śladów na dłoni. Bolały go plecy – padając uderzył o coś twardego. Podniósł prostokątną bazaltową kostkę, obejrzał ją ze zdziwieniem: nie czuł jej ciężaru.

– Uważaj, Heniu, ma kamień, uważaj! – zapiszczał jakiś głos. Ten, który uderzył go przedtem, szeroki w skórzanej kurtce, szedł w jego stronę manipulując przy kieszeni. Tak, Paweł widział to już teraz wyraźnie – miał w ręku nóż.

Rzecznik podnosił się wolno. Tamten ostrożnie przystanął.

Po co ten nóż? Po co? Nie, to przecież niemożliwe, żeby pomyślał, że rzuci w niego kamieniem, to niemożliwe! Może by upuścić kamień na ziemię? Tamten by zrozumiał... Albo zacząć uciekać już, nagle, po tej płycie na lewo tam dalej jest trochę suchego. Są chyba pijani, nie dogoniliby go. Jakies dwieście kroków i klatka schodowa... Spojrzał błagalnie na tam-

tego. Nie widział wyraźnie jego twarzy. Tak, upuścić kamień. A może upaść? Wtedy chyba dałby spokój. To jeszcze pewniejsze od kamienia. Spojrzał na ziemię.

Nagle zatupotały kroki. Kątem oka zobaczył, że rzecznik biegnie w stronę domu.

– Chodź, Heniu! Trzaśnij i chodź. Bez ciebie w ogóle się nie ruszą, a ja już... – nadpłynął piskliwy głos.

Nie mógł się przewrócić, nie mógł upuścić kamienia, mięśnie miał zupełnie sztywne. Zresztą jeśli upadnie, tamten zacznie go kopać. Poczul straszliwą słabość. Poruszył nogami – jednak mógł wykonać jakiś ruch. A gdyby rzucić? Rzucić w tę twarz przed nim? Zamazać ją jeszcze bardziej? Nie, nie zdążyłby nawet zamachnąć się. Tamten mógłby się uchylić. Wyciągnął dłoń z kamieniem do przodu, chcąc jakby oddać go tamtemu, a jednocześnie przytrzymać go na odległość ręki. Wtedy Heniek uderzył. Dwa razy, mocno, starannie. Paweł za-
bełkotał coś i wolno usiadł w kałuży. Opierając się o płot podniósł się na zgiętych nogach, pochyłony, zrobił parę kroków. Ślizgając się rękami po deskach i zataczając począł biec. Słyszał ich za sobą. Ciągle nie wierzył, że to może być koniec. Właściwie nie biegł już, tylko sła-
niał się po rozkopanej ulicy, czując krew w ustach i na przyciśniętych do brzucha dłoniach. Zrobił jeszcze parę kroków i upadł. Spróbował się podnieść, przyklęknął i naraz ciężko pole-
ciał na twarz, kopiąc rozmokłą ziemię.

– O Jezu, Heniu! Coś ty, coś ty, Heniu! – mały, przemoknięty Czesiek wycofywał się wzdłuż płotu. – On się kończy.

Heniek obejrzał zabrany rano bratu nóż, wytarł go ręką, złożył i schował do kieszeni.

Czesiek oderwał się od płotu, ostrożnie wyminął leżącego.

– Złapią cię, Heniu.

– Dlaczego akurat mają złapać? Tamten chyba nie rozpozna – spojrzał w stronę bloków. Zawahał się chwilę i ruszył w przeciwną stronę. – Nie widziałeś mnie od wyjścia z „Dworcowej”. Tak?

– Tak, Heniu. – Czesiek spiesznie dreptał obok. – Tak jest, Heniu. – Obejrzał się. – Ale jak cię jednak złapią...

– Pewnie konopie. – Heniek zatrzymał się nad wylotem ścieku, wyciągnął z kieszeni nóż i uważnie celując wrzucił go do otworu.

– Myślisz? – zadrżał się Czesiek. – Powieszają?

– On pewnie nie żyje albo mu niedużo brakuje – zastanowił się Heniek. – Widocznie tak miało być. No już. Skręcił w ulicę, na której mieszkała Danka.

– No już! Wracaj i wiesz, co masz mówić.

– Tak jest. Jednakże, Heniu, może byś zawrócił ze mną, wiesz... z tymi dwiema... bo bez ciebie nie ma co... A i tak, jak idziesz...

– Jazda! – machnął na niego Heniek. – Mówiłem, jestem umówiony. I nie widziałeś mnie.

Wszedł na chodnik, spojrzał na zabłocone buty, podniósł kawał mokrej gazety i uważnie usunął z nich glinę. Miało tak być – pomyślał – trudno.

Skręcił w otwartą jeszcze bramę.

*

List do pani Władysławy M. z a m i e s z k a ł e j w R., w o j e w ó d z t w o P.
Kochana Mamo!

Nie wiem, czy się Pani nie obrazi, że tak Panią nazywam. Ale dla mnie to najlepiej, i mnie z tym dobrze. Piszę do Pani ten list mając nadzieję, że może jakoś dotrze on do Henia. Marzę, aby kiedyś otrzymać od niego list, choćby krótki, byłby dla mnie teraz moją radością i moim szczęściem i zwiastowałby mi Henia.

Co oni z niego robią? Czy w ogóle nie ma na świecie żadnej sprawiedliwości? Proszę mi wierzyć, że nie mogę się w żaden sposób skupić, kiedy pomyślę, jak mu się ta pętla zaciska na gardle, ale muszę jednak to napisać do Pani i tym się z Panią podzielić. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła kogoś kochać. Prawdę mówiąc, nie znałam Henia bliżej, jak tylko z ekranu szklanego w czasie nadawania zeznania, i poczułam od razu, że coś się dzieje ze mną niezwykłego. Już czytając uprzednio gazety informowana byłam o tej sprawie. Tak więc skupiliśmy się tego wieczora przy odbiorniku z zaproszonymi osobami, bo na to oczekiwali wszyscy w naszym miasteczku, więcej nawet niż na jakąkolwiek inną okazję, taką jak „Kobra” albo Simon Templar, przez to, że to miało być naprawdę. Podczas nadawania tej audycji był więc przy tym mój ojciec, matka, mąż siostry ojca i jeszcze jeden, który pracuje z ojcem w Radzie Narodowej, ale jest o wiele młodszy, ma lat 25, podczas gdy ja sama mam 16. A ja wtedy od razu poczułam, że przyszła miłość, ale jakaś dziwna, tylko wtedy nie mówiłam nic, chociaż myślałam, że oszaleję, kiedy Henio opowiadał, jak wyjął nóż i jak to uderzył. A tego drugiego żeby zmory zjadły w więziennej celi za to, że Henia nie zatrzymał, że narobił tyle krzywdy biednemu Heniowi i kochanej Pani. Matka moja podczas audycji mówiła o chuli-gaństwie i że obawiała się wyjść na ulicę, ojciec potwierdzał, a pan Kazio, że on się nie boi i że z chuliganami, jak któregoś spotka, to trzeba tak: za kudły i o kolano, a potem poprawił się, że najpierw łba, a potem dopiero za te kudły. Myślał, że mnie tym przyjemność sprawia, a ja patrzyłam tylko na Henia, na ten jego uśmiech smutny i tę rękę z piratem, na co matka też mówiła, że to bandziorstwo robić sobie takie ręce. A ja czułam, jak napadają mnie bolesne chwile, które rozdrapują mi serce na kawałki, bo omawialiśmy teraz poemat lorda Jerzego Byrona *Korsarz w budzie*, a oni tego nie rozumieją, a sam ojciec wykłął sobie w powstaniu kotwicę pod łokciem. I tak Henio też chciał walczyć, bo mu to życie nie odpowiadało, tyle że nie umiał, ale musiała w nim być ta potrzeba, której inni ludzie nie rozumieją, jak zawsze w takich sytuacjach, co jest ogólnie wiadome. Bez Henia brakuje mi czegoś. Z falą popłynąć nie można i niepodobna. A ja poprzez męty uczuć mych sentyment widzę, słyszę. Przepadnę, i on także, bo uważam, że jedyną bronią przeciw fatum naszego życia jest dobra gra: zdolność oszukiwania ludzi i siebie aż do ostatka i ostatniego tchnienia. Ale on był do tego za uczciwy i dlatego musi zginąć, dlatego rozpamiętuję teraz jego uśmiech, włosy, oczy, które miał chyba czarne. Czy tak? Że też Henio nie mógł się zahamować przedtem. Żeby nie pił z tamtym drugim i z tymi lafiryndami, ancymonkami, panienkami z miasta ulic! Podłe dziewuchy, bo inaczej chyba nie mogę tego ohydztwa nazwać. Mąż Stasi, czyli siostry ojca, niby mądry, mówi o tym wszystkim, że to przekroczenie prawa i bezczelna niemoralność. A ja jego widziałam, jak wchodził do sąsiadki obok, która też jest niezła obrzymiła, i przebywał u niej długie chwile. Niby kupując od niej nasiona, które ona ma najlepsze, hoduje kwiaty, zwłaszcza róże, o czym pisali w gazecie. Ja to podejrziałam nie z ciekawości, tylko tak się złożyło, ale nikomu nie powiedziałam i tak zostało z tym kłamstwem i oszczerstwem. Po audycji opowiedziałam wszystko tatusiowi, który poczuł, że coś się dzieje ze mną niedobrego. Począł mi tłumaczyć, że to nic, tylko chwilowe oczarowanie, bo rodzice dzieci nie zrozumiały, a ja w parę dni schudłam 3 kilo. Bardzo przepraszam za ten mój list, ale nie panuję nad sobą. Profesorowie dziwią się, co się ze mną dzieje. Z powszechnie lubianej Gosi zrobiło się ze mnie nie wiem co. Ciągłe krzyczę: „Dajcie mi Henia, dajcie mi wielkiego uczucia tchnienie szerokie.” Koleżanka z mojej klasy nie chciała uwierzyć, żebym ja coś takiego odczuwała, ale ona jest inna i ma narzeczonego w naszej klasie. Czasem słyszę jakieś szepty, szmery, stapania. Ale słyszą to także moi rodzice i pilnują mnie na każdym kroku, boją się o mnie, ja natomiast drwię sobie z tego. Lubię te chwile, pieszczę się nimi, bawię się gorączką wyobraźni, co mi serca tętno tak rozkosznie przyspiesza. Mogę się Pani zdradzić w zaufaniu, że ja, kończąc szkołę, postanowiłam ostatecznie, że będę pracowała jako oficer śledczy – detektyw. Już za trzy lata, jeśli będziemy do siebie pisywały, zobaczy mnie pani jako oficera. Ja również pragnę, aby Henio dostał mniejszy wyrok. Wszystko by wyglądało inaczej, oczekiwałabym go, on by się jakie-

goś fachu wyuczył. Z Heniem nie bałabym się niczego i nikogo i byłabym przy nim jako rozumiejąca przyjaciółka do czasu śmierci. Ale to byłoby tylko możliwe, gdyby się zgodziła Rada Państwa na ulaskawienie. Na razie wysłałam tam prośbę, ale mój tatuś zmartwił mnie okropnie mówiąc, że jest to niemożliwe. A ja widziałam w telewizji, jak zabijają dzieci nawet młodzi żołnierze amerykańscy, i nic im za to. Ja sądzę osobiście, że młodej dziewczyny uczucia więcej znaczą niż wszystkie inne. Jeżeli ta prośba ich nie wzruszy, to są zupełnymi głazami bez serca. Jak nie przyjmą mnie do tej szkoły, to pójdę do więzienia jako inspektor, i też musi grać, no nie? Wtedy ja bym zagrała rolę. Byłabym bezlitosna i w ten sposób pomściłabym Henia. Może to nieładnie, ale ja złożyłam taką przysięgę i jej dotrzymać muszę, choćbym miała głową mur zburzyć. Opuściły mnie siły moje, ciało czuję, ból czuję, w piersiach dławi, dusi. Rodzice mi wyższość zdrowego zwierzęcia współczuciem okazują. Nienawidzę współczucia, brzydzę się nim, chcę być sama. Każdy mówi – zapomnij. Nie, ja nie zapomnę. To się odradza, to powstaje. „Miłość, co była już w grobie chłodna, krew poczuła, spod ziemi wygląda, zemsty żąda i jak upiór powstaje” – tak samo jest z moim uczuciem. Teraz smutek jest moją trzeźwością. Poszłam do księdza i opowiedziałam mu wszystko to, co wiedziałam. I zgodził się na mszę świętą. Będzie to w niedzielę najbliższą o jedenastej rano, po mszy młodzieżowej. Teraz już muszę kończyć pisanie, bo nadchodzi matka, która zaraz zwróciłaby uwagę na to, do kogo piszę, i byłyby przykrości. Kończę, bo mogę tym Panią znudzić. Czekam na odpowiedź i żegnam Panią, kochana Mamo, jako wiernego korespondenta i bliską osobę. Pozostaję kochająca Panią

Gosia.

KUSZENIE CZESŁAWA PAŁKA

Po opuszczeniu zakładu powracałem do domu, dzień w pracy zakończył się powodzeniem, na naszym dziale była komisja, usterkowali cały dzień i nic nie zausterkowali. Dostyc to nam osłabiło ciągłość pracy nad skrzynią biegów kombajnu, którą przestawialiśmy na pasy skórzane importowane. Ale i tak dobiegaliśmy już do opanowania tej technicznej nowości. Po obiedzie szedłem spacerem do swojego mieszkania przez całe centrum, a czasu miałem dosyć w rezultacie wolnego dziś od zajęć popołudnia na Wyższej Szkole Inżynieryjnej. Szedłem, w czym mam pewną przyjemność, okrążyłem dwa razy PDT patrząc na ludzi biegających na wszystkie strony, zastanawiałem się, dokąd tak biegają. Zaszedłem do sklepu „Delikatesy” wypełnionego całymi tłumami kupujących, i spokojnie stałem na boku, bo miałem już poczynione zakupy na kolację. Przez „Delikatesy” lubię chodzić, bo sprawia mi przyjemność zapach wydawany przez kawę, chociaż nie ukrywam rozczarowania co do jej smaku.

– Do rzeczy. – To są prywatne gusta. – To niczego nie dotyczy.

Jak zwykle podczas każdego stania w „Delikatesach” myślałem, co bym nabył, jakbym miał zapraszać kogoś, albo jedną osobę, albo kilka naraz. Patrzyłem na stoiska, z których wystawały herbaty w metalowych pudełkach, wystawały sery albo czekolady w opakowaniach różnokolorowych. Jak zawsze też zwróciłem oczy na butelki, chociaż nie mam zamiłowania do zajmowania się piciem, co by odbierało mi siły i skupienie na studiach inżynierskich. Jednak pomimo tego patrzyłem na różne gwiazdki oraz na butelkę z wygiętą szyją, wstawioną do armaty reklamowej z ceną złotych czterysta, która budziła moje zdziwienie, a jednakże i zainteresowanie, bo z tym wiązały się moje wspomnienia wyniesione z filmów.

Zanim zobaczyłem inżyniera Romanka Artura, wydostała się nad głowy papierowa torba z uszami, z której widać było taką właśnie zagiętą szyję od butelki, a potem zobaczyłem całego inżyniera w odświętnym garniturze, usztywnionej koszuli oraz w krawacie w nowoczesny wzór. Inżynier przepychał się w moją stronę i na mój widok wyraził zadowolenie, jak przypuszczam, szczere. Podał mi torbę ze słowami: – Kolego, bądźcie tak dobrzy przez moment – i zanim coś zdążyłem wypowiedzieć, zniknął znowu w tłumie, skąd po chwili wynurzyła się druga torba, za nią Romanek, a za nim uciepiona jego ręka kobieta.

I tak myślę, że to się zaczęło już właściwie wtedy, jakkolwiek nic mi do głowy nie przychodziło na temat tamtych spraw pomimo ogromnego wrażenia. Przepychałem się za inżynierem oraz kobietą, która była żoną inżyniera Romanka, chociaż właściwie miała twarz jak dziecko, równie bladą, a usta półotwarte, co wyglądało jak wyraz zdziwienia. Kiedy wypchnęliśmy się ze sklepu „Delikatesy”, inżynier odebrał ode mnie torbę z butelką i przedstawił mnie żonie jako swojego najlepszego ucznia na WSI, a na razie technika z przyszłością, co było prawdą, ale sprawiło mi przyjemność. A żona inżyniera Romanka otworzyła usta i

uśmiechnęła się mówiąc, że się cieszy. Następnie ja się pochylałem, aby ją pocałować w rękę, i poczułem silny zapach albo wody kolońskiej, albo perfum. Zobaczyłem także paznokcie, które były długie i czerwone od lakieru. Następnie ona uzupełniła, że inżynier Romanek mówił jej o mnie, jak również o moich zdolnościach, za co znów odczułem dla inżyniera wdzięczność. Tymczasem Romanek zakręcił się nerwowo z torbą i widząc moje spojrzenie, które przyciągała tamta butelka, powiedział, że dzisiaj jest jego właśnie piąta rocznica ślubu i stąd poczynili te zakupy. Roześmiał się również, co wyglądało u niego ładnie, gdyż miał piękne białe zęby, co jeszcze zyskiwało przy czarnych gęstych włosach zaczesanych z falą do góry. Ja lubiłem inżyniera za uśmiech, a jego wykłady, na które skierowała mnie rada zakładowa, wydawały mi się najlepsze. Myślałem też, że jakbym mógł wybierać, to tak chciałbym wyglądać jak on, poruszać się jak sprężyna i mówić z energią, której trzeba było słuchać. Wtedy powiedziałem, że pięć lat to długo, i przyłączyłem się z gratulacjami, całując ponownie rękę pachnącą i poczerwieniałą na końcu paznokci. Jednocześnie doszedł mnie cichy głos: – Żeby pan wiedział, jak to długo – więc dodałem, że na obecne czasy nietrwałości to tak, ale będę im na pewno życzył w dziesiątą rocznicę, a także i później. Na co uśmiechnęła się dość dziwnie, a równocześnie inżynier wtrącił, że właśnie udają się, aby obejrzeć wystawę „Śląsk w eksponatach”, na której umówiony jest z dyrektorem. Zastanowił się chwilę i zapytał, czy nie miałbym chęci zajrzeć z nimi na wystawę, na którą podrzuciłby mnie samochodem, tyle że po drodze odniósłby zakupy do domu.

– *Pętla na własną szyję. – Taki człowiek. – Nie wiedział, co robi. – Ładne odwdzięczenie. – Naiwność nie popłaca. – Może to po prostu los. – Nie daje wiary od początku.*

– Co ty na to, Gosiu? – zwrócił się do żony, na co poruszyła ramionami, że oczywiście, jeśli miałbym chęć... Mówiła to patrząc na mnie, a miała oczy takie, jakie mają niektóre koty. Oświadczyłem, że nie jestem ubrany, bo tak też było, chociaż wygląd mój był przyzwoity, gdyż zawsze przywiązuję wagę do tego. Jednak inżynier był na czarno, a żona jego w sukni, która błyszczała i szeleściła, na szpilkach i pończochach srebrnych, a włosy koloru rudego, czyli takiego jak suknia, były pięknie ułożone, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera. Tłumaczyłem dalej, że bez krawata, prosto z roboty... zwłaszcza że ma być dyrektor, na co inżynier poklepał mnie mówiąc, że dyrektor nie zwraca na to uwagi, a na pewno będzie dla mnie korzystne, kiedy mnie dyrektor zobaczy, gdyż taka wystawa jest również formą nauki, tyle że nadobowiązkową. Tak więc mogę się z nimi zabrać tak normalnie, po prostu, bez krepcacji. Na co, prawdę mówiąc, miałem od początku wielką chęć i wymawiałem się tylko dla przyzwoitości. Inżynier Romanek wręczył mi następnie obie torby i poszedł sprężyć się po samochód, wyrzucając ręce jak na ćwiczeniach gimnastycznych, a ja stałem z torbami, nie będąc przyzwyczajony do towarzystwa takich kobiet jak żona inżyniera ani w ogóle prawie do żadnych, oglądałem jej szpilki czarne ze szpicem, bojąc się podnieść głowę. Szpilki zrobione były z błyszczącej skóry, od góry nie miały prawie nic, tylko trzymały się na cienkich paskach i widać było w nich spod pończoch palce od nóg. I potem, kiedy przesunąłem oczy odrobinę wyżej, na nogę, zobaczyłem na niej trochę włosów w ciemnym kolorze. Obserwowałem je dłuższą chwilę, aż zrobiłem się czerwony na twarzy od długiego pochylania głowy. Noga potem znikła mi z oczu, a żona inżyniera powiedziała: – No to chodźmy, Artur już podjeżdża. – Potem zapytała o powód mojego zamyślenia, ile mam lat i nie uwierzyła, że czterdzieści, czyli dziesięć lat więcej od Artura, a siedem od niej. Mówiła jeszcze coś, czego już nie słyszałem, tylko szedłem koło niej między ludźmi, a ona stukała tymi szpilkami, we mnie zaś odbywała się bieganina myśli i uczuć, jakiej nie miałem od dawna albo raczej nigdy w życiu.

Tak odbywała się moja pierwsza droga do samochodu inżyniera Romanka Artura, który przyhamował przy krawężniku, ja zająłem siedzenie tylne obok paczek. Nie przypominam sobie dokładnie, ile czasu zajęła nam jazda. Koło nas przejeżdżały wprawdzie samochody, przemykali ludzie, jednak wydawało mi się, że to trwało niedużo sekund. Dookoła pachniało dziwnie i ładnie, na co składał się zapach rozsiewany przez jej kosmetyki oraz przez czarną

imitację skóry na fotelach. Inżynier coś opowiadał, a samochód kołysał, jak w marzeniu, amortyzatorami. Romanek zatrzymał wóz i skoczył na górę, a jego żona włączyła radio z muzyką bigbeatową, puściła ją głośno i odchyliła się na siedzeniu do tyłu, potrząsając głową, z której sypały się włosy na różne strony. Następnie zwróciła się do mnie z pytaniem, czy właściwie ona z mężem nie odciągnęli mnie od innych zajęć, bo mogłem mieć przecież plany na wieczór choćby z kobietą, na co tylko pokręciłem głową patrząc na jej uśmiech, w czasie którego cała twarz nabierała wyrazu zdziwienia. Przeciągnęła jednym czerwonym palcem po wardze i złożyła ręce, jakby się modliła, kołysząc się nadal z muzyką. A ja szukałem jakiegoś słowa i na koniec powiedziałem, że przeciwnie, jest mi bardzo przyjemnie. Dodałem także, że jej mąż to najlepszy i lubiany wykładowca, a ja za rok i pół zrobię dyplom, w czym do tej pory przeszkadzała mi wojna, jednak pomagało państwo, a konkretnie rada zakładowa. Mówiłem to dla usprawiedliwienia, że mając czterdzieści lat jestem uczniem inżyniera. Zresztą ona znowu odwróciła się tyłem, kołysząc się ciągle zgodnie z muzyką, a ja naraz zupełnie niespodziewanie pochyliłem się do niej, wciągając mocno zapach wody, i mając teraz na kilkanaście centymetrów od siebie pasmo skóry bielutkiej i delikatnej myślałem, że to jest taka chwila, że gdybym mógł tak przedłużyć ją jak najbardziej, to można by umrzeć nawet, i po całym ciele rozlewało mi się ciepło i wzruszenie nad tą białą, dziecianną skórą, pachnącą jak w najlepszej drogerii.

– Erotoman. – Należało opuścić samochód. – Żona przełożonego i nauczyciela. – Włos siwieje, dupa szaleje. – Jest się czym fascynować! – Jakie to płytkie i głupie!

Ona naraz odwróciła głowę i nastąpiła chwila, w której nie zdażyłem się cofnąć, mając przez moment przed sobą jej usta półotwarte z wargami jak piękne korale i oczy jak z kolorowej okładki. Jednak ona nie zwróciła absolutnie uwagi na mój niecodzienny wygląd, powiedziała tylko o inżynierze, że grzebie się, a ja opadłem już na oparcie i powiedziałem na jej następną uwagę, że po co w ogóle ta wystawa, że wystawa ta jest interesującym świadectwem postępu. Ona wybuchnęła śmiechem, ale po spojrzeniu na mnie spoważniała. Mówiłem więc dalej, że jej mąż, jako fachowiec i specjalista, musi trzymać rękę na pulsie, ale znów nastawiła głośno muzykę. Po powrocie inżyniera dojechaliśmy przed gmach wystawy. Przez salę przesuwała się tylko jedna wycieczka. Romanek z żoną szli przodem, ja za nimi, myśląc stale, że oto z inżynierem Romankiem, moim wykładowcą, którego dyrektor wysoko cenił, i z tą kobietą przebywam w zupełnie nierzeczywistej sytuacji. Do tego sam dyrektor wyszedł zza makiety taśmociągu i podchodził do nas z uśmiechem, w garniturze także ciemnym, jednak bez krawata, tylko w wyłożonej koszuli złotego koloru, co było dla mnie pewną pociechą. A za nim jego żona, kucykowata, wyrzucała szeroko ciężkie nogi. Dyrektor wyraził zadowolenie ze spotkania, pochwalił mnie za wspomniane przez inżyniera moje postępy, po czym obaj z inżynierem przybrali wyraz odświętny idąc między makietami, portretami, powiększonymi fotografiami kopalni dawnych i obecnych. Ja szedłem obok myśląc serdecznie o inżynierze, który znów przedstawił mnie jako najlepszego ucznia, czego mógł nie zrobić. Chodziliśmy między gablotami podpisanymi „Węgiel brunatny”, w których leżał węgiel brunatny, i innymi, podpisanymi „Węgiel koksujący”, w których leżał węgiel koksujący. Obie kobiety przysiadły na kanapie obciągniętej skórą, stojącej w środku sali. Wycieczka wyszła i byliśmy: na całej ogromnej sali wystawowej tylko w te pięć osób, poza woźnym, który nas obserwował czujnie spoza kilofa stanowiącego część odlewu ogromnego górnika w hełmie i z latarką. Odlew zajmował przestrzeń do sufitu, czyli dobre cztery metry. Od kanapy dolatywał mnie zapach znajomych wód, oraz rozmowa, a raczej tylko jej fragmenty. Tymczasem dyrektor stanął przed szeregiem twarzy uroczystych albo smutnych i wymieniał ich nazwiska jak dobrych znajomych, z szacunkiem i serdecznością, a to były twarze weteranów, którzy odegrali rolę w powstaniach, a teraz wisieli tu w szeregu i ciągnęli się przez spory fragment wystawy. Dyrektor dodawał przy każdym coś, albo mówił: „Tak, tak”, albo: „Tacy byli”, i kiwał głową. Ja w nich patrzyłem uważnie i stawialiśmy teraz wolno jeden krok za drugim, tamci na nas

patrzyli, a ja na nich, bo chciałem ich dobrze poznać i zapamiętać, wyczytać w ich twarzy odwagę i poświęcenie, przeniknąć do nich, na ile tylko się da, co jednak było trudne, zwłaszcza że od strony kanapy stale dolatywały głosy, które komplikowały dodatkowo skupienie wszystkich myśli na eksponatach. Okrążyliśmy całą salę, obchodząc kanapę ze wszystkich stron, jednak tyłem. Wreszcie dyrektor zatrzymał się, pokiwał głową, spojrzął na zegarek i powiedział, że tyle jego przyjemności, że się wyrwie czasem ze swoją kobietą, i już go obowiązki wzywają, a w tym wypadku konferencja na wysokim szczeblu. Inżynier Romanek, wpisując swoje dodatnie wrażenia pod dyrektorem do książki pamiątkowej, powiedział, że też już czas na nich. Wtedy zacząłem całować najpierw rękę żony dyrektora, a potem tamtą rękę. Inżynier Romanek dał znowu wyraz zadowoleniu, „żeśmy tak jakoś na gruncie towarzyskim”, i już odchodząc dodał: „do jutra na wykładach”. Tamte zastukały obcasami na pięknie wyświeconej drewnianej posadzce, ale ja już nie chciałem patrzeć za nimi, dopiero potem, w domu, po rozłożeniu amerykańki, przypomniałem sobie ten odchodzący stukot.

Leżałem pod kołdrą i kocem, bolały mnie kości, co było śladem mojego zdenerwowania, a także uganiania się po lasach za pogrobowcami Hitlera. Łyknąłem środek napotny asprocol, popijając go wodą – herbaty brać nie chciałem ani nic jeść, ani w ogóle poruszać się, żeby nie rozbijać wzruszeń. Ponieważ mam umiejętność przywoływania twarzy po zamknięciu oczu, teraz z niej skorzystałem przywołując widok twarzy o dziecięcym wyrazie oraz różne wymawiane przez nią słowa. Następnie przywoływałem także słowa dyrektora i jego twarz oraz obraz inżyniera Romanka, oczekując na ustanie bólu pod wpływem ciepła. Nie mogłem uwierzyć, żeby to wszystko wydarzyło się istotnie, konkretnie, i aż mnie podrywało do biegania po mieszkaniu, takie to były wszystkie wydarzenia nie do przewidzenia dwie godziny temu, kiedy się zaczęły wydarzać. Zagotowałem wodę i przystąpiłem do picia herbaty, a co zamknąłem oczy, to wyskakiwała ona albo w środku samochodu, albo na tle wystawy muzeum.

Rozpocząłem chodzenie po pokoju z kuchnią, a jednocześnie próbowałem w wyobraźni odtworzyć przypuszczalny wygląd mieszkania inżyniera, następnie przysiadłem, wyciągnąłem z lodówki kielbasę, odsmażyłem ją z jajkiem, podsypałem kanarkowi i myślałem o tym, jak oni siadają przy stole, zapalają pięć świeczek na torcie, odkorkowują tamtą krzywą butelkę, puszczają radio albo płytę i wypijają albo zaczynają tańczyć we dwoje, a okna zasłonięte są cienkimi czerwonymi firankami, które są delikatne, ale nieprzezroczyste. Potem życzą sobie dalszych lat poruszając się w rytmie dobranej wolnej melodii, i ogarnęła mnie naraz straszna ochota, żeby podejść pod dom i zobaczyć chociażby cienie ich na tej firance. Na pewno nikogo nie zaprosili, bo dyrektor nie gratulował, i poruszyła mnie myśl, że Romanek ma do mnie większe zaufanie i sympatię niż do dyrektora.

Zapaliłem lampę, z której korzystałem przy nauce, i obserwowałem ich taniec, odbywający się przy tak samo przygaszonych lampach albo jeszcze prędzej przy świetle świec, tak jak w restauracji „Balaton”.

– *Snob drobnomieszczanin. – Klasyczny przypadek. – Proszę zaczekać z uogólnieniami. – Wylazło drobnomieszczanskie szydło. – Ciekawe tęsknoty.*

Raz tam byłem po wypłacie z dwoma kolegami z pracy, którzy przyprowadzili trzy znajome kobiety. Ja tańczyłem z najbardziej brzydką, którą sobie od razu wybrałem z powodu nieśmiałości. Ona nawet, gdyby nie okulary i nie zęby, które miała jak u konia, nie byłaby najbardziej! brzydka. Tańczyłem z nią dużo, a że także piłem i w dodatku ona się o mnie tarła, poczułem wtedy męskie sprawy i zwierzyłem jej się, że mieszkam samotnie i jeśli ona nie ma innych zamiarów, to może się przenieść do mnie. I następnie dodałem, co wywołane było także dymem ze świec, że jakby chciała, możemy wziąć legalny ślub. Ale ona wybuchnęła śmiechem i zaczęła krzyczeć:

– Pełna szajba! Obsuwa! Głupi Zygmunt – wyszczerzała przy tym swoje zęby, a za nią zaczęli się śmiać tamci, chociaż w ogóle nie orientowali się z czego. Więc ja w zdenerwowaniu oświadczyłem, że na imię mi Czesław, a ponieważ ona dalej się śmiała, powiedziałem jesz-

cze, żeby to przerwała, bo wygląda zupełnie jak koń. Wtedy przestała się śmiać i skoczyła na mnie, za co koledzy mieli potem pretensję. Odtamtąd utarła się o mnie opinia, że się nie umiem bawić.

Tak właśnie tamten zapach świec przypomni mi się w związku z wywoływanym obrazem tańca inżyniera Romanka z żoną. Wyobraziłem sobie jego uśmiech i jak zaprasza ją teraz do stołu na ponowny kieliszek alkoholu, który ona wypija i mówi, że od całej atmosfery kręci się jej już w głowie, a on przyciska ją, całuje i mówi, że to już pięć lat. A jednocześnie wyciąga jej szpilkę z włosów, które rozsypują się już dosłownie na wszystkie strony. Zobaczyłem tak wyraźnie jej bladą twarz oraz usta otwarte do połowy, że otworzyłem oczy, żeby uciec od tego napięcia, które wytworzyło się we mnie. Postanowiłem myśleć teraz o zaśnięciu, oczu jednak na razie nie zamykałem, nie chcąc więcej tych wszystkich przywidzeń oglądać. Patrzyłem tylko na latarnię, która huśtała się za oknem, następnie zacząłem czytać podręcznik z zakresu wykładanego przez inżyniera Romanka. Potem jednak z powodu zmęczenia zamknąłem oczy, jednocześnie traktując to jako próbę, i oczekiwałem tego, co nastąpi.

– To mu właśnie chodziło po głowie! – Do pilnika! – Już gotował plan! – Co za gadanie o oczach. Jak kto ma spokojne sumienie, to się nie boi zamknąć oczu. – Spokojne sumienie dobre wypocznienie. – Nie ma potrzeby uogólniać.

Następny dzień, jeśli nie brać pod uwagę mojego zmęczenia, był taki jak zwyczajny, ale jednak taki nie był. Wyczekiwałem wykładu inżyniera na WSI. W pracy wydawałem wszystkie polecenia w związku z tą skrzynią biegów do kombajnu, jednak myślami bujałem jak najdalej, rozpatrując wydarzenia wczorajszego dnia, które rano wydawały mi się należącymi do wymyślonych. Tak więc po pracy szedłem jak wczoraj spacerem i skierowałem się do „Delikatesów”, wchodząc do środka, gdzie wszystko było tak jak wczoraj, przy czym, chociaż wszedłem jakby przypadkiem, nie byłoby prawdą, gdybym powiedział, że na nic nie liczyłem. Jednak nie zobaczyłem torby nad głowami ani w ogóle nie było w środku inżyniera. Obszedłem stoiska, przyglądając się niby nalepkom. Po wyjściu, chociaż już była pora największa na obiad, nie spostrzegłem w sobie najmniejszej chęci na zjedzenie go, przeciwnie, czułem napelnienie wewnętrzne i wypilem tylko w najbliższej pijalni płynny owoc z jabłek, który mnie orzeźwił. Na wystawie było pusto. Przeszedłem przed twarzami, zaglądając także za makietę taśmociągu. Na skórzanej kanapie nikogo nie było. Usiadłem w miejscu, gdzie siedziała żona dyrektora, czyli koło tamtej, tak że musiałbym jej dotykać, gdyby tam była. Potem szybko pochyliłem się i powąchałem skórzane siedzenie, licząc, że przechował się jakiś zapach z jej perfum. Inżynier nie przyszedł na wykład, ponieważ wyjechał na inspekcję do innej fabryki. Wykład prowadził ktoś inny, wysłuchałem go nieuważnie. Następnie udałem się pod dom inżyniera z ciekawości, czy okna były podobnie zasłonięte firankami, jak myślałem. Jednak z tej odległości nie mogłem tego sprawdzić. Dalsze dwa dni przeminęły podobnie, ale nie odnajdywałem już takiego pragnienia nauki, jak również z najwyższym wysiłkiem przymuszałem organizm do snu. Siedziałem na amerykańce i głaskałem kanarka, który nie przestawał się mnie bać i trząsał się w rękę, chociaż trzymałem go delikatnie, nie przydużając, co zmniejszało moją samotność.

Czwartego dnia poszedłem do „Delikatesów” i nabyłem butelkę wina, następnie poszedłem do sklepu „Cepelia” i kupiłem firankę, którą umocowałem i zasłoniłem okno. Dodatkowo zapaliłem świecę i oblałem mieszkanie wodą kolońską. Przesiedziałem w nim, pogrążony w myślach przez parę godzin, przy czym moja pamięć nie działała już tak dokładnie i ona pojawiała mi się tylko kawałkami.

To był dokładnie piąty dzień, kiedy w zwykłej porze przed „Delikatesami” zobaczyłem inżyniera Romanka. Ogarnęła mnie nagle słabość, przyspieszyłem i teraz obok niego zobaczyłem kobietę, którą ścisnął za rękę, jednak to nie była jego żona. Szedłem za nim, zastanawiając się nad tym. Naraz inżynier odwrócił się, zobaczył mnie i zatrzymał tę kobietę. Jednocześnie pomachał do mnie ręką. Wtedy zbliżyłem się. Przedstawił mnie tej znajomej uśmiechając

się serdecznie, po czym powiedział zdanie, które następnie długo sobie powtarzałem, mianowicie, że jego żona pytała o mnie i żebym wpadł ich odwiedzić choćby jutro. Potem poklepał mnie po ramieniu i odszedł z tamtą, która też miała piękne włosy, jednak nie sprawiła na mnie żadnego wrażenia. Zresztą myślałem wtedy tylko ciągle o tym zdaniu, tak że pożegnałem się z inżynierem w zupełnym rozbiciu. Szedłem coraz prędzej, potem zacząłem nawet biec kawałek, żeby jak najszybciej w domu przemyśleć to wszystko od początku do końca. Zasłoniłem okno nową firanką, rozłożyłem amerykańkę, nastawiłem czajnik, następnie odkorkowałem butelkę wina, popiłem nim asprocol, przykryłem się kocem i oczekiwałem na nadejście ciepła. Połknąłem jeszcze jeden proszek, znowu popiłem winem, i już robiło mi się przyjemnie, ciepło rozchodziło się po mnie, w skroniach czułem uderzenia krwi i pogrążyłem się w rozmyślaniach, jakie powody mogły kierować żoną inżyniera Romanka, że mnie w ten sposób przez niego zaprasza. Zdecydowałem się rozpatrzeć wszystko sprawiedliwie, wstałem spod koca, kości trzasnęły mi, co było właśnie tymi śladami po lesie.

– *Przypomniał sobie o zasługach. – Nie o tym mowa. – Profanator! – Proszę kontynuować. – To jest dygresja. – Po cóż zaraz uogólniać.*

Wykonałem pół przysiada, żeby odzyskać sprawność w nogach, ale raczej żeby opóźnić tamto spojrzenie. Teraz więc najpierw podszedłem do lampy i zapaliłem światło, potem spuściłem głowę i zrobiłem trzy kroki do przodu, a następnie zastanawiałem się, po co to robię. Jednak jak ja coś postanowię, to już na ogół dotrzymuję, a poza tym jednak wypełniła mnie ciekawość dojścia do prawdy połączona z nadzieją. Wykonałem więc to wszystko zatrzymując się przed lustrem. Potem podniosłem głowę w górę, naumyślnie za wysoko i za mocno w lewo. Zobaczyłem jedno oko i kawałek za grubego nosa oraz usta. Skrzywiłem głowę jeszcze bardziej i wyglądało to nie najgorzej, jak u każdego, tyle że to nie była pełna prawda. Tak więc, powziąwszy już raz decyzję, teraz ją wykonałem. Odwróciłem się prosto do lustra, jednak zasłoniłem ręką włosy, które zwłaszcza z lewej strony były za rzadkie, po czym podjeżdżałem tą ręką do góry, bo tak z przygotowaniem było lepiej. Następnie stałem już odsłonięty i patrzyłem, wiedząc tyle samo, co wiedziałem, że nie jest ani dobrze, ani źle. Wykonałem krok do tyłu i uśmiechnąłem się na próbę, ale w uśmiechu moja twarz robiła się jakaś śliska, za to mniej było widać grubego nosa. Odszedłem do szafy, wyciągnąłem białą koszulę, czarny garnitur, w którym ostatnio byłem na święcie majowym, i krawat, ubrałem się, ale tylko od góry, z kamizelką, zamoczyłem włosy i uczesałem je według mojego pomysłu. Znowu pojawiłem się w lustrze, ale chociaż było porządnie, jednak twarz robiła mi się bardziej nalana i poczerwieniała, co wiązało się także z ciasnym guzikiem. Następnie zrzuciłem z siebie wszystko na ziemię razem z koszulą i kamizelką, bo sprawa wydawała mi się bez nadziei, zwłaszcza że przypomniła mi się twarz inżyniera, która jest przy mojej jak niebo i ziemia.

– *Estetyk, narcysta, wypaczeniec! – Przejrzelibyście się w waszej pracy! – Najlepiej zgłóście się do zakładu kosmetycznego! – Od razu to podejrzewałem. – To kluczenie o twarzy nic wam nie da. – Ja bym zaczął z uogólnieniami.*

Poczułem wielki żal, ale zaraz zacząłem myśleć, że może właśnie jest coś, czego nie widziałem, bo nigdy nie ma się na siebie pełnego spojrzenia. Pokazała mi się teraz jej twarz, taka czysta, i poczułem na samą myśl, że mógłbym dotknąć jej włosów, wielką serdeczność i rozrzewnienie. Od nowa zebrałem się, włożyłem koszulę, krawat, kamizelkę i marynarkę, oblałem się wodą kolońską i chodziłem po pokoju. Następnie, już pod kocem na amerykańce, wyobraziłem sobie, jak ona w dymie świec wychodzi do mnie.

Następnego dnia montaż skrzyni biegów przeszedł jak sen. Udałem się do „Delikatesów”, precyzyjnie do lady i kupiłem butelkę z krzywą szyją oraz nowy flakon wody. Wymyłem się w wannie, włożyłem wszystko i wyszedłem. W jednym ręku trzymałem butelkę, a w drugim zakupione kwiaty. Była godzina osiemnasta. Rzadko oglądałem ulicę o tej porze z powodu wykładów, z których dzisiaj zrezygnowałem. Szedłem do domu inżyniera, ludzie się za mną oglądali z życzliwością z powodu kwiatów i butelki, ja też uśmiechałem się do nich, bo

czułem, że idę na spotkanie marzeń. Serce mi biło mocniej niż zawsze i starałem się energicznie wyrzucać ręce, co utrudniały jednak butelka i żółte długie łydki, które pachniały koło mnie. Na samą myśl, że to nie jest tylko udawanie ani myśli, co bym kupił albo gdzie szedł, ale że właśnie idę ja, technik Czesław Pałek, idę w gości do inżyniera na osobistą prośbę jego żony, idę zwyczajnie, jak człowiek kulturalny, z kwiatami i najdroższą butelką... Przypomniałem sobie dodatkowo ojca, który był zwyczajnym dróżnikiem na przejeździe i takiej sytuacji wyobrazić by sobie nie mógł, za co byłem wdzięczny naszemu ustrojowi, który mi ten pochód umożliwiał.

Za drugim dzwonkiem ona otworzyła drzwi. Była w szlafroku, potargana, ale wyglądała jeszcze piękniej, chociaż od razu pomyślałem, że sprawia wrażenie, jakby się mnie nie spodziewała. Patrzyła na mnie uważnie, jakby mnie nie poznawała, nie pytając o nic ani nie zapraszając do środka. Kiedy ja ochłonąłem po tym pięknym czerwonym szlafroku i rozsypanych pięknie włosach, po upływie chwili takiego stania wypycham obydwie ręce do przodu, gdyż dotąd chowałem je za plecami, i odzywam się z trudem, przewyciężając poruszenie, przypominam się jako Czesław Pałek, na co ona już się uśmiecha, ale jakby niepewnie. Dopiero na moje dalsze wyjaśnienia wprowadza mnie do środka oznajmiając, że najwidoczniej Artur zapomniał ją uprzedzić, on często wykonuje takie kawały. Oglądając mnie dalej badawczo oświadczyła, że się zmieniłem od tamtego czasu, a ja się zastanowiłem, że może stąd jej zmieszanie, bo istotnie w nowym uczesaniu na gładko oraz w stroju na wizyty zaszła we mnie przemiana. Zaskoczyło mnie, że nie ma Romanka, ale dzięki temu było jeszcze bardziej niecodziennie. Szedłem za nią korytarzem, a ona wykonywała ruchy porządkujące, przepraszając za bałagan. Zamknęła szafę z dębu, na której stał model korsarskiego okrętu z pięknymi żaglami, poprawiła na szerokim tapczanie kapę w kolorze niebieskim ze złotymi frędzlami, poklepała poduszki i kopnęła dywan w różnokolorowe trójkąty, który rozwinął się na cały środek pokoju. Pokazała mi, żebym usiadł na fotelu nowoczesnym, z metalowych prętów oplecionych kolorową żyłką z nylonu. Usiadłem tam, a ona przeprosiła na chwilę w celu przebrania się i przygotowania do mojej wizyty. Siedziałem na wprost biblioteki, nad którą wisiał inżynier w dużych rzeźbionych ramach. Pod nim stały na górze, nad książkami, gipsowe figurki kobiety i mężczyzny gołych, z narządami na wierzchu, pod nimi książki w języku rosyjskim, a także lalka w kształcie chłopki, składająca się z kilku segmentów. Wtedy opadły mnie myśli o moim pustym mieszkaniu, poza klatką i lampą nad amerykanką, a tu samych lamp stały trzy, a jedna wisiała rozgałęziając się ładnie na dwie strony. Pod nią stał malutki, zgrabny stolik na żelaznych nóżkach, z blatem z ceramiki, miał półeczkę z nylonowej żyłki, na której leżały gazety i magazyny. Właśnie na tym stoliku do zielonego wazonu z gliny żona inżyniera wstawiła ofiarowane przeze mnie kwiaty. Wszędzie, gdzie spojrzałem, było coś, chociażby reprodukcja, i to wszystko odbierało mi dodatkowo śmiałość chociaż jednocześnie wprawiało w stan zagadkowego otumanienia. Postawiłem butelkę na tym stoliku, a tymczasem żona inżyniera weszła w sweterku i spódnicy, wnosząc z sobą tamten znajomy zapach, który jeszcze bardziej zakręcił mi w głowie. Wyraziła zdziwienie z powodu butelki, że taka droga, przyniosła korkociąg i dwa kieliszki, które ja napełniłem orientując się z drzenia rąk w moim zdenerwowaniu.

Powróciłem do zaproszenia, które otrzymałem od inżyniera – tu się zająknąłem, ale nie myślałem mówić o tej jakiejś znajomej, z którą go widziałem. Zresztą on trzymał tamtą za rękę raczej serdecznie, po koleżeńsku i przy niej powiedział mi o zaprosinach żony. Powtórzyłem to znowu, ona patrzyła jakby dziwnie, podniosła kieliszek i wypiliśmy. Wpatrywałem się w jej twarz i uzupełniając to, co mówiłem, jeszcze podziękowałem za zaproszenie mnie do niej. Uwierał mnie kołnierz i czułem pulsowanie i czerwienienie twarzy, dalej jednak mówiłem o jej wyjątkowej uprzejmości i wspaniałomyślności, bo ja nie jestem dla niej atrakcją i nawet teraz ona w ogóle nie wie, o czym ze mną rozmawiać. Ale dla mnie samo siedzenie przy niej to jest ogromna radość i odmiana w całym życiu. – Ona uśmiechnęła się i rozpo-

częła: – Panie... – Pałek, Czesław Pałek – podsunąłem. – Panie Czesławie... – tak powiedziała tym głosem swoim melodyjnym, a mnie aż słabo się zrobiło i opuściłem kieliszek, rozlewając na garnitur trochę wódki, co zresztą postanowiłem ukryć, a nie brać się do czyszczenia. – Panie Czesławie – usłyszałem znowu – zawsze może pan zaglądać, będzie nam miło. – Wypiła swój kieliszek i dostała kolorów na bladej buzi. A ja tylko patrzyłem nie mówiąc nic, patrzyłem i patrzyłem, żeby starczyło mi tego na długo i mogło to do mnie powracać przez długie odstępy czasu. Jednocześnie miałem dla siebie podziw, że zdobyłem się na taką odwagę, żeby przyjść tu tak od razu i tak siedzieć naprzeciwko. – Artur pana lubi – powiedziała zakładając nogę na nogę. – Wybije się pan, kupi samochód, ożeni się pan, będzie pan miał dom... – A ja słuchałem przepelniony nadzieją, że powie jeszcze raz „panie Czesławie”, i chciałem położyć głowę na jej kolanach, bo mi się naraz wydała dobra, i poczułem się rozczulony, bo nikt tak do mnie troskliwie nie mówił ani w pracy, ani w życiu. Wyobraziłem sobie, że ona jest moją kobietą, i pomyślałem, jak bym siedział przy niej na ziemi, całując ją w ręce i kolana, do których przytulałem głowę, albo wchodzę z nową suknią, albo z nowym dywanem. Kiedy indziej podjeżdżam samochodem i znoszę ją po schodach na wyjazd albo sprzątam, ona wraca, a tu posprzątane. W tych marzeniach spojrzałem na półotwartą książkę w kolorowych okładkach, która leżała na stoliku. Otrząsając się zapytałem o treść i dowiedziałem się, że jest to książka *Życie seksualne dzikich*. Na pytanie, czy to znam, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie, i byłem cały czerwony. Ona oświadczyła, że to ciekawe, o zupełnie odmiennej cywilizacji. Wtedy oświadczyłem, że to kupię, ona powątpiewała, gdyż książka została wykupiona. Powiedziała jeszcze na korzyść tej książki, że jest ona naukowa, jednak przejrzysta. Akurat wtedy zazgrzytał klucz w zamku i za chwilę do pokoju wszedł inżynier. Najpierw spojrzał na mnie jakby ze zdziwieniem, ale zaraz ucieszył się, ścisnął mnie za rękę i zapytał, co na oddziale. Byłem ogromnie zmieszany całą sytuacją, jednak wyjaśniłem, że robimy te skrzynie biegów na importowanych paskach, na czym kombajn ogromnie zyskuje, i są otwarte możliwości na eksport. Inżynier nalał sobie kieliszek, ona podniosła się z książką i usiadła na tapczanie podkurczając nogi, ja zaś nie słuchałem inżyniera, tylko miałem przecucie, że nie zasną już więcej w ogóle.

Następnego dnia po pracy wyszedłem z podręcznikiem i znalazłem się pod ich domem. Z daleka zauważyłem inżyniera Romana myjącego samochód. Mył go przez dłuższy czas, następnie wycierał i znowu zaczynał myć, co czynił dokładnie, i samochód już błyszczał. Ale mył go dalej. Postanowiłem nie podchodzić, tylko usiąść z boku i poobserwować. Nie było dzisiaj wykładów, tak więc od samej szesnastej miałem wolne. Uczyłem się o ogniach, w których energia chemiczna zamienia się na energię prądu elektrycznego, jednakże za dużo się nie nauczyłem, zbyt byłem rozproszony i ciągle zносиło mi oczy na ich okna na trzecim piętrze. Gdyby ona ukazała się w którymś, to nie byłby już stracony dzień. Romanek dalej mył samochód, a ja czytałem o jonach SO_4 wędrujących do roztworu, podczas gdy elektrony pozostawały na płycie cynkowej. Robiło się coraz ciemniej, dookoła pięknie szumiały drzewa, a ja myślami byłem przy niej, tam, gdzie akurat zapaliło się światło i gdzie udał się inżynier Romanek. Zastanawiałem się, że też to akurat na mnie spadło, udaremniając poprzedni styl życia. W ciągu najbliższych dni dokonałem zakupu ceramicznego stolika z żelaznymi nóżkami i przemierzyłem całe miasto szukając w księgarniach tamtej książki, co rzeczywiście było bezcelowe. Wtedy jednak właśnie narodził się we mnie pomysł, aby wykorzystać tę sytuację do odbycia następnej wizyty. Przebrałem się i zaobserwowałem nieobecność samochodu z inżynierem, wszedłem na górę. Jednak pod drzwiami opadły mnie wątpliwości oraz wyrzuty sumienia. Zawróciłem na dół postanawiając siłą charakteru odmówić sobie zobaczenia jej więcej. Na parterze zatrzymałem się znowu i odpowiadając sobie, że nie mogę się tego pozbyć, wszedłem na górę z uczuciem, jakiego doświadczałem przenosząc broń w partyzanckich czasach.

Nacisnąłem dzwonek od razu, już teraz bez namysłu, żeby odciąć sobie odwrót, tak jak wtedy ze skurczem przechodziłem między żandarmami. Odczekałem chwilę z myślą, że jej nie ma, i już zabierałem się do zbiegnięcia ze schodów, kiedy głos zapytał: – Kto tam? – Odpowiedziałem, że Pałek, Czesław Pałek. – Drzwi się otworzyły, stanęła w nich ona, znowuż w szlafroku, i poczułem na jej widok tak wielką radość i wzruszenie, że mnie to zaskoczyło. Następnie zadałem fałszywe pytanie, czy jest inżynier Romanek, i zaraz potem zwierzyłem się jej z trudności w nabyciu książki o dzikich, czego wysłuchała z wyraźnym zaskoczeniem, jednak przyglądając mi się uzupełniła, że to chodzi o życie dzikich seksualne, co ja wiedziałem, tylko nie mogłem się zdobyć na to słowo. Mówiłem więc dalej, że szukałem wszędzie po mieście, i szedłem za nią, znów widząc dywan rozwijający się na moich oczach. Usiadłem w fotelu naprzeciw i mówię, że wiem, że się z pewnością narzucam, ale nie mam absolutnie żadnych bliskich, u których mógłbym spędzać wolny czas, a ona, z mężem mówili do mnie jak do równego człowieka, i że to jest sprawa nie mająca dla mnie żadnej ceny, na co ona, wyciągnęła tę moją butelkę jeszcze nie skończoną, przyniosła kieliszki, a ja mówiłem, że jej mąż to wspaniały fachowiec i że ona jest szczęśliwa, na co krzywiła się, mówiąc, że stale wyjeżdża, że jest zalatany. Więc ja znowuż wspomniałem, że gdybym ja mógł tak zaglądać do niej, toby dopiero rozpoczęło się dla mnie życie, czego, zdawało mi się, że nie słucha, ponieważ wstała i nastawiła adapter. Otoczyły mnie odgłosy Afryki i dziwny instrument wygrywający dziang, dziang, dziang. Pomyślałem wtedy, że gdybym tak z nią był na wakacjach nad morzem i szedł plażą, na wodzie układałoby się słońce, a ja mógłbym ją trzymać pod rękę, i nie myślałem absolutnie o niczym innym, tylko ogarnęło mnie wielkie pragnienie wyjazdu z nią na urlop. Wtedy znowu doleciało mnie głośniejsze dziang, dziang, i ona usiadła na tapczanie z przymkniętymi oczami, w rozchylonym szlafroku, a tamta muzyka rozlegała się coraz głośniej i szybciej. – Niech pan tego słucha, panie Pałek, niech pan słucha – powiedziała cicho, inaczej niż zwykle. Odchyliła głowę do tyłu, przymknęła oczy, a do ust włożyła palce, przygryzając je następnie. Oświadczyłem, że słucham oczywiście bardzo uważnie i że to są odgłosy bębna, że również lubię głośną nowoczesną muzykę. Ale ona pokręciła głową, kołysząc się w lewo i w prawo coraz szybciej, zagryzając mocniej te palce, po czym nagle otworzyła usta i wykrzywiła się zamykając mocno oczy. Przypomniałem sobie wtedy takie miejsce na plaży, w którym byłem w zeszłym roku, gdzie akurat mała struga wpada do morza. Więc przez taką strugę mógłbym ją na rękach przenosić. Tymczasem płyta się skończyła. Ona siedziała chwilę z zasłoniętą rękami twarzą, potem westchnęła, otworzyła oczy i zapytała, co ja na to. Powiedziałem, że dziękuję, że to jest ładne, chociaż wydaje mi się zupełnie dzikie. – Pożyczyłam tę płytę na parę dni, jeżeli pan chce, to możemy ją puścić jeszcze raz, tylko niech pan nie siedzi tak sztywno, panie Czesławie, niech pan, na litość boską, słucha uważnie. – I znowu rozległo się dziang, dziang, dziang, a ona oparła się o ścianę i osunęła się po niej wolno, przykucnąwszy na podłodze. Nad nią na ścianie wisiała wielka szyszka, a pod nią powycinane zdjęcia z gazet, naklejone na kartonie, umocowanym na czerwonej kokardce. Był tam papież, gangster oraz Murzynka bez ubrania, obwiązana na gołym ciele liną i przywiązana do pała. Teraz płyta grała bardzo głośno i ona podniosła się mówiąc: – Zatańczymy, panie Pałek. – Więc podniosłem się także, sam nie wiedząc, co robić, wyciągam ręce, ale widzę, że ona staje naprzeciwko z oczami zamkniętymi, w rozchylonym szlafroku i huśta się w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, uginając nogi w kolanach. Ręce mi drżały, bo widziałem coraz więcej ciała wysuwającego się z tego szlafroka, chciałem ją objąć do tańca, ale widzę, że ona chce tańczyć nowoczesnie, tak jak ja nie umiem, więc huśtam się obok, przysmykając na próbę oczy tak jak ona, kiedy naraz czuję jej rękę na głowie, ją koło siebie i ona przyciągając mnie za włosy całuje mnie i odpycha, bo już teraz tańczy tyłem. Przede mną latają te piękne włosy, a ja czuję się najszczęśliwszy, bo to, co jest niemożliwe, staje się możliwe, i nagle rozumiem, że ona ma dla mnie jakieś uczucie. Wtedy przestaję tańczyć i mówię: – Proszę pani, ja poczułem to od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłem, i gdyby między nami nie stał inży-

nier... – Ale ona znów odwraca się z wykrzywioną twarzą, nie słuchając, więc przerywam i teraz tylko dźwięczy dziang, dziang, dziang, ale naraz słyszę głos inny, mianowicie klucza w zamku. Więc skaczę do płyty, wyłączam ją i mówię, że jest inżynier. Ona patrzy na mnie jak przez mgłę, ale naraz ocknęła się, poprawiła szlafrok, siada na fotelu, a ja naprzeciwno.

– *Zakłamaniec!* – *To już są szczyty?* – *Co wy do nas z tą Afryką!* – *To nie jest żadne usprawiedliwienie!* – *Chwałą Bogu, że jeszcze zdążył!* – *O ile to się na tym skończyło.* – *Oto go macie całego!* – *Zaczekałbym z uogólnieniem.*

Mnie trzęsły się ręce, ale kiedy wszedł inżynier, spojrzał na mnie i od razu się ucieszył. Mnie jednak nie opuszczało drżenie, gdyż spodziewałem się, że ona będzie chciała od razu porozmawiać z inżynierem, przedstawiając mu to, co między nami zaszło. Siedziałem więc jak chory, podczas gdy ona gładziła inżyniera po twarzy i włosach, zachowując się serdecznie, a na twarzy udało jej się zupełnie zamaskować uczucie, które dla mnie miała. Siedzieliśmy w trzy osoby i teraz ja mordowałem się, czy nie zacząć mówić wszystkiego, bo jednak czułem się niedobrze, bo wszedłem w końcu w życie rodzinne zakłócając je.

– *Jaki wrażliwy!* – *Rychło w czas!* – *A konkretnie à propos de facto.*

Jednocześnie zwracał moją uwagę i bolał mnie tym dotkliwiej dobry humor inżyniera, który najwyraźniej nie zachodził w żadne podejrzenia ani nie wykazywał się najdrobniejszym rozpoznaniem sytuacji. Ja zresztą także nie mogłem wyciągnąć na poczekaniu wszystkich wniosków, ponieważ znajdowałem się w stanie całkowitej utraty panowania nad sobą.

Następnego dnia wykład inżyniera Romanka rozpoczął się od tego, że nie miałem wystarczającej ilości odwagi, potrzebnej do popatrzenia mu prosto w oczy; Jednak wielką siłą podniosłem głowę i zacząłem obserwować inżyniera otwarcie. Zbierałem także uwagę konieczną do wysłuchania i zapamiętania wykładanego tematu, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że nie mogę spóźnić się w nauce, i w pełni rozumiałem korzyści, jakie przynosi wiedza. Romanek mówił o trudnym zagadnieniu z zakresu prężności roztwórczej miedzi i cynku. Moje skupienie jednak okazało się krótkotrwałe, co wynikało ze zmęczenia nabytego w czasie nocy, w której nie spałem, a wymyśliłem pewne podejrzenie i teraz je właśnie poddawałem pod rozwagę. Nie miałem co do tego pewności, jednak gdyby okazało się, że to posiada odbicie w życiu, toby albo oddaliło, albo zmniejszyło moją mękę i pozwoliło na pojawienie się nadziei i przeprowadzenie porządku w moich uczuciach i myślach. A także na patrzenie bezpieczne na prowadzącego wykład Romanka, który informował obecnie o wymianie energii chemicznej na energię prądu elektrycznego, przy czym inżynier skierował na mnie uśmiechniętą twarz z wyrazem zaufania i beztraski, co mnie przechyliło w dół, do ławki, wywołując pojawienie się takich wyrazów, jak na przykład uczciwość albo lojalność, albo szacunek. To wszystko w sumie całkowicie zamąciło mi obraz stwarzany przez Romanka wędrówki odbywanej przez elektrony na płytkach.

Po wykładzie inżynier podszedł do mnie z propozycją, żeby znów ich obydwójce odwiedzić, co podwoiło moje zmieszanie. Postanowiłem już wcześniej odmówić, a to w związku z moim planem, i to wykonałem podając jako powód sztuczny uzupełnienie nauki przed zbliżającymi się sprawdzianami na WSI.

– *Typowy przykład podstępności.* – *Właściwie co go naszło?* – *Zamotał się we własne si-
dła.* – *Ciekawy przykład sytuacji.* – *Opuścił się w nauce i w moralności.* – *Jedno zło rodzi
drugie, jeszcze gorsze.* – *Jednak bez metafizyki.* – *Może przeczytał niewłaściwą lekturę.* – *Ja
bym nie uogólniał.*

Dwa dni następne, po zakończeniu pracy, gdzie pojawiła się trudność w związku z przedwczesnym pękaniem naszych pasów, na które przeszliśmy w zastępstwie pasów z importu, co otwierało drogę do reklamacji i zwracania nam z korzyścią sprzedawanych za granicą kombajnów – spędzałem pod domem inżyniera, który mył samochód i jeździł nim dookoła placu. Zaniedbałem naukę, a jednocześnie wszystko stało w miejscu. Oglądałem cienie za oknami oraz prawie krzyczałem uderzając mocno pięścią po drzewie, za którym spędzałem bez war-

tości czas na obserwacjach i męczących myślach. Jednak trzeciego dnia inżynier sam poszedł do mnie w pracy z informacją, że wyjeżdża służbowo na trzy dni, a na zakończenie rozmowy dodał: – Zajrzyjcie, kolego Czesławie, do żony, niech się rozerwie.

I tego dnia posuwałem się za inżynierem, który udawał się w kierunku dworca z małą, bardzo ładną walizką w kolorze czarnym, na zatraski. W czasie tego spostrzegłem w sobie, w miarę jak inżynier był bliżej dworca, wzbierający stan zdenerwowania, który objawił się biciem serca, załamującym się oddechem, a także poceniem rąk, które wycierałem w niedawno nabytą chustkę w kratę. Zwalniałem, kiedy Romanek, wymachujący walizką, która musiała niedużo ważyć, zwalniał. Przystawiałem zupełnie za latarniami oraz drzewami w bezpiecznie wybranej odległości, kiedy Romanek stawał na pasach albo rogach ulic. Myślałem też o tym, że jest to pochód, w którym każda następna chwila może okazać się w efekcie decydująca o moim przyszłym życiu. I to, że się ta decyzja odkłada, zwiększało moje zaniepokojenie. Za skrzyżowaniem, przed samym już dworcem, Romanek zwolnił, przełożył walizkę do lewej ręki, a prawą przytulił do ciała tę samą szczupłą brunetkę. Ona położyła mu twarz na ramieniu i tak posuwali się wspólnie dalej, jedno i drugie. Był to moment pamiętny, w czasie którego poczułem silne uczucie ulgi i zadowolenia, a z drugiej strony uczucie, że coś się już zamyka, bo teraz nie miałem wątpliwości, gdzie skieruję swoje kroki. Tak też zrobiłem. Tego samego wieczoru, tylko w dwie godziny później, które zużyłem na przebranie garnituru oraz odświeżenie całej skóry wodą, szedłem ulicą, przy czym biała koszula przyklepała mi się do ciała, chociaż wcale nie spostrzegłem gorąca na dworze. Przed schodami przystanąłem i zdjąłem marynarkę, gdyż uczucie gorąca zwiększyło się, a nie chciałem wchodzić jako zgrzany. Powąchałem koszulę, która, jak się spodziewałem, przetrzymała zapach wody. Jednocześnie wyciągnąłem z kieszeni od spodni podsakującą mi przy krokach krzywą butlę. Myślałem o tym, że inżynier Artur Romanek oraz towarzysząca mu osoba oddalają się teraz pociągami w kierunku centralnego miasta. Przypomniałem to sobie w celu zwiększenia usprawiedliwienia dla dokonywanego postępu w wypadku nie budzącej wątpliwości zdrady inżyniera i myślałem idąc już po schodach, że gdyby nie to odkrycie, nie wszedłbym teraz po tych schodach i nie zadzwoniłbym do niej, jak również nie zobaczyłbym, tak jak zobaczyłem, jej samej w szlafroku równie pięknym co poprzedni, jednak w innym kolorze, niebieskim, obszytym dookoła koronką, która z przodu układała się jako przezroczysty kołnierz. Wykonałem wtedy zdecydowany krok w jej stronę i pochyliłem się nad miękką ręką, która dotykała przez chwilę moich ust. Następnie zadałem z trudem fałszywe pytanie o inżyniera, którego nie chciałem zadać, ale wynikło to z braku śmiałości *na* inne rozpoczęcie wizyty. Powiedziała, że nie mam do Romanka szczęścia, co wywołało znów u mnie szereg udęczonej myśli i spostrzeżeń co do mojego postępowania, jak najdalej bowiem byłem od uznania go za właściwe i nie układało się ono w żaden związek z moim zachowaniem przez całe życie, które było tak układane, że nie miałem co do siebie zastrzeżeń i ojciec mój, znany jako człowiek surowy, nie mógłby mieć co do tego uwag do tej pory.

Ona kopnęła ponownie dywan, który przykrył całą posadzkę, i zapaliła lampę w kolorze czerwonym, które to światło wytwarzało nastrój osobisty. Na stoliku ujrzałem inną książkę, na której goryl trzymał kobietę pośród buchających płomieni, książka miała tytuł z francuskiego, dla mnie niezrozumiały. Połałem alkohol do kieliszków. Ona usiadła na tapczanie i powiedziała, że nigdy by sobie nie wyobrażała, że ja piję tak dobrany, drogi koniak, tylko że raczej widziała mnie jakoś naturalniej. Ja powiedziałem na to szczerze, że taką butlę kupuję tylko na prezent. Wypiliśmy po kieliszku, po czym napełniłem je powtórnie, jednocześnie patrząc na jej smutne oczy dobrego dziecka, i rozpocząłem wyznanie, co było chwilą ogromnie ciężką i przekraczającą moje umiejętności. Patrzyłem na jej twarz aż do bólu w oczach, mówiąc, że to nie jest z mojej strony ani kawalerska fantazja, ani lekkomyślna pustota. Nie jest to także nieuczciwe, ponieważ to sprawa bardzo poważna, która wprawia mnie w stan męki, pozbawiając mnie i snu, i wykluczając skupienie na wykładanych przedmiotach w

WSI. Tak więc stan, w jaki wpędziło mnie uczucie, oraz pewna okoliczność, której nie chcę tu wysuwać, upoważniają mnie do tego wystąpienia, przy czym młodość przeszła mi nieopstrzeżenie na pracy oraz na walkach leśnych.

Ona tymczasem siedziała na tapczanie z podwiniętą nogą i kiedy doszedłem do tego momentu, przerwała mi zwracając się z prośbą, abym koniecznie o tym opowiedział więcej, gdyż tam, w lesie, na pewno miały miejsce jakieś brutalne historie zaprawione okrucieństwem. Więc wyjaśniłem, że to są widziadła z przeszłości, o których nie warto w takiej chwili mówić. Jednak ona nie zgodziła się ze mną. Odrzuciła głowę do tyłu ze słowami: – Proszę, niech pan o tym opowie, panie Czesławie, ja bardzo proszę – i dodała, że inżynier nic takiego nie przeżył, ponieważ należy do innej generacji ludzi, a jej zdaniem bez takich przeżyć nie jest się całkowicie mężczyzną, i dalej prosiła, abym opowiedział historię pierwszą z brzegu. – No... no... proszę – wysuwała do mnie bliżej z tapczanu twarz, która była jeszcze bardziej błada.

Tak więc, nie widząc możliwości ominięcia tego tematu, zacząłem wywoływać z pamięci obraz i mówię, że opowiem taką historię, jak posuwaliśmy się w sześciu jako rozpoznanie. Ona na to zapytała, czy była zima i czy był głęboki śnieg, w który się zapadaliśmy. Więc odpowiedziałem, że nie, na co zakołysała się na tapczanie, przymknęła oczy i już tak cicho, że prawie szeptem zadała pytanie, czy byliśmy brudni, obrośnięci i otoczeni przez uzbrojonego nieprzyjaciela, odpowiedziałem, że, jak wyjaśniłem, szliśmy tylko na zwiady, po czym zebrałem się i wróciłem do swojej sprawy, ale ona znowu zatrzymała mnie w słowach: – Niech pan dalej o tamtym, o lesie, błagam, niech pan nie przerywa.

Mnie się gromadziły na czole krople potu, podobnie koszula lepiała się do mnie, powiększało się także moje wyczerpanie tą sytuacją i nie mówiłem przez chwilę nic, wtedy z prośbą w głosie wypytywała dalej, ilu z nas zginęło na naszych oczach w błocie, jak zaskoczył nas nieprzyjaciel, więc w końcu dodałem jednak, że na nikogo nie wpadliśmy, tyle że straciliśmy karabin właśnie w bagnie, na co ona pokręciła znów głową ze słowami: – O tak, tak – krzyżując obie ręce na twarzy. Tu znowu przerwałem, oświadczając z rozpaczliwym postanowieniem, że o tamtych sprawach mogę pomówić później, jednak teraz absolutnie nie będę tego robił, bo muszę jej dopowiedzieć wszystko, co czuję w związku z nią. Ona leżała przez chwilę nieruchomo, po czym westchnęła przeciągając się na tapczanie, powstała z niego i podeszła do adaptera. Dziang, dziang, dziang – napłynęły znajome mi już dźwięki z afrykańskiego buszu. Żona inżyniera powróciła na tapczan i przez dłuższą chwilę czułem na twarzy jej wzrok. Potem zwróciła się do mnie ze słowami: – Chodź tu – i powtórzyła je dodając: – Chodź tu, Czesławie. – Wtedy podniosłem się z fotela i postąpiłem kilka kroków idąc jak automat w oszołomieniu. Następnie przy samym tapczanie przysiadłem na ziemi mając przed sobą rozmigotany na niebiesko z białym grubym dywan, jeszcze ładniej wyglądający w świetle czerwonej lampy. Następnie złożyłem jej głowę na kolanach, tak że na ustach miałem delikatny szlafrok, i odczułem w sobie spokój i szczęście ogarniające całe ciało. Nie chciałem już nic dodawać, a tylko myślałem o tym, żeby tak siedzieć w spokoju, cicho przy jej nogach i cały pokój w mojej wyobraźni zmienił się w piasek koloru złotego znad morza.

Dziang, dziang, dziang – rozległo się teraz głośniejsze z adaptera, a jej ręka przejechała mi po twarzy pieszczotliwym ruchem i wjechała lekko we włosy, sprawiając mi cudowne uczucie, które jednak teraz niespodziewanie zamieniło się w ból wywołany silnym zaciśnięciem jej ręki na włosach przy skórze. Poczekałem chwilę, ale widząc, że ból nie jest ani trochę mniejszy, rzuciłem się w bok głową, cały usztywniony w niewygodnej pozycji. To dało wynik i palce obluźniły teraz uchwyt. Tymczasem zaś jej ręka zsunęła się na dywan, a za ręką ona cała przeniosła się na podłogę przy mnie, przy czym wzięła moją twarz w obie ręce i przycisnęła do biustu, który teraz stawał się coraz bardziej widoczny spod rozpiętego u góry szlafroka. Leżąc w takiej pozycji poczułem znowu w całym ciele ogromnie rozczulające ciepło. Przy mnie dudniło jej serce, jednak w chwilę później podniosła moją twarz i opadły na mnie wargi na długo, i w tym samym momencie, nie przerywając odbywanego ze mną pocałunku,

zaczęła szarpać ciałem wydobywając je spod szlafroka, tak że na koniec ukazała się zupełnie naga. Ponieważ zgrzytała płyta, na co przez chwilę nie zwracaliśmy uwagi, posunęła się po podłodze przesuując igłę na początek i mówiąc coś po cichu, znowu przytulona do mnie, zaczęła rozwiązywać mój krawat, a następnie ściągać marynarkę. Po chwili sam rozpocząłem rozsznurowywać buty, po czym odsunąłem się i zdjąłem spodnie oraz wszystko i powiesiłem na krześle. Znajdując się teraz nago, zasłonięty przed jej wzrokiem poręczą krzesła oświadczyłem, że nigdy nie pojawiła się u mnie myśl, aby ją skrzywdzić. Nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy i wyciągnęła ręce. Wtedy wyszedłem zza krzesła i przebiegłem te parę kroków, a następnie położyłem się koło niej.

Wtedy owinęła się dokładnie dokoła mnie, a następnie taką siłą zacisnęła ręce i nogi, że nie mogłem wykonać najdrobniejszego ruchu. Jednocześnie czułem, że jej ciało jest potrzęsane dreszczami, które pojawiały się coraz częściej. Znowu mówiła coś niewyraźnie, jakby raczej to było przeznaczone tylko dla niej, a głową rzucała w lewo i w prawo zgodnie z afrykańskim rytmem. Odbylem wtedy próbę poruszenia się, jednak ostrożnego, przy czym, tak jak sądziłem, pozbawiony zostałem takiej możliwości. Przeniosłem wzrok na jej twarz i zobaczyłem, że oczy ma otwarte, jednak zupełnie pozbawione wyrazu, wyglądające na nieprzytomne i powiększone w stosunku do wyglądu zwykłego. Poczulem wtedy zwiększający się niepokój o nią i kierowany tym uczuciem rzuciłem się nagle w bok, co nic nie zmieniło, i wtedy ze strachem ponowiłem to. Zacząłem się rzucać i szarpać, robiąc to jak najszybciej i gwałtownie, aby się uwolnić, obserwując w tym czasie jej wykrzywioną jeszcze bardziej twarz i otwarte szeroko usta. Straciłem jednak siły, a po twarzy spływał mi pot, którego nie mogłem nawet otrzeć. W następnym momencie nadeszła chwila, w czasie której przestałem rozumieć wszystko, co się działo również ze mną. Zamknąłem oczy i zaraz odczułem, że już nie jestem tak unieruchomiony, czyli że ona widocznie zaczyna mnie wypuszczać. I istotnie, jeszcze za chwilę poczułem już zupełną swobodę w ruchach. Odplątałem jej ciało oswobadzając się z niej. Następnie przysiadłem obok obserwując niespokojnie, czy jej twarz wróciła do poprzedniego wyrazu, i z ulgą zobaczyłem, że się wyrównała i znowu była taka, jaka pojawiała się w moich marzeniach.

Leżała bez żadnego ruchu z zamkniętymi oczami, a ja oświadczyłem, że od pierwszego spotkania w „Delikatesach” miałem przekonanie, że jej obraz mnie nie opuści, chociaż nigdy nie myślałem nawet w tych najbardziej śmiałych marzeniach o tak poważnej z nią bliskości i że wszystko zajdzie tak daleko. Widząc jej brak reakcji podniosłem się, przeszedłem za krzesło i tam włożyłem ubranie, następnie odnalazłem jej szlafrok, nakryłem ją i usiadłem na krześle czekając, żeby się poruszyła, ponieważ nie mając doświadczenia w takich sytuacjach nie chciałem wykonać czegoś nieodpowiedniego. W głowie huczały mi sprzeczne myśli, które postanowiłem uporządkować już wieczorem w domu. Ona istotnie za chwilę westchnęła, potem zamrugła oczami, poprawiła włosy, uśmiechnęła się pięknie i łagodnie i wstała, zresztą bez szlafroka, którym ją nakryłem, co wywołało znowu we mnie większe zmieszanie, i odwróciłem spojrzenie. Szlafrok ciągnęła za sobą po ziemi i wykorzystwała go dopiero po paru chwilach.

– Co on teraz z tym szlafrokiem? – Obsesjonat! – Fetyszysta! – Tu nie dom towarowy. – Wydał się, że uprawiał z nią, stosunki. – Rodzina jest podstawową komórką. – Niech on by był inżynierem, posiadał ognisko i ktoś by mu się wkradł. – Nikt tu nie jest generalnie przeciw instynktom. – Nikt tu nie chce, żeby żył jak mnich. – Człowiek jest zasadniczo marnością. – Jednak nie każdy. – Są przykłady przeciwne. – Przecież nikt nie mówi, że każdy. – Ale wypada egzemplifikować z dokładnością. – Sam poznałem kiedyś pewną luksusową damę. – Tylko na Zachodzie miłość jest bezmyślnym tworem przyrody. – Nie deprecjonując osiągnięć tamtejszej cywilizacji. – I ta luksusowa dama oświadcza mi, że mnie kocha. A byłem wtedy mężem wybitnej urody, aczkolwiek z lekką tendencją do tycia...

Następnie zwróciła się z propozycją, abyśmy się napili herbaty, i wkrótce wniosła dymiące filizanki oraz herbatniki pokropione dżemem ze śliwek. Usiadła naprzeciwko i chrupiąc herbatniki powiedziała, że jej jedna znajoma mówiła, że jej znajomy zasadniczo się zmienił na korzyść, kiedy zamiast na gładko zaczął włosy zaczesywać na przód. Ja powiedziałem wtedy, że zdaję sobie sprawę, że mój wygląd odbiega od dobrego i fizyczność moja prezentuje się znacznie gorzej niż inżyniera Romanka, jednak dodałem, że postanowiłem wziąć się za sporty i uzyskać energiczny wygląd. Na co skrzywiła się, energiczny wygląd to nie jest wszystko i że jeżeli jestem zainteresowany jej opinią, to nie muszę się brać za sporty ani dokupywać ubrań, a właśnie zachowywać się tak, żeby być w zgodzie ze swoim charakterem. Poczulem się poruszony tym dowodem uczucia i wypilem herbatę, przy czym gorąco zrobiło mi dobrze, jednak odsunąłem herbatniki, gdyż istotnie nie mogłem jeść słodkiego. Na to popatrzyła na mnie przymrużonymi oczami z napięciem i zadowoleniem, po czym dodała, że tego po mnie oczekiwała, ale że ma coś dla mnie innego. Następnie z przymrużonymi oczami i otwartymi ustami obserwowała, jak siedzę nad wniesionym przez nią wielkim kawałem schabu, składającym się raczej z samego tłuszczu. Zjadłem to panując nad mdłościami, ponieważ nie lubię tłustego, jednak nie chciałem sprawić jej przykrości ani urazić, połykałem kawałki, żeby jak najkrócej czuć smak. Jednak i tak nie mogłem dojeść wszystkiego i odsunąłem talerz na bok, tak żeby tego nie oglądać dłużej. Przesiadła się koło mnie, rozpięła mi koszulę pod krawatem i przesuwiała paznokciami po piersiach. Wtedy też poruszyłem pierwszy raz gnębiącą mnie i zatruwającą każdą przyjemność sprawę jakiegoś unormowania naszego związku oficjalnie. Przyjąłem całą winę na siebie, jednak dodałem, że nie mogąc tego wytrzymać widzę konieczność odkrycia przed inżynierem sytuacji dla całkowitego wyjaśnienia. Mimo że ona surowo przestrzegала mnie przed bezładnym pośpiechem i zażądała obietnicy, że przez ustalony czas inżynier nic się nie dowie, bo to jest sprawa trudna i wymagająca przemyślenia, nie wspominałem o swoim odkryciu na dworcu sprzed wizyty, gdyż nie wydawało mi się to przyzwoite. Ona uzyskała ode mnie obietnicę i wtedy przytuliła się ponownie całym ciałem, wznowiła drapanie mi piersi, prosząc, abym skończył tłuszcz, i dodała, że prosi, abym ręce wytarł w obrus. Oświadczyła też, że jutro na obiad znowu kupi mi coś do jedzenia, poruszając sprawę tamtej znajomej, która opowiadała jej, że przyjemnością było kupowanie i gotowanie swojemu znajomemu tego, co chciał.

W ciągu następnych dwóch dni nie umiałem uporządkować ani zrozumieć przeżywanych wzruszeń. Ona przynosiła mi pantofle ranne inżyniera, które okazały się za małe, co ją wyraźnie ucieszyło. Przytulała się do moich kolan i oglądała moje palce od nóg podkreślając z zadowoleniem, że są pięknie owłosione, i byłyby je pocałowała, gdybym w tym już nie przeszkodził. Równocześnie nadal częstowała mnie takim samym mięsem, które zjadałem z tych samych pobudek co poprzednio.

Bardzo lubiła oglądać mnie bez ubrania i stale tego wymagała. Broniłem się przed tym, gdyż sprawiało mi to mękę, zwłaszcza że jestem oczywiście za szeroki i mam krótkie, gęsto obrośnięte nogi. W takich chwilach daleki byłem od odczuwania szczęścia, chociaż mówiła do mnie o swojej miłości, powtarzając szybko po kilka razy „kocham, kocham, kocham, kocham”, ale jednak postanowiłem jakoś to tłumaczyć moim niezrozumieniem i nieumiejętnością dostrzegania w tym szczęścia.

Przyjazd inżyniera Romanka, który w pierwszym momencie pograżył mnie w rozpacz, następnie zacząłem traktować jako przynoszący ulgę. Czas wolny skupiałem na zastanawianiu się nad wszystkim oraz na wytężonej nauce. Jednak to uczucie ulgi szybko a dokładnie następnego dnia opuściło mnie, ponieważ powrót do poprzedniego życia okazał się niemożliwy, tak mnie już pochłonięło to, co ją otaczało, byłem napełniony uczuciem bezsilności, ponieważ nie umiałem wybrać słusznej drogi postępowania, a jednocześnie z miłością dręczyło mnie moje postępowanie wobec Romanka, którego twarz, chociaż miałem przed oczami jego zdradę, pojawiała się przede mną często, i wyobrażałem sobie, jak by się krzywiła z bólu,

gdyby się dowiedział albo zorientował w sytuacji. Po upływie następnych czterech dni inżynier Romanek nagle pojawił się przy mnie w zakładzie. Rozpoczął rozmowę od pasów do skrzyni biegów. W związku z reklamacjami przechodziliśmy ponownie na stary sposób bez pasków i inżynier wypytał mnie o zdanie sugerując, że lepiej dawać dwa kroki do tyłu aniżeli jeden naprzód, jednak za długi. Po chwili takiej wymiany wziął mnie na bok ze słowami: – Mam do was, kolego Czesławie, parę słów. – Udałem się za nim pod okno, czując osłabienie i nie łapiąc pełnego oddechu. Postawiłem parę kroków i zatrzymałem się przy inżynierze pod dużym oknem wychodzącym na oddany do użytku nowy skwerek, przy całym napięciu odczuwałem jednak i nadzieję, że się musi wszystko zadecydować, skłaniając się do poglądu, że to ona, nie mogąc wytrzymać dramatycznego napięcia, wyznała Romankowi całość, tak więc czeka mnie już tylko przeżycie kilku najbliższych chwil. Z tą myślą oderwałem oczy od wypoczywających na skwerku osób i przeniosłem je na inżyniera. Tymczasem on rozpoczął pytaniem, co się właściwie ze mną dzieje. Dodał, że opuściłem się w nauce i zachowuję się w nowy, dziwny sposób, tak jakbym zmienił się nie do poznania. – Co to jest, może baba jakaś? – trącił mnie w bok i roześmiał się, po czym upomniał, że: – Z babami trzeba ostro, inaczej są kłopoty. – Słowa jego dochodziły do mnie jakby przyduszone, zza gęstej waty, a wyraz twarzy inżyniera rozplýwał się, co było wynikiem naprężonych nerwów. – No, trzymajcie się, trzymajcie – dodał jeszcze klepiąc mnie inżynier, po czym oznajmił, że wyjeżdża zaraz na tydzień z wizytą zagraniczną do bratniego resortu i że jak wróci, to ze mną pogada szerzej.

Po tej rozmowie długo przebywałem pod kocem na amerykance, zanim powziąłem decyzję pójścia do domu inżyniera. Dopiero po upływie kilku godzin poszedłem, jednak to już odbiegało od uczucia, z jakim przygotowywałem się na poprzednie odwiedziny. Błyskały mi myśli smutne, przy czym uczucie żalu utrwaliło się.

Dopiero po długiej chwili jej nie ukrywana radość z mojej wizyty oraz liczne pieszczoty oddaliły wyrzuty sumienia przywracając uczucie szczęścia. Znow otoczył mnie tamten świat, pięknie zapaliła się czerwona lampa tworząc harmonię z jej szlafrokiem tego samego koloru, a dookoła odezwały się afrykańskie odgłosy.

– Po co mieszać do tego Afrykę? – Typowe omamienie i zła wola. – Ja już przewiduję końcowy wynik. – Niech się przyzna do wszystkiego. – Gdzie w nim był instynktowny opór? – Jednak kiedy dowiedziałem się, że jest mężatką, to się opanowałem. – Gdyby inżynier dowiedział się o wszystkim, mógłby popaść w depresję, – Jego wykształcenie kosztowało państwo pół miliona. – Jednak miłość jest piękna. – Oczywiście nie taka. – Ile osób w tradycji złamała miłość! – Przykładami można by sypać jak z rękawa. – Choćby taki pisarz, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, albo inny. – Niech się przyzna, to mu pomożemy. – Zatrącenie erotyczny.

Jednak ona, mimo że okazywała mi wielką serdeczność, nadal odmawiała zgody na przeprowadzenie rozmowy z Romankiem. Upierałem się przy tym przez dłuższy czas, leżąc koło niej na dywanie, przy czym spostrzegłem, że nie była jak zwykle rozebrana, ale miała rozciągliwe majteczki z elastiku w kolorze czarnym. Następnie oświadczyła, że jej znajoma opowiedziała, że sprawiło jej to ogromną przyjemność, kiedy znajomy podarł jej majtki na strzępy. Ja nie ukrywałem dla tego typu zachowania swojego zaskoczenia i zwróciłem uwagę, że majtki takie są potem kompletnie do wyrzucenia, ale ona zaprotestowała nastawiając jednocześnie nową płytę i dodała poufnym szeptem, że kupiła ją z myślą o mnie. Ciang, ciang – rozległy się dookoła denerwujące odgłosy, a ona dalej mówiła posługując się szeptem, że wie dobrze, że ja mam ochotę, aby podrzeć na niej te nowe majtki na strzępy, i że jeżeli tak bardzo tego pragnę, to właśnie mogę to uczynić, bo tak właśnie lubią zachowywać się mężczyźni tacy jak ja, prawdziwi, a nie tacy jak Artur. Ja jednak nadal protestowałem, ale ona oplatając się dookoła mówiła: – No, rób to, rób to! – a kiedy nadal wymawiałem się nie widząc w tym żadnego sensu, powiedziała ze złością, że w tych sprawach trzeba być szczerym, żebym odrzucił całą nabytą sztuczną kulturę i że łóżko, a w naszym wypadku podłoga jest jedynym

miejszem, na którym możemy się zachowywać autentycznie. Więc żebym rozpoczął drzeć. Ja jeszcze nie chciałem, mówiąc, że to ładnie, że ona chce się pozbać dla mnie nowych majtek, ale popatrzyła wtedy z takim wyrazem, że już nic nie mówiąc szarpnąłem za majtki do siebie. Jednak uczyniłem to za słabo, rozciągając tylko gumkę, która powracając uderzyła ją po brzuchu. Wydała okrzyk, więc ja mówię, żeby sama może zdjęła, a ja podre potem, ponieważ ręce mi się trzęsą ze zdenerwowania i nie mogę tego robić dobrze. Wtedy krzyknęła znowu, więc szarpnąłem za nie mocno raz i drugi i wreszcie materia pękła trochę na górze, a potem w ogóle ustąpiła. Ona przytuliła się z szeptem, żeby dokładnie, całkowicie, na strzępy. Przy czym powtarzała pytanie: – No co, no i co? – Ja wtedy, przeżywając chwilę zupełnego zablakania, zdecydowałem się i opowiedziałem wszystko o brunetce i o Romanku, czym, jak zwróciłem od razu uwagę, nie okazała większego przejęcia, a nawet, o ile ono było, to ukryła to tak w sobie, że nie mogłem niczego zauważyć. Powiedziała tylko: – Ach, to ta! Biedny Artur, co on w niej widzi? – A kiedy ja na to z goryczą zacząłem tłumaczyć, że to jest chyba powód do rozwodowej sprawy i że ona takiego traktowania przez inżyniera nie będzie znosić, powiedziała, że wrócą jeszcze do tego, ale na razie ta sama znajoma powiedziała, że jej to sprawiło ogromną przyjemność, jak jej znajomy mówił jej brzydko. Pograżony w rozpaczliwych myślach i zupełnie pozbawiony zastanowienia i równowagi brakiem jej reakcji na zdradę inżyniera Romanka i całym zachowaniem, odpowiedziałem, że nie rozumiem w ogóle, o co jej może chodzić, ani nie chcę zrozumieć, ani przyjąć żadnych szerszych wyjaśnień. Sformułowałem to z zamierzoną celowo oszłością. Ona jednak zareagowała przeciwnie, niż oczekiwałem, bo przytuleniem i dalszymi namowami, takimi jak: – No brzydko... no przecież wiesz... – i dodała, że mogę sobie pozwolić na wszystko, bo na pewno znam różne takie przekleństwa, bo ona wie doskonale, że my, czyli robotnicy i technicy, w takich mieszkaniach jeszcze nie powykańczanych i nie oddanych do użytku lokatorom, siedząc nad wódką, urządzamy tam przyjęcia z kobietami i że ja na pewno brałem udział w takich rozmowach, gdzie właśnie robotnicy albo technicy mówią o swoich kobietach. I dodała: – No, jak wy je nazywacie? No, przecież wiem, no, mów... – Jednocześnie wtuliła się we mnie bardzo mocno, zamykając mi zęby na ramieniu. – No, du... no, ja wiem – dyszała do mojego ucha, abym nie bał się i wyzwolił siebie, po czym oświadczyła, że wie, że o nich mówimy dupy, i że ja też, jak od niej wracam tam do nich, to mówię, że mam: – No, du... no? – na co przerwałem oświadczając, że mówi nieprawdę, że ja nigdy, bo to jest zupełnie niemożliwe, nigdy tak nie mówiłem i nie będę tego robił, że jeżeli już ona chce, dodałem widząc wyraz jej twarzy, że jeśli o to jej chodzi, to wolę już drzeć jej majtki tak jak poprzednio, natomiast tutaj zajmę zdecydowane stanowisko. Ale ona nie poświęcała mi żadnej uwagi, tylko kołyszając się na mnie, przytulona dokładnie, powtarzała jakby w oszołomieniu: – Ja wiem, co wy następnie mówicie... że co z nimi robicie... mówicie, że je... no? – i nalegała, abym uzupełnił, gdyż ona wie, że ja to uwielbiam, jakkolwiek na razie sobie tego nie uświadamiam widocznie, ale że mnie od tego skrepowania wyswobodzi. Dodała jeszcze, że ta znajoma mówiła jej także kiedyś, że jej to sprawiło ogromną przyjemność, jak ją inny znajomy w czasie trwania miłości bił, przy tym, żeby oczywiście to miało wartość, należy bić umiejętnie, najlepiej jest bić po udach albo też po plecach, co zresztą zależy od aktualnej sytuacji, czego wysłuchiwałem z uczuciem niewiary i niezrozumienia, jednak kiedy próbowałem jej przerwać, to nie dawało wyników, i doprowadzony do zupełnej utraty kontroli nad swoim zachowaniem uderzyłem ją ręką, niemocno zresztą, po twarzy, co było raczej odepchnięciem głowy, która z tym wszystkim przytulała się do mnie. Następnie zobaczyłem jej zaskoczenie, po którym powiedziała: – Czeka, głuptasie, nie teraz.

W następnej chwili wybiegłem z mieszkania z rozpaczą, że podniosłem rękę na nią, która zajmowała wszystkie moje uczucia, i na kobietę, z czym nie mogłem się pogodzić ani sobie wybaczyć, jakkolwiek mógłbym mieć powód zdenerwowania.

Biegałem po mieście do utraty oddechu, co często robiłem przy wyjątkowo silnym wzruszeniu, jednak nigdy nie doprowadziłem się do takiego wyczerpania. Zauważyłem to z wysiłku przy wchodzeniu na schody, zanim nareszcie położyłem się na amerykańce i nakryłem kocami łykając proszek. Jednak moment ulgi nie nadchodził. Ciało miałem jakby porozdzielane na różne części, tak że na przykład nie mogłem utrzymać dygocącej nogi. Podniosłem się spod koców, odkryłem i wstałem, bo mój stan nie uległ poprawie, chociaż teraz biegałem po pokoju od drzwi kuchennych do okna, odbijając się plecami to o jedno, to o drugie, przy czym niedużo brakowało do zagniecenia kanarka, któremu ostatnio w chwilach szczęścia pozwalałem opuszczać klatkę, aby polatał po pokoju. Wyteżając silną wolę spróbowałem następnie odczytać rozdział o ogniwach, jednak odłożyłem to szybko mając przed oczami dziecinne usta, nie wierzyłem, aby mogły one wydalić z siebie to wszystko, nawet uchwyciłem się myśli, że ona odegrała całą scenę żartem albo żeby odbyć próbę ze mną, jednak po krótkim czasie zarzuciłem ten pomysł. Następnie nie wiedziałem, co robić dalej. Stałem w lustrze rozmyślając, jak będę żył sam, i doszedłem do wniosku, że nie czuję się na siłach żyć samotnie powracając do dawnego stylu spędzania czasu. Odczuwałem z tego powodu strach.

– W epoce sztucznych kosmonautów! – I bombardowań w Indochinach! – Tam się podobno poprawiła sytuacja. Czytałem w tamtejszej gazecie. – Nie ma się czym przechwalać. – Innym razem opanowałem się podobnie, bo miałem żonę. – Trzeba panować nad biologią. – To daje człowiekowi sapiens przewagę nad zwierzęciem. – Dziwić się młodzieży. – Swoją drogą, jak ona żyje? – Piją i wyżywają się seksualnie. – Wtoczą się bandami bez biletów i kradną. – Zabrną w ślepy zaułek. – Albo spódniczki mini.

Równocześnie odnosiłem wrażenie, że moje mieszkanie skurczyło się i że ściany wywracają się na mnie, wtedy wszedłem na krzesło i patrząc na swoje ciało w lustrze mocno ścisnąłem ręką dokonując z całą siłą rozpaczliwego szarpnięcia na lewo i na prawo. Następnie rozplakałem się, ubrałem w garnitur, oblałem wodą i poszedłem do niej.

RAPORT PIŁATA

Centralne Archiwum Historii Najnowszej, Zgodnie z ustaleniami przesyłamy przekazane nam przez Departament Śledczy teczki nr 5/6, zawierające zaopiniowane przez nasz wydział materiały dotyczące wydarzeń z września ubiegłego roku.

Wydział
Dokumentacji Historycznej

KOMENDA GŁÓWNA POLICJI DEPARTAMENT ŚLED CZY

20 września w godzinach popołudniowych pełniłem służbę jako zastępca dowódcy posterunku w sektorze IV, od południa zamkniętym ujściem rzeki, od północy dzielnicą willową, od wschodu placem Zwycięstw i przylegającymi do niego Parlamentem i Komendą Główną. Zachodnią granicę wyznaczającą bezładne usypiska śmieci, cmentarzysko starych samochodów oraz kompleks baraków przeznaczonych do rozbiórki. Dzielnica ta nie należy do najlepszych, ponieważ wzdłuż rzeki ciągną się lokale, do których wchodzenie nie należy do przyjemności, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Jednak to nie ma nic do rzeczy, jest sprawą znaną, a w dodatku tego dnia w ogóle trudno było mówić o jakimś bezpieczeństwie w związku z rozruchami, które ogarnęły całe miasto. Ja miałem za zadanie zastępowanie dowódcy i dysponowanie patrolami 20, 21 i 22, przy czym, jeśli wziąć pod uwagę całość sytuacji, mieliśmy zadanie w zasadzie proste – interweniowanie tylko w szczególnych sytuacjach, a tak jedynie prowadzenie obserwacji i przekazywanie meldunków o ewentualnie tworzących się centrach zapalnych poza głównym rejonem (gdzie zostały zlokalizowane). Przy okazji dodam jeszcze, że całe nasze siły, jak zdecydowano na odprawie u szefa policji – co zresztą też jest wiadome, ale dodaję dla porządku – miały za zadanie jedynie powstrzymać główny napór, a nie rozbić go, podczas gdy po sprowadzeniu posiłków, w postaci oddziałów specjalnych, w moim głębokim przekonaniu pełne rozproszenie sił demonstrantów leżało w zasięgu naszych możliwości. Jednakże zgodnie z rozkazem lokalizowaliśmy jedynie rozruchy, tworząc zamykające kordony w centrum oraz zajmujące się sytuacją na autostradach, dworcach i lotniskach. Jednak od czasu, kiedy ON został po raz pierwszy aresztowany, następnie wypuszczony za kaucją, i kiedy otrzymaliśmy polecenie odblokowania dróg, wszystko przybrało na sile. Nie będę ukrywał swojego zdumienia tą decyzją, jakkolwiek nie do mnie należy ocena posunięć Komendy Głównej. Jednak właśnie po wypuszczeniu GO doszło do tych aktów zniszczenia o znaczeniu politycznym (zagraniczne przedstawicielstwa handlowe), co stanowiło początek dołączenia do bezładnych ruchów coraz to nowych ugrupowań, które, poprzednio skłócone, z łatwością utrzymywane były w ryzach. Oświadczam to w tym celu, aby uzasadnić swoją de-

cyzję, którą powziąłem w wyniku otrzymanej drogą telefoniczną informacji od tej kobiety, przekazanej mi w chwili, kiedy wydawałem dyspozycje wyruszającemu patrolowi. Wtedy to nie tracąc czasu udałem się pod wskazany adres. Oczywiście gdybym przypuszczał, że może się wydarzyć to, co się wydarzyło, zachowałbym się inaczej, jednak postępowanie moje było z punktu widzenia służbowego słuszne i nic nie można mu zarzucić. Tak więc z patrolem złożonym poza mną z trzech ludzi udałem się samochodem pod wskazany adres.

Ludzie nieustannie uważają za dobry dowcip dezinformowanie policji, jednak tym razem głos kobiety był taki, że postanowiłem to sprawdzić. Oświadczyła, że ON jest tam, i dowiedziałem się, że jest z NIM tylko jedna osoba. Mówiąc to roześmiała się. Potem, w czasie przesłuchiwania jej, okazało się, że ten zmieniony przez słuchawkę dźwięk, który brałem za śmiech, był to raczej płacz.

Rozmowa z nią była utrudniona, ponieważ znajdowała się w stanie zamroczenia alkoholem i, jak podejrzewam, także narkotykami, gdyż na jej ramionach znajdowały się ślady ukłuc. To w połączeniu z jej wyglądem – była w zaawansowanej ciąży i miała rozmazaną szminkę – sprawiło, że odniosłem wrażenie, iż jest starsza, niż się później okazało. Lokal, do którego zostaliśmy wezwani, był nam dobrze znany jako miejsce uprawiania handlu narkotykami i zwykle panował tu tłok trudny do opisania. Jednak tym razem tylko kilka osób chwiała się pod ścianami, kamienna podłoga zalana była wodą, która – jak stwierdził zgodnie z prawdą właściciel – wylewała się z zepsutych kaloryferów, co dodatkowo utrudniało zorientowanie się szybko w sytuacji, zwłaszcza że kolorowe i białe światło, puszczone przez dwa reflektory, łapało postacie tylko w krótkich przeciągach czasu. Kazałem włączyć normalne światło, wtedy wybuchło pewne zamieszanie, część osób zaczęła się wycofywać do drzwi, jednak zatrzymaliśmy je. Właściciel zaczął tłumaczyć, że z narkotykami już od dawna nie ma nic wspólnego i że donos musiał być fałszywy. Co przerwałem, oświadczając, że takimi sprawami się nie zajmuję, i spytałem o NIEGO, na co zdziwił się w sposób wyglądający na szczerzy. Ta kobieta doniosła, że ON widocznie uciekł, przy czym w głosie jej nie wyczułem zmartwienia, co mnie od razu uderzyło. Właściciel potwierdził, że ona telefonowała, i raz jeszcze dodał, że JEGO nie widział, zresztą wątpi, czy by GO w ogóle poznał, ponieważ nie jest w stanie wśród tych zarośniętych i poprzebieranych odróżnić kobiety od mężczyzny, a w dodatku, jak ludzie popijają, to wszyscy wyglądają tak samo. Dodał też trafne spostrzeżenie, że słyszał, że On znajduje się na czele demonstrujących przed Parlamentem. Jednocześnie moi ludzie, którym kazałem na wszelki wypadek przeszukać lokal, wyciągnęli z damskiej ubikacji potężnie zbudowanego, zarośniętego człowieka, który w rękę trzymał opróżnioną butelkę i sprawiał wrażenie, że się tam ukrył. Wtedy ta prostytutka krzyknęła, że ten facet był z NIM od początku, od JEGO wjazdu do miasta i pewno jeszcze wcześniej. Ona sama znajdowała się w towarzystwie dwóch mężczyzn, z których jeden okazał się agentem ubezpieczeniowym, a drugi członkiem orkiestry grającej w nocnym lokalu. Wypuściłem obu później, ponieważ nie wydawało mi się, by mogli cokolwiek wnieść do całej sprawy. Wspominam wyraźnie, że wszystko wykonywałem z najlepszą wolą i zgodnie z regulaminem. Natomiast sama wskazała mężczyznę, który zamknął się w damskiej ubikacji, i zeznała, że był z NIM od początku. Wyglądał na dwadzieścia parę lat, oświadczył, że nic o niczym nie wie. Znalaziono przy nim licencję zawodowego boksera i rzeczywiście, sądząc z uformowania nosa i charakterystycznego kształtu uszu, wyglądało to na zgodne z prawdą. Twierdził, że chyba wolno mu się napić wina, zaprzeczył, żeby kiedykolwiek widział JEGO i tę kobietę oraz żeby w ogóle zamierzał się ukrywać. Po prostu oddalił się do toalety w celu oddania moczu, a że trafił do damskiej, to w tym chyba nic złego nie ma. Ponieważ na razie w zaistniałej sytuacji zatrzymanie go także nie wydawało się celowe, pozwoliłem mu się oddalić, co uczynił jakby niechętnie, nawet wychodząc już zatrzymał się na moment, odwrócił, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale jednak wyszedł. Najmłodszy w patrolu powiedział, że chyba on rzeczywiście jest bokserem, i coś mu się kojarzyło z jego wyglądem, przypomniał sobie, że już go gdzieś widział na ringu, ale nie był pewien okoliczności, w jakich to się stało. Tymczasem postanowiliśmy przesłuchać tę

kobietę uprawiającą zawód prostytutki, a w każdym razie utrwalić część mamrotania, jakie wydawała, sądząc, że może natrafimy na jakąś ważną informację o NIM, dowiemy się, skąd GO zna, kim ON jest i dlaczego postanowiła GO wydać.

Fragmenty nagranej na taśmę wypowiedzi prostytutki Magdaleny, lat 38, brak stałego miejsca zamieszkania, zameżna, odtworzone dnia 20 września o godz. 18. Na początku taśmy zniekształcenia.

...jak to nie wiem, kiedy to było, tak jest, wtedy. Szło ich, ja wiem, kilkunastu, to zobaczyłam potem, bo ten skurwiel gonił mnie. Lepiej byłoby, jakby mnie złapał. Ale nie. Wyleciałam na jezdnię, nie pamiętam gdzie. Zaraz, zaraz, przestańcie mnie szarpać, przeklęte gliny. Rozmawiacie z diabłem, wszystko zło i świństwo, któreście robili, robicie i zrobicie, jest niczym przy tym, co ja zrobiłam. Wy aniołowie zajebani! Dlaczego mi kazał, dlaczego? On wtedy dogoniłby mnie, tamten facet, po ten pieprzony portfel, który mu zabrałam, skopał i nic więcej. Dlaczego tak się stało, dlaczego ON tak kazał, taki dobry?

Wtedy jezdnią szli za NIM we dwunastu, musiało być dwunastu, zresztą może było więcej, potem to były już tłumy, kiedy wyście otoczyli, ON położył mi ręce na głowie i dopiero wtedy zobaczyłam GO, a gruby, zatrzymany przez tego, którego teraz wypuściliście, z krzykiem wydierał się do mnie i na NIEGO krzyczał: „Łobuzie, coś za jeden!” Tak krzyczała ta wstrętna świnia, która przedtem przerznęła mnie obrzydliwie i której zabrałam portfel, a on leciał za mną na ulicę, wpadł w tłok na jezdni, gdzie siedł ON i za NIM inni między samochodami, które trąbiły, wszystko się kotłowało, był cholerny hałas. Szłam przy oślicy, czując na głowie JEGO rękę i czując się bezpieczna tak jak małe dziecko, ale nie jak to moje dziecko przeklęte, które już żyje, ani to, które noszę w sobie i przez które musiałam kraść, co zresztą powiedziałam MU, bo kto mnie teraz chce z tym bandziochem, poza wykolejeńcami, z którymi zawsze zadawać się jest niebezpiecznie. O Boże, o Jezu, który zrobiłeś cuda, w które nie wierzycie, gliniarze, nie wierzycie, zamiast się modlić, a ja to widziałam, wszystko widziałam. Kto widział, ja widziałam, kto pamiętał, ja pamiętałam. Pamiętam to, widzę, słyszę. A ON mnie kochał, przyszedł do mnie, aby mnie uratować, ale teraz nie wiem, dlaczego kazał mi to zrobić. Może wiecie wy, mądre skurwysyny, dlaczego to zrobiłam, dlaczego przy tym nie zdechłam, dlaczego rusza się we mnie jeszcze ten przeklęty płód, dlaczego, wy skurwysyny...

Na tym kończy się zeznanie spisane z taśmy, ponieważ w tym momencie ona zaczęła się modlić do NIEGO, a sierżant, który jest osobą religijną, trząśł się cały i musiałem go prawie siłą powstrzymać, żeby się na nią nie rzucił. Zresztą ona bełkotała teraz mniej wyraźnie i na koniec ciałem jej zaczęły podrzucać konwulsyjne skurcze, przypominające atak epileptyczny, co ze względu na tę ciężę-stanowiło widok przestraszający. Przy tym dodaję, że ten pierwszy, podający się za boksera, a także ona byli sprawdzani na temat strzałów, które oddano z dachu, przy czym zabito policjanta i jednego z tych fanatyków, którzy zamknęli się z NIM w tym budynku. Sprawa była tym ciekawsza, że z tego karabinu, jak stwierdzono z całą pewnością, zabito trzy dni temu kobietę, przy czym strzały padły z wieży kościoła.

I właśnie ON przyznał się do tych trzech zabójstw, zgłaszając się wtedy z tym właśnie karabinem, i został poddany przesłuchaniu przez szefa policji i wypuszczony za kaucją.

Ponieważ tamtego dnia brałem udział w blokadzie domu, a także byłem obecny przy dostawieniu i początku przesłuchania przez szefa policji, który został specjalnie zawiadomiony i przyjechał natychmiast – mogę przytoczyć fragmenty tego, co słyszałem, w celu bezstronnego zanalizowania sytuacji, przy czym powtarzam, że wypuszczenie GO w moim przekonaniu odbyło się zbyt wcześnie. Szef wszedł, jak zwykle, z tym swoim psem w kolorze czarnym,

którego rasa wydawała się trudna do określenia. W tym pokoju, poza NIM, było dwóch inspektorów, paru policjantów i ja. Wszystko to odbyło się już po rozmowie wstępnej, w czasie której na pytania znormalizowane, takie jak imię, nazwisko, wiek, zawód, ON nie udzielał żadnej odpowiedzi, co wywołało nawet zdenerwowanie przesłuchujących GO. Natomiast szef umiał z NIM rozmawiać, gładził po łbie tę czarną bestię i zadawał pytania, zaczynając od sprawy podstawowej, czy rzeczywiście jest NIM i czy przynosi pokój na ziemię. A ON odpowiedział, że nie, że przeciwnie, przyszedł, aby rozdzielać. Na pytanie, czy zamierza rozdzielać pieniądze między biednych albo fabryki między robotników, udzielił odpowiedzi, że ojca od syna, matkę od córki, brata od siostry, a zapytany, co będzie z pokojem i z miłością, oświadczył, że czasy są ostateczne i że powstaną z ognia, który ON rozпали. Szef oświadczył zupełnie słusznie, że GO sobie trochę inaczej wyobrażał, przy czym uważam, że słowo „trochę” posiadało sens ironiczny. I następnie zapytał, czy ON przypuszcza, że miłość bliźniego swego można osiągnąć przemocą, bo nam się to nie udało. Jednak ON odpowiedział, że rzecz polega na tym, że my działamy przemocą dla przemocy, a ON w imię miłości. Szef głaskał psa i zapytał, czy ON rzeczywiście sądzi, że w taki sposób można zmienić wszystko, co nas otacza (myślał, jak przypuszczam, w ogóle o świecie). A ON wcale nie był zaskoczony, tylko z ogromną pewnością stwierdził, że już jest ostatnia chwila i że albo prawda zwycięży, albo świat w ogóle przestanie istnieć.

W tym momencie nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której przyszły jakieś ważne raporty, w każdym razie szefa odwołano. Do końca przesłuchania doszło następnego dnia. W pierwszych słowach szef zakomunikował MU, że jest wolny i może wracać do tych swoich. A trzeba dodać, że po JEGO aresztowaniu demonstracje słabły, bo te tłumy jakby nie umiały działać bez NIEGO. Muszę dodać, że według mojego rozpoznania ON był tak samo zaskoczony jak obecni przy przesłuchaniu. Na pytanie, dlaczego zostaje wypuszczony, że przecież przyznał się, że strzelał i że zabił, szef odpowiedział, że to nieprawda, że skłamał. Dodał, że Nowa Ewangelia się nie zacznie, nie będzie żadnych pytań, kto zabił, nie będzie powodu do zemsty. Potem zapytał, czy męczeństwo nie wydaje MU się chwytem barbarzyńskim i prymitywnym, i dodał, że nie dostanie od nas tej pieczątki, na której MU zależy. Od tej pory wszystko w przesłuchaniu było postawione na głowie, ponieważ ON domagał się zatrzymania GO, a szef uprzejmie udzielił mu wyjaśnień, dlaczego zdecydował się GO zwolnić, twierdząc, że to, że się przyznał, to jeszcze za mało i że my musimy udowodnić MU winę. Wtedy ON wyglądał już na mniej spokojnego i zakomunikował podniesionym głosem, że został schwytany z bronią w rękę, a konkretnie karabinem, z którego zastrzelono ludzi. Na zbijające go z tropu pytania szefa oświadczył, że nieważne, kto strzelał, gdyż sam też by strzelał, a na pytanie, czy nie potępia mordercy, miał odpowiedzieć, że przeciwnie, przyszedł mu pomóc.

Nawiązując do przesłuchania, które wydarzyło się w parę dni później, oświadczam, iż po przesłuchaniu tamtej prostytutki udałem się z patrolem w kierunku placu Centralnego, równocześnie, zgodnie ze swoimi instrukcjami, dokonując penetracji terenu. Od tamtej strony dochodziły pokrzykiwania tłumu, mijaliśmy patrole 26 i 27, dojeżdżając w stronę głównej blokady na placu przed Parlamentem. Wysoko zamontowano kamery telewizji, nad tłumem chwiały się różnokolorowe krzyże, przy czym kolorów było więcej niż poprzednio, jak również krzyży, ponieważ jak informowałem, przyłączyły się rozmaite ugrupowania, a sam byłem świadkiem, jak na zebraniu złamano transparent z rewolucyjnym robotniczym hasłem i zbito z niego krzyż w kolorze czerwonym. Obok tego wymienić można krzyże czarne, żółte oraz transparenty z napisami: „Przyszedłem, aby podpalić ziemię”, „Rzućcie w nią, którzy jesteście bez winy”, „Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho...”, dalszej części ostatniego napisu nie odczytałem. Działo się to także dlatego, że Związki Zawodowe ogłosiły strajk, przystępując do demonstracji, domagały się podniesienia płac. W tłumie znajdowali się także przedstawiciele mniejszości narodowych, żądający reform lewicowych, księża domagający się zniesienia celibatu, homoseksualiści oraz tłumy żądające zalegalizowania handlu narkotykami. Przejechaliśmy obok ogromnego plakatu reklamowego największej firmy elektrycznej, na

którym wymalowany był ON z żarówką, podpisany: „Przyszedłem, aby dać wam światło.” Na ulicy ludzie czytali gazety, tytuły wywalone były jak rzadko: *Starcia policji z fanatykami fałszywego proroka, Są zabici i ranni, Kto stoi na czele hippiesów, Quo vadis, Domine, Chcemy miłości, nie chcemy wojny, Jak długo „czerwony Odkupiciel” będzie pozostawał na wolności, Droga krzyżowa spokojnych obywateli, Pałkami nie rozwiążemy konfliktu, Uszkodzenie sieci telefonicznej, splądrowane sklepy, przerwa w komunikacji – oto plan panowania rzekomego Odkupiciela, Cztery osoby zabite w starciach ulicznych, Komuniści chcą pertraktować, Kto odpowiada za porządek w mieście?*

Samochody z zasiekami skutecznie pozamykały ulice, broniąc dojścia do gmachu Parlamentu, od czasu do czasu jedynie tłum napierał, dochodziło do rzucania petard i gazów, po czym tamci się cofali. Zastanawiałem się, czy ON był między nimi, a także nad tym, czy w jakiś sposób brał ON udział, jak to wynikało z meldunków, w kierowaniu dewastowaniem fabryk, przebywając jednocześnie w innym miejscu. Nad okrzykami górował głos z megafonu oświadczający: „Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego”, „Miłujcie nieprzyjaciół wasze”, „A kto by cię uderzył w jeden policzek, nadstaw mu drugi”. Udałem się w celu zorientowania się w sytuacji do oficera kierującego tutaj naszymi siłami, zamierzałem zakomunikować mu o tym telefonie i o przesłuchaniu kobiety, jak również chciałem zostać utwierdzony, że jestem w zgodzie z regulaminem, w celowości prowadzenia dalszych poszukiwań. Wskazano mi, że znajduje się we wnętrzu zradiofonizowanego samochodu. Otworzyłem drzwi mimo jego zarządzenia, aby mu nie przerywano, wszedłem do środka. Major nie zwrócił na mnie uwagi, pogrążony w czytaniu pokreślonej grubej książki, w której rozpoznałem Biblię. Krawat miał rozwiązany i sprawiał wrażenie zmęczonego do ostatecznych granic. Monotonnym, schrypniętym głosem czytał nadal do mikrofonu: „Módlcie się za spotwarzających i prześladujących was”, „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem synami Bożymi będą nazwani”. Dopiero po jakimś czasie zobaczył mnie i ze zniecierpliwieniem machnął ręką, polecając mi się usunąć. Przerwał na chwilę czytanie, pociągnął spory łyk z butelki, która stała obok, i zaczął dalej, znowu nie zwracając na mnie uwagi ani nie chcąc przyjąć żadnego meldunku. Ponieważ nie posiadałem wystarczająco ważnych informacji, wycofałem się i napiłem kawy w małej kuchence rozstawionej za samochodem. Byłem niewyspany, ponieważ w nocy uspokajałem żonę, dręczoną przez koszmar senny. Równocześnie przyglądałem się transmisji telewizyjnej z tego, co działo się na placu, przy czym na naszych ekranach w samochodzie odbiór był niedobry. Poinformowałem się, czy wśród demonstrujących widziano JEGO – kilku oficerów twierdziło, że tak, inni nie byli pewni.

Wróciliśmy do Komendy. Radio podawało przebieg debaty w Parlamencie. Minister spraw wewnętrznych oświadczył, że czyni wszystko, co możliwe, aby zaprowadzić porządek i aresztować przywódcę. Jednak sytuacja na razie mu się wymyka, co wywołało burzę protestów, a u nas reakcję zdziwienia. Ktoś domagał się zastosowania energicznych posunięć, wprowadzenia ludzi mocnej ręki.

Jechaliśmy przez dzielnicę opuszczonych baraków i starych garaży, przeznaczonych zresztą do wyburzenia. Tutaj rzadko wieczorem spotyka się ludzi, ale może to była sprawa związana z przecuciami, poleciłem kierowcy, żeby jechał właśnie tędy, chociaż nie była to najkrótsza droga. Jechaliśmy do momentu, kiedy usłyszałem krzyki. Poleciłem się zatrzymać. Krzyk trudny do określenia dał się słyszeć ponownie, dobiegał zza wysokiego drewnianego płotu, gdzie w głębi placu porośniętego zielskiem rysowało się zabudowanie. Udaliśmy się w tamtą stronę. Po odnalezieniu wyłamanych desek w płocie podsunęliśmy się do baraku. W pierwszym momencie wydawało się, że mamy tu do czynienia z porachunkami odchyleńców, które nie należały w tej dzielnicy do rzadkości. Słowa, które usłyszeliśmy zza drzwi, potwierdzały przypuszczenie, że będziemy świadkami sceny zazdrości. Weszliśmy do środka z bronią gotową do interwencji. Najpierw sierżant kopnął w drzwi, które, co pamiętam, nie były zamknięte na klucz. Nie było prawie nic widać. Przez stalową rurę sączyła się z nie dokręco-

nego kranu woda. Cała reszta wyposażenia wnętrza baraku, jak: przykryte kocem legowisko, maszynka elektryczna, zapasy spożywcze, dotarła do nas potem, ponieważ w słupie światła, które dawała latarka sierżanta, przedstawił się naszym oczom obraz nieczęsty nawet dla wie- loletniego i rutynowanego pracownika policji (dziewiętnaście lat służby). Poznałem GO od razu – był przymocowany do krzyżujących się na ścianie belek, podtrzymujących dach, za pomocą żelaznego łańcucha. Twarz zabrudzoną miał krwią wydobywającą się z pokaleczono- go przez kolczasty drut czoła, co tworzyło imitację prawdziwych wydarzeń znanych z religii.

Wyglądało na to, że jedyną osobą żyjącą w baraku jest ON, ale latarka sierżanta natrafiła na drugiego. Oparty o ścianę trzymał w ręku żelazny łańcuch i nie reagował na nasze wejście. Sierżant, nie mogąc się opanować, co w tej sytuacji wydaje się zrozumiałe, pomimo że sprzeczne z zasadami, trzasnął go pięścią w twarz. Upadł sztywno z otwartymi oczami, nie otwierając nawet ust, których rozcięcie sierżant spowodował. Musiałem go powstrzymać, bo zamierzał kopać tego człowieka, sprawiając także przez chwilę wrażenie zamroczonego. Zdjął hełm z głowy, powtarzając „sukinsynie”. Po sprawdzeniu, że mężczyzna nie ma broni, kierowca z drugim policjantem zajęli się odplątywaniem JEGO. Najgorzej szło z drutem na czole. Był przytomny, zgodnie z regulaminem zadałem MU przepisowe pytania, chociaż obecny byłem przy przesłuchaniu GO przez szefa policji. Nie uzyskałem odpowiedzi. Natomiast ten drugi, przy któ- rym także nie znaleziono żadnych dokumentów, nawet prawa jazdy, zaczął mówić.

Sierżant włączył magnetofon. NIM zajmował się kierowca, który przeszedł przeszkolenie sanitar- ne. Czekaliśmy, żeby odzyskał trochę siły i żeby można GO ruszyć, bo na razie stracił przytomność.

Odtworzone z taśmy magnetofonowej fragmenty zeznania zatrzymanego w baraku męż- czyzny, brak stałego miejsca zamieszkania, imię, nazwisko nieznane, wiek 20–21.

Nic nie powie. Też chciałem z NIM gadać. Dowiedzieć się coś. Nie chciałem GO zabić te- raz. Chciałem wcześniej. Jak tylko pokazał się w mieście. Widziałem ten wjazd. Ten cały cyrk. Miałem GO na muszce. Nie strzeliłem. Chciałem coś sprawdzić. Dowiedzieć się. Tak jak wy, tyle że dla siebie. Tak jest. Wiecie co? Chciałem, żeby to był ON. Głupie, nie? To ja strzelałem. No i jak. I wtedy trzy dni temu, i zabiłem waszego gliniarza i jednego z tych szczeniaków. Tak, jak otoczyliście ten blok, w którym się zamknął. Ci JEGO agitatorzy przytaskali druty kolczaste, zabarykadowali drzwi i okna. Wtedyście przyjechali. Namawiali- ście przez dzień i noc do wyjścia. Jak rany, dzień i noc. Mieliście cierpliwość cholerną. Ja też. Dostałem się do środka przed wami. Później też miałem cierpliwość. Przez cały czas naszego spaceru, który się tu skończył. Myślę, że nie wierzyłem ani przez chwilę, że jest NIM. Wi- działem z bliska ten niby cud. Na samym początku, zaraz jak dostałem się za nimi do tego domu. Przeszliśmy przez garaż. Inne drzwi były zabite. ON w tym garażu usiadł. Stałem ści- śnięty w tłumie. Śmierdziałem razem z nimi. Obrzydzenie brało patrzeć na nich wszystkich. Palili konopie, rzygali na siebie. Część rozlazła się po bloku i porozkładała na ziemi. Czekali nie wiadomo na co, a ja z nimi. Wgapiałem się w NIEGO. Chwilę to wyglądało, jakby na mnie patrzył. W tym tłoku i smrodzie poczułem się obrzydliwie. Już się bałem, że dostanę ataku. Trzasnąłem się parę razy w pysk. To czasem pomagało. Teraz też. Zobaczyłem ją. No tę swoją sukę. Patrzyła MU w twarz. Wyglądała wstętnie. Przytuliła głowę do JEGO dłoni. Łasiła się. Oni pili i czekali. Patrzyli i czekali. Mieli tego czasu. ON coś zaczął mruzczyć i kołysać się. To mogła być modlitwa. Wyglądało, że się nie skończy. Taki trans, nie? Ale ona podniosła łeb, leżała na ziemi i podniosła łeb, i wychrypiała coś. Wrzasnęła to samo głośniej: „Wina nie mają”, i się zrobiło cicho. Wszyscy się patrzyli. Żyły jej wystąpiły na twarz. Na- dęła się. Wyglądało, że zacznie rodzić. Skoczyła do czerwonej beczki przeciwpożarowej z wodą. Na tej beczce był napis „Feuer”. Deptała po leżących. Wsadziła łeb do beczki i wrza-

snęła „wino!” Chłęptała jak spragniony kundel. Lało się jej po pysku. Wtedy się zaczęło na dobre. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć, przepychać się. Ci, co się dobili, też wrzeszczeli „wino!” Nie mogłem się tam dostać. Ci dookoła już się czuli święci. Skurwysyny. Wrzask był taki, prawdę mówiąc, nie wiem, czy sam się z nimi nie darłem. Wtoczyli mnie w kąt, odpychałem się od ściany, zdzierałem skórę z rąk. Nie mogłem się przedostać. Nie widziałem nic, bo przypchnęli mnie twarzą do betonu. Jak się odwróciłem, nie mogłem GO zobaczyć. Było luźniej, bo część polazła za nim. Przeszedłem przez leżących na ziemi. Włókłem się korytarzem, przepychałem się, przechodziłem przez tych, co leżeli. Nie było GO. Na jednym piętrze, zanim się cofnąłem, ona przycisnęła się do mnie mocno i czułem, jak wbija się we mnie ten brzuch. Przyciskała mnie, wyglądało, że brzuch się powiększa. Myślałem, że się wyrzygam. Zaczęła głaskać mnie po twarzy, mówiła pieszczotliwie. Naraz odsunęła się. „Po coś to przyniósł?” Poczula broń pod płaszczem. Sprytnie mnie w macierzyńskim uścisku zrewidowała. Można się śmiać z mojej szmatławej czułości. Mamrotała, że GO nie dostanę. Wczepiła się we mnie, biła pięściami wrzeszcząc, że TEN przyszedł, żeby ją ocalić. Rzuciłem ją pod ścianę, zaczęła prawie wyć „morderca!” Usłyszałem ruch na korytarzu i prysnąłem. Ona drapała paznokciami ścianę. Zwijiała się w ataku. No, dzięki niej znałem to dobrze. To była jedyna rzecz, jaką mi podarowała.

W dużym pokoju rozstawili pod ścianą zbity z kawałków tamtej beczki krzyż. Kołysali się na podłodze. Powtarzali za jednym: „TY jesteś życiem, TY jesteś wiarą, TY jesteś nadzieją, TY jesteś miłością, TY jesteś dobrocią.” I takie inne kawałki. Część miała w rękę kawałki beczki. Zagłuszali gliniarskie komunikaty. Dobrze się wymęczyłem, łażąc po piętrach. Na samej górze, w pustym pokoju, zobaczyłem GO, kulącego się przy ścianie. Klęczał bez koszuli. Całe plecy miał poorane pręgami. Musiał niezłe oberwać. Coś mamrotał. Wyglądało, że się boi. Może waszych komunikatów, gliniarze. Rozpiąłem płaszcz, wyciągnąłem karabin i skręciłem go. Musiał widzieć, jak wchodziłem, ale nie odwracał się. Powiedział: „Jesteś. To ty strzelałeś do ludzi.” To wcale nie było pytanie. Tym już mnie zaskoczył. Ale w końcu coś musiał mieć w sobie, że tyle narozrabiał. „Chcesz wiedzieć po co?” Pokręcił głową. A ja miałem smak potu w ustach. „Z nienawiści. Strzelasz z nienawiści.” „A TY? A TY myślisz, że tylko z miłości można zabijać.” „Nie chcę zabijać.” A ja, że będzie musiał. Podniosłem karabin wycelowany w NIEGO. Jak już mówiłem, nie chciałem GO wtedy zabić. A zaraz potem wcisnąłem. MU karabin do ręki, bo przez to, przez celownik, wszystko wygląda inaczej. I to trzeba wiedzieć, żeby coś rozumieć. Podniósł broń. Myślałem, że wystrzeli. Potem oddał mi broń. „No to czego chcesz? Czego się tu pętasz? Po co ci te wszystkie kawały?” Wyglądało na to, że czuje do mnie wstręt. Ucieszyłem się, że się mnie brzydzi. Powiedziałem, że się mnie brzydzi. „Potrzebujesz mnie” – powiedział. Ale mnie błysnęło coś w głowie. Że to ON mnie potrzebuje. „Myślę nawet, że wiem, o co CI chodzi” – powiedziałem. Podniosłem karabin do oka i strzeliłem. Na dole upadł jeden z tych, co w NIEGO wierzyli. Strzeliłem drugi raz. To były dobre strzały. Wywalił się gliniarz, trafiony chyba w brzuch. Poleciał na druty kolczaste.

W tym miejscu nastąpiły zakłócenia, gdyż kierowca rzucił się na zeznającego, ponieważ był przyjacielem zabitego policjanta.

„Morderco” – tak powiedział: „Morderco” Dobra. Zrobiłem to dla NIEGO i powtórzyłem MU to. Stać mnie jeszcze na taki prezent. „Przestań zalewać, bo wiesz, że zrobiłem to, czego nie chciałeś zrobić. Nie? Pewnie się bałeś?” Wcisnąłem MU w rękę karabin. Żebyście widzieli JEGO minę. Wtedy wyście zaczęli strzelać. Seriami z pistoletu maszynowego. Potrzebał się tynk nad naszymi głowami. Poderwał się. Wyszedł na taras. Patrzyłem, jak podnosi broń. Wydawało się, że zacznie strzelać. Ale tylko podniósł ręce do góry. Przestaliście strzelać. Kiedy schodził na dół, krzyknąłem za NIM „morderca!” JEGO ludzie chcieli GO zatrzy-

mać. Taki osiłek o wyglądzie boksera objął GO w pasie. Odepchnął go. Doszedł do drutów, które wasi ludzie rozcinali. Karabin miał nad głową. Gliniarze podeszli blisko. Jego ludzie podłecieli z prętami z żelaza. Ale to już był koniec. Bo ON ich zatrzymał. Widziałem, jak otoczyliście GO, skuli. Chciał spojrzeć w górę, na mnie, ale dostał pałą w łeb. Wepchnęli GO do radiowozu. Równocześnie inni oczyszczali teren budynku. Myślałem, że zrobiłem MU cholerny prezent...

Tutaj skończyła się taśma i powstała konieczność wymiany jej, co zrobiono, jednak ten człowiek nie przestał mówić i cały fragment został w związku z tym niestety nie utrwalony. Był to czasokres od momentu aresztowania JEGO aż do oczekiwania przed pałacykiem wydawcy, czyli do słów: „Nic się nie zdziwił.” Ten fragment utracony nie wydawał mi się zresztą wyjątkowo istotny, dotyczył mniej ważnych z mojego punktu widzenia szczegółów JEGO wydostania się z bloku, udania się pod Komendę Policji w celu kontynuowania obserwacji oraz dalszego tropienia samochodu wydawcy aż do momentu właśnie oczekiwania w ogrodzie.

W tym miejscu postanowiłem jednak w celu wywołania pewnej chronologii zamieścić fragmenty raportu porucznika W.K.M., który, jak wiadomo, zginął tragicznie następnego dnia rano w okolicznościach w moim mocnym przeświadczeniu nie wyjaśnionych, a który będąc zatrudniony jako fotoreporter w najpoważniejszym dzienniku, przebywał na przyjęciu w pałacyku tego prasowego potentata i od pierwszej chwili obserwował rozwój wydarzeń. W celu przypomnienia dodaję, że są to zdarzenia rozgrywające się 19 września. Po dwóch dniach przetrzymywania GO w celi.

Fragment raportu porucznika W.K.M., dotyczący odnośnego momentu wydarzeń, od słów „Siedzieliśmy w samochodzie” do „Zaczęły palić się meble” (s. 4–7).

Siedzieliśmy w samochodzie dobre pół godziny, zanim wreszcie otworzyły się drzwi i zobaczyliśmy szarpiącego się, czepiającego drzwi człowieka, który wyraźnie upodobał sobie mieszkanie w areszcie, i trzeba było wcale dużego wysiłku, żeby zachęcić go do zmiany planów. Co najzabawniejsze, ani ja, ani kierowca rolss-royce’a, który wyglądał jak jego właściciel i siedział przy mnie jak nadęta żaba, nie spodziewaliśmy się, że to ON, dopóki nie sturlał się z tych schodów, i wtedy nagle zobaczyłem, że to jest nasz pacjent. Kierowca zorientował się dopiero wtedy, wyskoczył z samochodu, otworzył drzwiczki i kłaniając się zaprosił GO do środka; recytował tekst „Witaj, Panie”, którego nauczone go w pałacyku, co robił z tak wyraźną niechęcią, że o mato się nie roześmiałem. Ale ON usiadł z tyłu, na tej ogromnej kanapie, na której zmieściłoby się sześciu takich jak ON, siedział jak manekin, nie zadawał żadnych pytań i patrzył przed siebie wzrokiem stałego bywalca barów w momencie zamykania lokalu.

Obserwowałem GO w lusterku przez dłuższą chwilę, w jednym z tych dziesięciu chyba lusterek, które nie wiadomo po co zainstalowano w tym wozie, i przysięgam, że miałem taki moment, że ta twarz wydała mi się okropnie znajoma. Nie chodzi mi oczywiście o to podobieństwo, z którego wynikła cała sprawa, ale w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, co to by mogło być. Czasem zatrząskuje mi się takie okienko i nie daję rady, ale byłbym przysiągł, że ja tego człowieka gdzieś widziałem. Otworzono nam bramę, przejechaliśmy przez ogrodzony jak bunkier ogród, w którym sterczał pośrodku, moim zdaniem przypominający kaktus, ten przeszklony pałacyk. ON wysiadł, a ja trzasnąłem z flesza pierwsze zdjęcie. Równocześnie otworzyły się drzwi, którymi mógłby wjechać czołg, o nic nie zważając,

i stanął w nich jeden z sekretarzy tego wydawcy, prezesa i jeszcze diabli wiedzą kogo, uklonił się nam, wymówił to samo powitanie i z piekielnie obojętną twarzą szedł przed nami przez ten hall wyglądający jak muzeum, potem rozsunął drzwi i weszliśmy do głównego salonu, gdzie odbywało się coś między bankietem, naradą a popołudniem w burdelu. Sporo osób drzemało, wyciągnąwszy się na fotelach, kanapach i jeszcze cholera wie na czym. Oparłem aparat na marmurowym postumencie i trzasnąłem kilka zdjęć, żeby ożywić nastrój. Równocześnie z głębi salonu wynurzył się z dymu cygar gospodarz, wyglądający trochę jak tęgawa kobieta. Parę osób podniosło się, dwaj faceci, którzy poza mną dopuszczeni zostali na to przyjęcie, obaj zresztą z jego gazet, zaczęli też trzaskać. Wokół nas zebrało się kilkanaście osób, wszystko twarze, z których najbiedniejsza warta była setek tysięcy, a ta uśmiechnięta chłopo-baba podeszła do NIEGO, stojącego ciągle sztywno z wzrokiem wbitym nie wiadomo gdzie i wyglądającego tutaj, jakby rzeczywiście spadł z nieba, ze słowami: „Jak to miło, że pan już jest.” Objął GO, uśmiechnął się znowu telewizyjnie, co było sygnałem dla nas, więc kamery zaczęły trzaskać, i podnosząc głos oświadczył: „Mam zaszczyt przedstawić bohatera ostatnich wydarzeń. Oto Syn Człowieczy, którego pamiętniki będę wydawał. Uwięziony przez żołdaków Piłata, został za kaucją wypuszczony z więzienia i oto jest wśród swoich.” Po czym zwracając się do NIEGO zadeklamował uroczyście: „TY będziesz tworzył nowy ład, a ja stworzę CIEBIE.” Parę osób zaczęło bić brawo, jakaś kobieta wyuchnęła śmiechem, a inna, ubrana tak, że podjąłbym się rozebrać ją jednym palcem, szybciej, niż zapala się papierosa, i muszę przyznać, że zrobiłbym to z cholerną przyjemnością, powiedziała: „Jest bardzo piękny”, głosem stuprocentowej nimfomanki. Ktoś z boku dodał, że ich nie odróżnia, a młody, w białym smokingu, mruknął „hołota”. Potem gospodarz rozejrzał się, ściągnął ze śpiącego na tapczanie faceta z branży filmowej, który był mężem nimfomanki, purpurowy płaszcz i narzucił MU na ramiona. Spośród flaszek wyciągnął koronę, włożył MU ją na głowę i uśmiechając się porozumiewawczo powiedział: „Proszę się nie obawiać, ona jest z plastyku.” Znowu zakręcił się, zaklął i spytał, czy ktoś nie brał trzciny. Jego sekretarze zaczęli krzątać się nerwowo po sali, a mężczyzna o szczupłej twarzy, w srebrnych binoklach z grubymi szklami, który leżał do tej pory na skórzanej kanapie, pieszcząc włosy śpiącej obok ślicznej młodej cioty, wzruszył ramionami, powtarzając kilkakrotnie: „Bez sensu, bez sensu, bez sensu!” Wydawca rozłożył zabawnie ręce i oświadczył: „Przykro mi z powodu tej trzciny. Ja także przywiązuję się do symboli. W końcu robimy w podobnym fachu. Obaj tworzymy coś z niczego. Dla innych. Ale nie wolno nam zapominać o sobie” – zakończył sentencjonalnie. Popchnął GO w stronę fotela rzeczywiście przypominającego tron. Sam opuścił się na podobny obok. Brakowało jeszcze tylko trzeciego i można by ich zdjęcie dać na okładkę satyrycznego pisma z najlepszymi życzeniami Nowego Roku. Krążyłem obok, raczej słuchając niż robiąc zdjęcia, bo miałem już tej zabawy trochę dosyć. Rozglądałem się po salonie szukając tamtej nimfomanki, byłem gotów na wypadek, gdyby się źle poczuła, odprowadzić ją do domu. Jednak wyglądało na to, że wszyscy czuli się dobrze poza mną, ponieważ ciągle męczyło mnie, skąd znam twarz tego człowieka. Tymczasem tamci dwaj na „tronach” prowadzili rozmowę, to znaczy monologował wydawca, od czasu do czasu stawiając pytania, ale zdaje się, że nie bardzo liczył na odpowiedź, a nawet sprawiał wrażenie, jak gdyby nie był jej szczególnie ciekaw. Obaj trzymali w rękach szklanki z whisky, ja zbliżyłem się także, dolałem im, usiadłem na dywanie opierając się o jakąś cholerną roślinę, której kolce kłuły mnie w plecy, i słuchałem, jak tamten mówił do NIEGO, że wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać, że to był wielki pomysł – ludzie chcą dowiedzieć się o NIM wszystkiego: kim jest, co im obiecuje, skąd pochodzi i tak dalej, i tak dalej, i że kupuje od NIEGO prawo wyłączności na druk pamiętników – tu wymienił cenę, łagodnie mówiąc, zachęcającą – i kiwnął ręką na siedzącą w pobliżu kobietę, która od dłuższego czasu, szczerząc długie zęby i wypinając niemłody dekollet, starała się wtrącić do rozmowy. Zaczęła tak samo idiotycznie, jak wyglądała, z tym płaskim odkrytym dekoltem i siwymi, wysoko upiętymi włosami. Zapytała GO mianowicie, czy

widział jej ostatnią sztukę *Sny o krwi*, czego ON jakby nie słyszał, co uważam zresztą za wyjątkowo taktowną reakcję, ponieważ sztuczylła tej pani napęniają mnie szczerym przerażeniem. „A właśnie – powiedział wydawca. – Przedstawiam panu – to jest Łukasz, najostrzejszy. Są tu też inni, których pan powoła: Mateusz, Marek i Jan. Oni odwalili za pana główną robotę. Cały czas przeszły ma pan już załatwiony” – uśmiechnął się porozumiewawczo i dodał: „No, prawdę mówiąc, przyszły też. Oczywiście poprawki będziemy nanosić w trakcie tworzenia przez pana nowej historii, ale może spodoba się to panu i nie będzie pan chciał dużo zmieniać.” Zachęcił GO do picia, a tamten ciągle milczał, także kiedy ta kobieta–Łukasz zapytała, czy jest homoseksualistą. A wydawca odchylając się na tronie zachichotał cienko, otarł krople potu z białej twarzy i znowu zaczął mówić. „Niech się pan nie gniewa, że zaangażowałem kobietę, ale ona jest dobra, jest bardzo dobra. Ludzie lubią ją czytać. Pan jest bardzo atrakcyjny dla kobiet. Przydałoby się także coś w rodzaju żeńskiego dla mężczyzn. Ale mniejsza z tym. Wybrałem ją i trzech świetnych facetów, każdy napisał swoją wersję pana pamiętników, zamknąłem je i może pan sobie wybrać. Prawdę mówiąc, różnice nie są bardzo wielkie, bo pisali według ścisłych wskazówek, no i licząc się z tym, co ludzie chcieliby przeczytać. Ale są różnice w ujęciu pewnych spraw, no i różnice temperamentu.” „Czy pan jest homoseksualistą?” – powtórzyła znowu tamta, szczerząc psie zęby, na to tamten w grubych szklach, pieszcząc ciągle włosy tej pięknej śpiącej cioty, powiedział „nonsens”, napił się ze szklanki i dodał: „ON jest ponad płciami. Jego Androgyne realizuje się w sferze metafizyki.” Przyjrzał MU się uważnie i dodał: „Budzi pan we mnie wstręt. Nie znoszę szalbierzy. Żałuję, że dałem się w to wszystko wciągnąć. Ohyda.” Biała twarz uśmiechnęła się trochę szerzej, pochylając się konfidencjonalnie w JEGO stronę. „On jest uczciwy i niezależny, dlatego jest taki drogi – wyjaśnił. – Liczą się z nim. No i ten temat ma rzeczywiście w małym palcu. Obudźcie Jana.” Ktoś spróbował podnieść głowę młodego faceta, ale równie dobrze można by było namawiać konia, żeby przemówił. Więc gospodarz rozłożył ręce mówiąc, że nic się nie da zrobić, a Mateusz wyszedł znacznie wcześniej. Dodał jeszcze, że Jan należy do zbuntowanych i niektórzy lubią go czytać, a wynajął go na wszelki wypadek.

Moja nimfomanka zmierzała w naszą stronę posuwając się ruchem dryfującego żaglowca. Była tak sympatycznie upita, że mógłbym dokładnie wymienić, co piła, aby osiągnąć tak przyjemny nastrój. Zakotwiczyła się przy wydawcy, ziewnęła przejmująco i przeciągnęła się w sposób, który mnie otrzeźwił. „Słuchaj uśmiechnęła się do niego – czy twój gość nic nie wykona? Obiecywałaś jakieś cuda.” „Słusznie, słusznie – dorzucił ktoś z boku – mógłby coś zrobić. Byłem parę dni temu w lokalu, gdzie facet wszedł do butelki – do tej pory nie wiem, jak to zrobił.” Chłopo–baba z tronu patrzyła na NIEGO wyczekująco. „No, co TY na to? Nie chcę CIĘ do niczego namawiać...” Jakaś luksusowa dama, mająca na sobie dwa razy więcej rzeczy niż nimfomanka, co nie znaczy, że nie zostałaby natychmiast zatrzymana na ulicy za obrazę moralności, opuściła się na kolana, zawołała „cudu!”, wyciągnęła do NIEGO ręce i uznawszy to za świetny dowcip, wybuchnęła śmiechem. Sporo osób zaczęło się z tego idiotyzmu śmiać, co oznaczało, że dama była ważną osobą.

„Niech wskrzesi twójgo męża” – powiedział do nimfomanki ten wredny przystojniak w białym smokingu i objął ją w taki sposób, że powinien dostać w pysk i mnie powinno się powierzyć wykonanie tego zadania. „Cudu!” – powtarzała ciągle dama na klęczkach, przerywając to co jakiś czas wybuchami śmiechu, przypominającego dźwięk, jaki wydaje odkorkowywana butelka. Tymczasem wredniak wziął nimfomanke za rękę, przeszedł przez salon i zniknęli za jakimiś drzwiami. W tym momencie straciłem ochotę do życia, zresztą większość obecnych tu osób straciła ją już dawno, więc poczułem się bliźnim. Zainteresowanie NIM trochę słabło, a ten drugi król, biała morda, także wyglądał na trochę rozczarowanego, pewno liczył na silniejsze przeżycia. Zresztą się nie zawiódł, o czym będzie za chwilę, ale na razie oświadczył tylko: „Umowę możemy podpisać zaraz, potem zapozna się pan z tekstami. Na razie niech się pan czuje jak u siebie w domu.” Podniósł się z fotela i stracił zainteresowanie

dla całej sprawy. ON podniósł się także i ruszył w stronę wychodzącego na ogród tarasu. Przez uchylone drzwi wszedł do ogrodu. Kiedy zatrzymał się tam, oświetlony z tyłu, jego sylwetka znowu wydała mi się cholernie znajoma.

Teraz jednak rozpoczęły się atrakcje, które wymarzył sobie gospodarz, a mianowicie mąż nimfomanki obudził się z krzykiem, wykonał rękami znak krzyża, przewracając przy tym, bo zamach wziął potężny, kandelabr naszpikowany płonącymi świecami. Firanki zaczęły się palić – takie rzeczy zawsze palą się dobrze – a ja pomyślałem, patrząc na drzwi, za którymi zniknęła nimfomanka z tamtym przystojniakiem, że jest sprawiedliwość boska. Zamieszanie zrobiło się potężne. Firanki opadły na ziemię, zaczęły palić się meble.

Odtworzony z drugiej taśmy ciąg dalszy zeznań zatrzymanego w baraku mężczyzny, brak stałego miejsca zamieszkania, imię i nazwisko nieznane, od słów „Nic się nie zdziwił” do słów „Nie wiem”.

Nic się nie zdziwił. W ogrodzie podszedłem do rozgiętych krat. Przez nie przedtem tu wlałem i czekałem. Już jasne było, że idzie za mną. Nie musiałem się oglądać. A ten dom się palił bardzo dobrze. Pozrzuciłem z NIEGO płaszcz i koronę. Na ulicy, jak na razie, nikogo nie było. „Ładnie podпалиłeś firanki. To umiesz ładnie. Reszta ci kiepsko wychodzi.” Zagadkał, że ofiara musi się spełnić. Już miałem dosyć tego pieprzenia. Ale trudno. Zaczął dochodzić hałas. Sklepy cwaniacy bali się otwierać. Przeleciała grupa z krzyżem. Mieli się do czego spieszyć. ON się na nich nie patrzył, tamci na NIEGO też nie. Przejechały samochody policji. Zanim skapowałem, co jest, znaleźliśmy się w niezłym burdelu. Ktoś darł się jak na wiecu. Ale to było przedstawienie. Jeden aktor przebrany za NIEGO, drugi za Piłata. Pierwszy się pyta drugiego, czy jest żydowskim królem, a drugi, czy sam to wie, czy mu to inni powiedzieli. Niezła szopa, tego brakowało, nie? Przepychanka coraz cięższa. Dusilem się z gorąca. Gadali o napadach na sklepy i zniszczeniu fabryk. Głośnik wydzierał się: „Módlcie się za spotwarzających.” Przepychały się stare baby z kościelną chorągwią. Dalej to już regularny wiec. Jeden wrzeszczał: „Nie możemy iść z NIM, bo głosi przestarzałe religijne poglądy!” Drugi na to: „Najważniejsze, że jeszcze gorszymi wrogami są ci, co są przeciw NIEMU.” „Jak zostaną zwyciężeni wrogowie z bronią, pozostaną wrogowie bez broni, ale oni też są wrogami” – znowu pierwszy. Ładowałem łokciami. To była pieprzona zabawa. Złodzieje mieli dobry dzień. Gadali o robotnikach, że się ruszyli. Przez radio podawano przesłuchania ludzi, co zdemolowali fabrykę. Mówili, że ON im kazał, że działali jak w natchnieniu. Ładny numer! Najlepsze, że JEGO nikt nie poznawał. Zapomnieli o NIM czy jak? Przepychaliśmy się przez tłum. Nie mogłem już skapować, o co chodzi. Władowali się w park. Tak samo gorąco jak w mieście. Pod drzewem wyrócił się. Ja obok. To trochę trwało. Pewnie spałem.

Po zachodzie nie było nic chłodniej. Ciągnąłem GO do tej knajpy. Wyglądało, że się kończy, myślałem, że z głodu. Weszliśmy od tyłu na mniejszą salę. Facet, który wpuszcza, poznał mnie. Tu się nic nie zmienia. Trochę facetów siedziało na podłodze. Dostarczałem tu kiedyś towar: hasz, konopie. Przeszliśmy do sali oficjalnej – to przejście było dobrze schowane. Od światła bolały oczy. Oparłem GO o stół. Nie było dużo ludzi. Otworzyłem MU usta i wlałem trochę wina. Zmuszałem, żeby jadł. Nie wiem, jak znalazło się koło nas paru facetów, tych, co wjechali z NIM na początku do miasta. Nie widać było po nich, żeby się cieszyli. Jakby trochę żalu mieli, że ich w to władował. Pieprzyli o bijatykach, starciach z glinami – oni się do tego nie rwali, ale ich cały tłum zapchał. Kiepsko wyglądali, jak na świętych odnowicieli. Nie widać było, żeby GO słuchali, kiedy zaczął mówić, że ofiara musi się spełnić. Ten świat musi się zapalić. Namawiał, żeby byli cierpliwi, to ON to za nich załatwi. Ale jednak osiłek oświadczył, że trzyma z NIM do końca. Z taką twarzą nie miał dużo do stracenia. Jednego z nich gliny zatrzymały za zamordowanie paru facetów. Ten osiłek mruknął, że jak im będzie potrzebne, to GO zmuszą, żeby się przyznał. Tak czy tak dostanie czapę.

Zobaczyłem ją. Poznałem najpierw po śmiechu. Siedziała z dwoma facetami. Wyglądali tak jak powinni. Solidne świnie. Wstała. Jeden z nich chciał ją złapać, ale się wyrwała. Zaga-
piona w NIEGO laźła jak kaczka, chlupiąc po tej cholernej wodzie. ON się ucieszył. Nama-
wiali się. Ona nie chciała czegoś zrobić. Kazał jej. „Jak mnie kochasz, zrób to” – tak usłysza-
łem. Odeszła. „Jest tu ktoś, kto mnie wyda – powiedział. – Niedługo już spełni się ofiara.”
„Który to? – zawołał ten byczek. – Pokaż go!” Reszty to w ogóle nie obeszło. Kilku się poże-
gnało. Szedłem za nią. Włazła za kotarę. Wrzuciła monetę do automatu telefonicznego. Ten
numer akurat znam dobrze. Usłyszałem parę razy, że „jest tu na pewno”. Odwiesiła słuchaw-
kę. Trafiała na zepsuty automat, bo się sypnęły monety. Wzięła je ze śmiechem. Przeszła obok.
Nie poznała mnie. Ale ci dwaj faceci nie zapomnieli, po co z nią przyszli. Jeden złapał ją za
rękę, szarpnął na krzesło. Na widok jej głupiej miny przypalił jej rękę papierosem. Roze-
śmiała się. Tak się zdziwił, że ją puścił. Ten osiłek drzemał, reszta się rozeszła, szarpnąłem
GO do drzwi. Wywlokłem na ulicę. Trochę próbował się opierać. Odeszliśmy już daleko,
kiedy przed tą knajpą zaparkował wasz wóz.

Wlokłem GO z coraz mniejszą nadzieją, ale wiedziałem, że się GO muszę trzymać. Tak
jak ON mnie. W baraku nocowałem często. W poprzednim miejscu szukali mnie. Sutener-
stwo i takie różne sprawy. Wepchnąłem GO, byłem cholernie wymęczony. ON wywrócił się
na łóżko. Odpoczywałem obok. Od upału miałem mokrą koszulę. Jednak sprawę trzeba do-
prowadzić do końca. Znowu długo trwało, zanim się podniosłem. W ogóle nie miałem sił.
Dałem MU wodę. Wypił. Kopnąłem GO w twarz. Jednak się poruszył. Przewlokłem MU łań-
cuch pod ramionami, zawisłem na nim. Pojechał trochę w górę na skrzyżowane belki. Zaplą-
tałem łańcuch z tyłu i miałem GO na własność. Z pozycji mógł być zadowolony. Nie odpo-
cząłem sobie. ON otworzył oczy. Powiedziałem, że spotkałem dzisiaj matkę. Kiwnął głową,
że wie. Jest kurwą, powiedziałem. A ON chyba wie dlaczego. W ogóle musi dużo wiedzieć,
musi być strasznie mądry, bo chce odkupić świat. To niech mówi, dlaczego zabijam. Chyba
to umie, nie? Może nie umie, może GO nie nauczył ten, co GO wynajął. Żeby coś powiedział,
pewno bym GO przestał łać. Albo żeby zamknął oczy. Ale nie. Przeciągnąłem GO tym łańcu-
chem, darłem się, że przez NIEGO zabijałem. Że jest mordercą. Że przez NIEGO będę zabi-
jał. Że GO zmuszę do mówienia. Albo wyrwę MU ten jęzor z pyska. Temu mądrymu pie-
przonemu pedałow. Otworzył usta i powiedział „bracie”. Dobrze, nie? „Bracie.” Zacząłem
GO znowu łać. Co się dalej działo, nie wiem. Przyznaję się, że chciałem GO zabić. Kto
strzelał? Ja strzelałem. Dlaczego strzelałem? Bo chciałem. Dlaczego chciałem? Nie wiem.
Kto jest winien? Ja jestem. Kto jeszcze? Nie wiem. Kto wie? Nikt nie wie. Dlaczego? Nie
wiem. Dlaczego się boję? Nie wiem. Co będzie ze mną? Nie wiem.

W tym momencie praktycznie nastąpił koniec nagrania. Zatrzymany wydawał wprawdzie
nieartykułowane odgłosy, których już jednak nie przytaczam, ponieważ nie dostrzegłem w
nich żadnej logiki. Wywrócił się na ziemię w takim ataku, o jakim uprzednio wspominał –
należy przypuszczać, że był to atak choroby epileptycznej. Sierżant skuł go w. tym stanie z
kilku powodów: po pierwsze – ponieważ według naszej wiedzy z tego zakresu żelazo przyno-
si dobry rezultat w tej chorobie, po drugie – aby zmniejszyć mu możliwość rozbijania się po
ziemi, po trzecie – aby tym łatwiej odtransportować go po odzyskaniu przytomności. Nagry-
wanie tego zajęło bardzo małą ilość czasu, a teraz oczekiwaliśmy jedynie na koniec ataku,
aby wyruszyć do samochodu zaparkowanego, jak wspomniałem wyżej, w pewnej odległości.
Przewidywania nasze okazały się słuszne. Mianowicie zatrzymany wkrótce się uspokoił i
wyruszyliśmy, taszcząc ich obu w kierunku samochodu. Kiedy ukazaliśmy się już na ulicy,
odgłosy, które od pewnego czasu niepokoiły nas, ujawniły swoje źródło. Z zakrętu wynurzył
się tłum, wypełniając całą jezdnię, a także oba chodniki. Część ludzi niosła krzyże w różnych
kolorach, wykonane z drzewa. Na nasz widok jakby przyspieszyli, a z przodu, jezdnią, przed

wszystkimi, zataczała się ta prostytutka w ciąży, którą rozpoznałem nawet z dużej odległości. Pokazywała nas palcami, krzycząc coś, jednak ogólny hałas zagłuszał słowa. Do samochodu mieliśmy jeszcze dobrych kilkadziesiąt metrów i stało się dla mnie rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że z obciążeniem w postaci dwóch mężczyzn nie będziemy w stanie zdażyć do niego, uruchomić go i na czas odjechać. W tej sytuacji wydałem polecenie wycofywania się w stronę baraku, póki ostatecznie nie będę miał pewności co do intencji, z jakimi nosili się ci ludzie. Sam zatrzymałem się, wy dobyłem broń, postanawiając w każdym razie zapewnić moim ludziom bezpieczne dotarcie do baraku. Tłum wydawał okrzyki, w których można już było odróżnić słowa: „Oddajcie nam GO” czy też „Wydajcie nam GO”. Takie okrzyki, moim zdaniem, mieszały się ze sobą, jak się później okazało, po prostu były takie i takie. Oddałem dwa strzały w górę, aby powstrzymać pęd tłumu, jednak ludzie prowadzeni przez tę sukę, wyjąca „tajniak, zdrajca, zbliżali się z tą samą szybkością, jakby zdawali sobie sprawę, że sam nie będę w stanie ich zatrzymać. I rzeczywiście, moje upieranie się w tej sytuacji byłoby niczym innym jak dobrowolnym samobójstwem. Widząc, że moi ludzie osiągnęli już barak, wycofywałem się bardzo zaniepokojony o dalszy rozwój wypadków, bo tłum sprawiał wrażenie fanatycznego i gotowego postawić na swoim, a obecność tej kobiety na przedzie nie wróżyła nic dobrego. Wśród okrzyków, jakie wymieniłem, zastanawiając się, jak się mam zachować, wycofałem się do baraku, widząc jeszcze niszczenie naszego samochodu, który w sensie dosłownym został wywrócony, a następnie splaszczony przy pomocy uderzeń krzyżami i licznymi transparentami, głoszącymi sprzeczne hasła.

W baraku poleciłem natychmiast jednemu z policjantów, który posiadał krótkofalówkę, na szczęście, zgodnie z regulaminem, przy sobie, a nie pozostawioną w samochodzie, aby nawiązał kontakt z centralą w celu uzyskania pomocy. Tymczasem poleciłem zabarykadować drzwi, a obaj mężczyźni umieszczeni zostali za naszymi plecami w wybetonowanej części baraku. Nie potrzebuję dodawać, że moi ludzie byli co najmniej w tym samym stopniu zaniepokojeni co ja. Wprawdzie kiedy wydałem polecenie przygotowania broni, wykonali je, jednak z wyraźną niepewnością i niechęcią. Przez długi czas nie mogliśmy uzyskać połączenia z Komendą Główną, tymczasem tłum rozlewał się dookoła, wyginały się deski pod naporem ludzi. Wśród narastającego wrzasku nie bardzo mogliśmy się nawzajem usłyszeć. Wystrzeliłem parę razy w górę – trochę się uciszyło – i zacząłem krzyczeć, że chcę porozmawiać. Wtedy właśnie dostaliśmy połączenie i czekając na odpowiedź, jak mamy się zachować w tej sytuacji, podjąłem postanowienie, aby w miarę możliwości zyskać na czasie, i wyszedłem przed barak z młodym chłopakiem, któremu wyraźnie broń trzęsła się w rękę. Rzeczywiście, tłum otaczający nas wywoływał wrażenie niebezpieczeństwa. Podniosłem rękę – powoli robiło się cicho. Widziałem twarze zarośnięte i inne – wyglądało na to, że znalazł się tutaj cały tłum spod Parlamentu. To mogło być parę tysięcy osób. Zapytałem: „Czego chcecie?”, i usłyszałem okrzyki: „Wydajcie!” i „Oddajcie!” Krzyczeli długo, dobrą minutę – obliczałem z satysfakcją, oczekując wyjaśnienia sytuacji z KG. Kiedy już trochę przycichło, oświadczyłem, że w imieniu prawa wzywam ich do rozejścia się i że mam obowiązek odstawić GO do Komendy. Równocześnie zagroziłem konsekwencjami, jakie mogą wyniknąć z ich braku odpowiedzialności, nawoływałem do zdrowego rozsądku. Powiedziałem, żeby się przez chwilę wstrzymali, i wróciłem do baraku. Tłum za drzwiami czekał w milczeniu, a to było jeszcze bardziej męczące niż wrzask, do którego się przyzwyczailem. Tymczasem mogłem już wykonać polecenie, które otrzymałem, a które brzmiało: „Natychmiast GO wypuścić! Nie prowokować starcia!” Popatrzyłem na NIEGO, wyglądał spokojnie. Nie wiedziałem, co ci ludzie chcą z NIM zrobić, kazałem na wszelki wypadek nadać wiadomość, że nie mogę przyjąć odpowiedzialności za JEGO bezpieczeństwo. Tymczasem tłum zaczął się już niepokoić, po ścianach baraku dudniły kamienie. Zrozumiałem, że tak czy inaczej trzeba GO im oddać, i wtedy otrzymałem osobisty rozkaz Szefa, aby za wszelką cenę GO ratować i obronić, oraz wiadomość, że posiłki są już w drodze. Ściany baraku zaczęły pękać, miażdżone uderzeniami

grubych kijów. Wysunąłem przez dziurę w ścianie białą chustkę, wyszedłem ciągnąc za sobą tego drugiego, powiedziałem, że to morderca, że zabił jednego z nich i mogę go im wydać. Oświadczyli, że chcą JEGO. Dostałem kamieniem w głowę, krew zalała mi twarz, wystrzeliłem w powietrze, a wtedy oni zaczęli już zapalać kawałki desek. Zrozumiałem, że spalą nas w tym baraku jak szczury, podniosłem obie ręce i krzyknąłem, że zgadzam się, żeby zaczekali. Cofnąłem się do baraku i powiedziałem do NIEGO, że boję się, że nic się nie da zrobić i musi do nich iść. Dodałem, że nie mogę MU pomóc, ale oni chyba nic MU nie zrobią. Mówiłem to bez przekonania i czułem się niedobrze, najbardziej od czasu kiedy pełniłem służbę w policji. Ktoś rzucił zapaloną pochodnię przez wybity w ścianie otwór, w baraku pojawił się ogień, który sierżant zdeptał. Krew spływała mi na oczy i przestałem w ogóle widzieć. Nasłuchiwałem, czy nie słychać sygnałów naszych samochodów. Sierżant podprowadził mnie do kranu, puściłem strumień wody zmywając sobie krew z twarzy i rąk. Odwróciłem się, zobaczyłem, że ON ma twarz sprawiającą wrażenie zadowolonej, pomyślałem, że świat urządzony jest obrzydliwie, machnąłem ręką, żeby GO wypuścić, i powiedziałem do NIEGO, że chyba nie ma do mnie żalu. ON wyszedł przed barak, ciągle wyglądał na człowieka, który spodziewa się najlepszego. Za NIM podniósł się ten drugi, którego w międzyczasie poleciłem rozkuć, aby mógł chociaż posiadać swobodę ruchów w sytuacji, w której ja mu bezpieczeństwa nie byłem w stanie zagwarantować, i on wyszedł za NIM. Otrzymaliśmy wtedy kolejny komunikat szefa policji, żeby GO w żadnym wypadku nie wypuszczać, jeżeli tłum ma wrogie zamiary, ale sytuacja była taka, że mogliśmy dostać jeszcze z dziesięć innych rozkazów, z których niestety ani jeden nie mógł zostać wykonany. Podszedłem do drzwi baraku, starając się zapanować nad bólem głowy, uszkodzonej uderzeniem kamienia. Zanim straciłem przytomność, zobaczyłem, jak oni obaj zostali wciągnięci do środka tłumy. Upadłem na ziemię, właśnie wtedy rozpoczęła się ta dwudniowa ulewa, w której rozgrywało się zakończenie znane mi wyłącznie z meldunków. Myślę, że deszcz w poważnym stopniu przyczynił się do takiego przebiegu wypadków. W każdym razie tłum, nie kierowany, jak to zawsze bywa, kiedy nie ma wyraźnego przywódcy, zdradzał się z różnymi niejednomyślnymi poglądami na to, co robić dalej. Składała się na to także obecność sprzecznych stronnictw, z których część, podjudzana przez tę prostytutkę, uznała GO za zdrajcę i agenta policji, bo za jej przyczyną tłum ścigał GO początkowo z zamiarem wykonania zemsty.

W natłoku wydarzeń i wobec coraz silniejszego deszczu tłum rozchodził się, przy czym, według relacji jednego z przesłuchiwanych potem, ta prostytutka ocaliła GO od śmierci, wykrzykując w pewnej chwili, że nie jest agentem policji i że ona kłamała. To ostatecznie przyczyniło się do wypuszczenia GO i uratowało przed śmiercią, kto wie, czy nie na krzyżu, bo krzyży tam było dużo. Faktem jest, że mogło przyczynić się to do śmierci tej prostytutki, którą znaleziono martwą, a także śmierci tego mordercy, który poszedł za NIM. Ich zabicie było wynikiem zemsty fanatyków. Zresztą kilku z nich zatrzymano i, jak słyszałem, jeden przyznał się do zbrodni mówiąc, że mścił się za JEGO zdradę. Kończąc swój raport zamierzam raz jeszcze prosić o usprawiedliwienie moich poczynań. Muszę dodać, że przed zmianą rządu, która obecnie nastąpiła, w związku ze źle zorganizowanym przekazem informacji nie miałem jasnego rozeznania w sytuacji. Nie rozumiałem wielu decyzji, jak również nie otrzymywałem ścisłych instrukcji. Rozkazy byłego szefa policji, a obecnego szefa rządu, docierały do mnie zniekształcone i w nieprecyzyjnej formie, czego starałem się w moim raporcie dać dowody, jak również wyjaśnić, dlaczego musiałem wydać GO tłumowi, czego zresztą jedynym wynikiem był fakt, że o NIM zaginął wszelki śluch, jak również usprawiedliwiałem swoją służbową gorliwością poszukiwania, czynione mimo braku rozkazu w tej sprawie. Składając w tym miejscu wyrazy pełnego uznania dla zdecydowanego przywrócenia spokoju, którego dokonał były szef policji, a obecny szef rządu, zwracam się z prośbą o umożliwienie mi pozostania nadal w mojej pracy, powołując się na dziewiętnaście lat nienagannej opinii.

Na temat tej sprawy, w której śledztwo prowadzili przedstawiciele nowej władzy, są jeszcze inne wersje. W każdym razie wydaje się nie ulegać wątpliwości, że nowemu rządowi udało się w pełni zlikwidować napiętą sytuację, opanować liberalizujące i lewicujące elementy i odzyskać zaufanie kapitału z Południowej Strefy. Cała historia wyszła więc w sumie państwu na dobre. Opanowanie chaosu i rządy mocnej ręki wyprowadziły kraj na drogę prosperity. Procesy i surowe wyroki na oskarżonych o sianie zamętu, a także egzekucje skazanych za morderstwa rzuciły cień strachu na wichrzycieli, usuwając jednocześnie z życia lojalnych obywateli element niepewności i chaosu. Zreorganizowano także policję. Przeciw oficerowi, którego raport został tu przytoczony, wszczęto śledztwo w związku z samowolnym podejmowaniem decyzji. Zeznania jego zresztą roją się od nielogiczności. Nie wiadomo czemu szukał tego człowieka, skoro był ON zwolniony za kaucją, a meldunek wydawcy o JEGO zaginięciu jeszcze nie nadszedł. Zresztą wątpliwości budzi jeszcze wiele innych spraw. Pojawiły się zupełnie odmienne relacje z przebiegu i zakończenia tamtej sprawy. Według jednej z nich tego człowieka wydano tłumowi, który uprzednio podburzony przez prostytutkę (oświadczyła, że jest ON agentem policji i prowokatorem), zawłókł GO na pobliskie usypisko śmieci. Skatowano GO i wraz z tym drugim, obu martwych, przybito do krzyży. Otóż wtedy właśnie prostytutka zaczęła wyć, że skłamała, a ON był niewinny. Rozhisteryzowany tłum rzucił się na nią, lecz wtedy zaczęła nagle rodzić, otoczona ludźmi, którzy teraz zamilkli i w ciszy, tak silnej jak poprzedni krzyk, czekali. A kiedy to się stało, ocknęli się z odrętwienia, tłum znów rzucił się na nią i obok tamtych krzyży pojawił się trzeci. Potężniejsza ulewa rozproszyła tłum, ludzie ślizgając się i tratując na tych śmieciach ruszyli na dół. Ktoś miał wziąć na ręce niemowlę. Niektórzy mówią, że zrobił to właśnie szef policji, który wtedy dotarł na miejsce. Wiatr przechodził w huragan, deszcz padał tak ostry, że uderzenia kropel raniły twarz. W godzinę później to usypisko śmieci przestało istnieć, a ciał tych trojga nie odnaleziono.

Według innej wersji, kiedy kobieta zaczęła krzyczeć, że ON nie jest agentem, że to wszystko wymyśliła, tłum porzucił GO, a ON, patrząc na nią z nienawiścią, miał powiedzieć, że GO zdradziła, że właśnie teraz GO zdradziła. I w potężniejszej ulewie biegł za rozchodzącym się tłumem, próbował dogonić tych ludzi, doprowadzić do własnej egzekucji. Wtedy rozległy się dwa strzały: pierwszy rzucił tę prostytutkę na ziemię – to strzelał tamten morderca, który w chwilę później strzelił sobie w usta. Wtedy ON padł na ziemię i zaczął płakać, a to podmywane deszczem usypisko ruszało się pod nim, jak robaczywe, aż wreszcie wchłonęło GO zupełnie. Mówiono także o cudzie, że w miejscu, gdzie ON zniknął, pojawiła się kobieta w ciąży, że ON schronił się do jej brzucha, uważając, że czas JEGO przybycia jeszcze nie nadszedł.

Inni twierdzą, że zapytano GO, czego właściwie chce od nich, co mają robić dalej. A kiedy zaczął mówić znów niejasno i bełkotliwie, opuścili GO, popędzani deszczem, i został sam z tą kobietą . prostytutką, jedyną, która wierzyła w NIEGO do końca – ale ta wiara była dla NIEGO bezużyteczna. Odeszli razem i podobno mieszkają gdzieś w Mieście. Ona urodziła dziecko, ON zajął się nim, po czym wróciła znów na ulicę i z tego żyją. Natomiast nie zastrzelono nikogo, a tylko uduszono jakąś kobietę, biegnący tłum stratował ją, lecz był to zwykły przypadek.

Nawiasem mówiąc, w wyznaniu prostytutki, że ON jest agentem, w czym na ogół widzi się tylko próbę oskarżenia GO przez zemstę czy z nienawiści, a kto wie, czy nie sprowokowaną właśnie przez NIEGO, są pewne elementy godne uwagi. Myślę tu o sprawie, o której wspomina się zresztą w raporcie, to jest o śmierci porucznika W.K.M., który relacjonował

przyjęcie u wydawcy i zginął następnie w okolicznościach nie wyjaśnionych do końca. Poświęcił mu piękne przemówienie szef policji, zastanawiając się nad tą tragiczną, niepotrzebną śmiercią.

Otóż, podobno on wreszcie rozpoznał tego człowieka. Przypomnił sobie, że uczestniczył w śledztwie, mniej więcej pół roku temu, kiedy to udało się rozbić grupę anarchistów, która od dłuższego czasu dokonywała zamachów terrorystycznych na członków rządu. W końcu schwytano jednego z nich, młodego chłopaka, któremu organizacja poleciła wykonanie wyroku, a on, może ze strachu, może z niezręczności, zachowywał się tak ostentacyjnie, że zwrócił uwagę policji. Śledztwem zainteresował się obecny szef rządu, pełniący wtedy funkcję szefa policji. Ten zatrzymany młody chłopak był oczywiście długo przesłuchiwany i podobno niestety w niezbyt zgodny z prawem sposób. Trud jednak opłacić się, bo w końcu zaczął mówić. Dzięki jego informacjom otoczono dom w trakcie zebrania całej grupy. Kiedy policja wezwwała ich do wyjścia, zaczęli strzelać, ale po pewnym czasie strzały ucichły. Policja dostała się do środka i stwierdziła, że oni popełnili zbiorowe samobójstwo. Była wśród nich młoda, ładna dziewczyna, podobno to była dziewczyna tego chłopaka. Ona też nie żyła. Tamtego chłopca wkrótce potem zwolniono i podobno porucznik W.K.M. poznał, że to był ON. Może ON odczuwał potrzebę ekspiacji i chciał odkupić tamtą zdradę, zrobić to, czego bał się uczynić wtedy.

Podobno porucznik W.K.M. po przyjęciu u wydawcy przypomniał sobie tamtą sprawę. Złożył meldunek szefowi policji, który nie poznał w NIM dotąd tamtego chłopaka. Porucznik otrzymał jednak polecenie zgłoszenia się do Komendy Głównej z materiałami całej sprawy. Po drodze zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Wpadł pod pędzący z wielką szybkością samochód i poniósł śmierć na miejscu. Samochodu nie zdołano zatrzymać, a teczka z dokumentami gdzieś przepadła i właściwie nie można już było niczego udowodnić.

Przeciwnicy polityczni szefa, których także i w samej Komendzie Głównej do niedawna nie brakowało, kolportowali informacje, jakoby szef poznał GO od razu, ale nie zdradził się z tym. Polecił GO wypuścić, ponieważ człowiek, który niesie zamęt, był mu potrzebny do zrealizowania planów politycznych. Podważenia zaufania do ówczesnego rządu i umożliwienia dojścia do władzy nowego rządu silnej ręki. Na pierwszą wiadomość o pojawieniu się JEGO miał powiedzieć: „Niech będzie pochwalony, któryś GO przysłał.” Rzekomo celowo paraliżował akcję policji, co więcej, jego ludzie podsycali nienawiść tłumy, prowokując ludzi do niszczenia, zwłaszcza fabryk należących do przedstawicieli kapitału ze Strefy Południowej. Każdy dzień zamętu miał działać na jego korzyść i nie na rękę mu była JEGO przedwczesna demystyfikacja. Podejrzewano nawet, że ów nieszczęśliwy wypadek nastąpił z jego polecenia, a teczka z dokumentami została przechwycona i zniszczona.

Byli też tacy, którzy uważali tego człowieka, podobnie jak tego drugiego i prostytutkę, od początku za agentów szefa policji, a pomysł JEGO wjazdu do miasta za starannie przygotowaną inscenizację. To wszystko nie ma zresztą na razie większego znaczenia. Oficjalna wersja tych wydarzeń jest dopiero przez nasz wydział przygotowywana i po zaakceptowaniu przez obecnego szefa rządu zostanie podana do wiadomości publicznej.

Wydział
Dokumentacji Historycznej

MATERIAŁ

Panie Janusz, piszę po kolei, stuknij pan na maszynie i wyciągnij, żeby było dobrze. Jestem człowiekiem, któremu się wiedzie. Człowiekiem, krótko mówiąc, z najlepszymi nadziejami na przyszłość. Na razie urządziłem się skromnie. Obojętność magazyniera Gały sprawiła, że mogę mieszkać w magazynie i spać na łóżku z żelaza, a także korzystać z piecyka z prawem dokładania w nocy. Z magazynu mam piękny widok na miasto w ciągłym rozwoju. Jest tu przytulnie, a poza tym pełno rzeczy, do których ciągnęło mnie przez całe życie. Także zdrowie mi dopisuje, przy niewielkim wzroście i rzadkim odżywianiu jestem przedmiotem zazdrości znajomych. Nie wynoszę się z tego powodu nad innych, po prostu z tym przyszedłem na świat. Ostatnio zaświtało mi kupno garnituru, który pojawił się w telewizji dzięki rozbudowanemu przez nowe władze sklepowi z ubraniami. To z kolei pozwoliłoby mi udać się z wizytą do ojca Barbary, kolejarza Tylutkiego, i utorowało mi wejście do jego rodziny i ożenek z kobietą, co jest moim marzeniem od dawna, a co więcej, uwicie gniazdka na werandzie przylegającej do domu Tylutkiego, która po wprawieniu szyb nadawałaby się do tego.

Wszystko układało się dobrze, tylko magazynier Gała straszył, że świat ogólnie jest zły. – A moje życie? – zapytywałem. – Jest jedynym szczęśliwym odstępstwem – przyznawał niechętnie. Nie wierzyłem mu, był to człowiek wypchany wiedzą z książek, które czerpał z malkulatury oddanej mu na przemiał. Wyśmiewałem go z ukrycia, chociaż to ja niestety żyłem złudzeniami i poczuciem nie istniejącej harmonii, dającej mnie, jednostce, uprzywilejowane miejsce. I dlatego właśnie omal że nie rozsypało mi się życie.

Tego dnia zasnąłem późno i nie usłyszałem, jak ukradli tablicę z nazwą magazynu. Obudziła mnie dopiero orkiestra, która maszerowała czcząc na próbę wodowanie statku. Roboty nie było wiele. Z magazynierem Gałą udaliśmy się do sklepu dyskutując, czy rzeczywiście wszystkie informacje są prawdziwe. Gała zapewniał mnie, że istnieje możliwość przedstawienia każdej rzeczy, w tym transmisji telewizyjnej, tak jakby to było naprawdę. Na poparcie przytaczał przykłady z życia spółdzielczego. Słuchałem go niechętnie, wiedząc, że jest to człowiek krańcowo nieufny, chociaż doświadczony, skoro był kiedyś we władzach spółdzielczych, z których usunięto go jednak za niewłaściwą orientację popartą alkoholizmem.

Dziś miałem się udać do ojca Barbary. Jakże długo na to czekałem! Wciąż pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Kupiłem u niej w kiosku pięć znaczków zdobywając się na odwagę, a ona powinszowała mi tylu znajomych, więc, żeby wzmóc szacunek, dodałem, że mają być ekspresowe. Ona wybrała mi najładniejsze. Znaczki nakleiłem na ścianę i wpatrywałem się długo, jak wąsaty wojskowy, pełen odwagi i stanowczości, patrzył na mnie uważnie i jakby czegoś się uśmiechał. Basia po paru miesiącach odprowadzania jej do domu zaprosiła mnie do siebie, chociaż przez cały ten czas nie mogłem się zdobyć na to, aby ująć ją wpół czy choćby za rękę.

Z dwóch powodów: ma pochodzenie (syn Tylutkiego pływa na kutrze), moje ubranie znajduje się w bardzo złym stanie. W reakcji postanowiłem się odwdziżyć. Otoczyłem ją ramieniem, a ona przytuliła się, próbując złożyć głowę na moich ramionach. Umocniło mnie to w przekonaniu, że jestem wybrany przez los, zwłaszcza że miałem odłożone na garnitur. A i teraz, kiedy pieniądze zamknęły się w szufladzie sklepu, nie czułem wcale żalu. Gałła kręcił nosem psując mi przyjemność, ponieważ garnitur był luźny; zniechęcał mnie, jak umiał. Ale i tak dostrzegłem, że nie mógł ukryć wrażenia. Obsługiwał mnie zresztą sam kierownik i na ten czas w sklepie wstrzymano się ze sprzedażą. Nie wiadomo po co, a może z chciwości, pozostałem w nowym. Naciągnąłem tylko waciak, spod którego wystawały poły marynarki, i zaraz poszliśmy naprzeciw. Przy wejściu biło się na noże dwóch zaopatrzeniowców; z powodu nadmiernego upicia nie mogli się trafić, a poza tym zagłuszała ich orkiestra ćwicząca do obchodów i rozmowy gości.

Dostaliśmy stolik, podciągnęliśmy nogawki i zrobiliśmy zamówienie. Prawidłowości zaczęły się na mnie szykować. Gałła się rozruszał. Opowiedział o blondynie, która kiedyś stała na wystawie i wpadła mu w oko. Miała włosy i mały nos ze złota – jak żywa. Za to żona Gałły była porośnięta na twarzy i nogach, a w mieście mówiono, że ożenił się z nią dla kariery, ponieważ był wprawdzie przeciw Niemcom w lesie, zresztą bardzo postępowym, ale w czasie przeprawy przez bagno cały oddział utonął, tylko on jeden trafił na kamień, ale nie miał na to świadków. Toteż rozpił się i zaczął czytać. Stracił wpływy i patrząc w niebo mówił, że tam nikogo nie ma.

Współczuciu się jednak nie oddawałem, bo drzwi co chwila otwierano i wiało morzem. Ludzie wyrzucali zaopatrzeniowców na ulicę, oni wracali się napić, a ja siedząc uważnie, aby się nie oblać, miałem coraz więcej argumentów, że świat jest dobry. Nikt nie podkupił mi garnituru, a Baśka urodziła się bez szyi. Głowa wydobywała się jej prosto z ramion i nie miała w związku z tym wzięcia u nikogo poza mną. Po pewnym czasie udaliśmy się na wybrzeże, aby oglądać próbę przygotowań do uroczystości. Nad wodą wznosił się okręt wielkości pięciu domków Tylutkiego obstawiony dźwigami produkcji szwedzkiej. Na nadbrzeżu stali rzędami wykonawcy z transparentami wyrażającymi zadowolenie i patrzyli, jak holownik kruszy lód. Stałem obok, ciągle jeszcze szczęśliwy, aż zaczęło oblewać mnie gorąco. Oto stoję obok Gałły, który zaczął znowu swoje o manekinie, i widzę dokładnie, jak dzieciak tapla się w wodzie między krami. Smarkacz szedł skrótem przez lód, lecz nie wziął pod uwagę uroczystości ani pracy holownika. Tak myślałem, nie wiadomo czemu lecąc do niego. Gałła krzyczał coś za mną, lecz nie posiadałem czasu, aby go wysłuchać, co mnie samego dziwiło. Pod nogami bulgotało, wiatr od morza dał mi w oblicze. Dzieciak niedaleko przyczepiony do kry; silny, ale zawzięty, nie puszczał. Jego lód kołysał się odczepiony od reszty. Skoczyłem. Dzieciak podjechał z lodem do góry, ja natomiast przeciwnie. Do pasa pograżyłem się w wodzie, która mi naszła do butów. Uczepiony lodu naraz słyszę jakiś trzask i mam pewność, że to to. Garnitur pęka pod pachami, nad kolanem i w szwach. Baśka bez szyi stanęła mi przed oczami. Poczulem straszny żal, skoro w tym stanie nie mogłem iść do kolejarza Tylutkiego i jego syna, kutrowego rybaka. Wzięła mnie więc straszna złość. Szarpnąłem się i wylazłem na lód. Teraz dzieciak poszedł pod wodę, ale sterczała jego łapa grubości witki. Złapałem za nią i zacząłem się cofać rakiem. Po twarzy ciekły mi łzy, bo spodnie trą o zlodowacenie. Z odmetów wydobyłem niewielką topielicę i oddałem z nią pomyślny skok na trwałe płat lodu. Muszę przyznać, że potem Gałła, kiedy nie mogłem znieść myśli o tym, co zrobiłem, pomagał mi, uświadamiając, że postępek jest postępkiem, wszystko, co zrobiłem, było mechaniczne, a że skutki zwróciły się przeciw mnie, to dowód, że światem rządzi przypadek i brak sensu. Ale ja długo odczuwałem bunt, że na mnie właśnie się ten przypadek wypróbował.

Na brzegu pracownicy z pochodu wymachiwali rękami, a Gałła z poczuciem sukcesu, że wyszło na jego, patrzył tylko na garnitur i nawet nic nie mówił. Z podanej mi flaszki pociągnąłem łyka, poczęstowano mnie także puszką z sardynkami, które były zalutowane. Urato-

waną położono na transparencie, zaś Gałła dalej kiwał głową. Jednak uratowana roztopiła fragment hasła ukazując napis „magazyn” i w ten sposób rozpoznaliśmy zaginioną tablicę. Wybuchła awantura. Wreszcie upewniono nas, że ją po święcie oddadzą. Można było więc już pójść bez przeszkód. Ktoś wysunął myśl, żeby iść do Polkowskiego, który z powodu kalectwa nie miał ręki i nogi, był nazywany Wiatrakiem i ludzie ufali mu całkowicie. Do tego prowadził pralnię, którą ostatnio sprowadzono z zagranicy, miał opinię solidnego i w czasie wojny pracował w niemieckim pralnictwie. Zakład był zamknięty, ale Wiatrak był zaprzyjaźniony z Gałłą i wpuścił nas od tyłu. Gdy mnie zobaczył, pokiwał głową i obiecał, że wszystko będzie jak nowe. Doradzał, żebym zgłosił się jutro, ale wołałem nie spuszczać garnitur z oka. Gałła poparł mnie zaskakująco, oznajmiając, że uda się po flaszkę, a ja przeczekać u Wiatraka. Opuściłem garnitur, zawiąłem się w służbowy koc i zasiadłem na piecyku. Godziny mijały. Wiatrak włączył maszynę. Bulgotało i trzaskało. Wiatrak wyjaśnił, że to garnitur, chwając natomiast koc, w którym, jak twierdził, uciekł z niemieckiego obozu. Normalnie wkurwił się na kapo, zapakował rzeczy w koc i wyszedł. Gałła kręcił głową nieufnie, a mnie nieco zmorzyło. Kiedy się obudziłem, moi przyjaciele dyskutowali, z jakiego źródła pochodzą tłuste plamy na marynarce i czy można było ładniej przycerować przetarcia na kolanach. Wypiliśmy jeszcze trochę, zaś o siódmej rano przyłączył się do nas Mroczek z milicji z wiadomością, że mam się zgłosić na posterunek po odznaczenie. Miałem dwóch świadków i nie chciałem wyjść z pralni. Wiatrak poparł moje stanowisko, aby nigdzie nie wychodzić i przeczekać, natomiast Gałła na złość Wiatrakowi albo przeciw mnie popierał Mroczka, sugerując, że nic złego z tego nie powinno wynikać. Dadzą mi odznaczenie i wypuszczą. Ostatecznie włożyłem garnitur, który wyglądał tak, że nawet nieżyczliwy Gałła odwracał ode mnie oczy. Wiatrak podsunął chytry plan, który polegać miał na zamianie medalu na odszkodowanie. Gałła całą drogę gadał niby to z sympatii dla mnie, że martwić się jest najłatwiej i że lepiej, by mnie żałowano, zamiast by mnie osądzono za błędy, aczkolwiek mógłbym się poprawić i być w służbie wszystkim. Odpowiedziałem, że do tego nie tylko dziewczynka musiałaby się znaleźć pod lodem. Na szczęście słowa te zagłuszyła orkiestra, powtarzając próbę uczczenia uroczystości. Wszedłem do środka, a Gałła i Wiatrak czekali na dworze, gdyby coś mi się jednak miało przytrafić.

Za stołem siedzieli przedstawiciele sprawiedliwości: dwaj w mundurach i jeden w garniturze podobnym do mojego sprzed wypadku. Przygnębiło mnie to do końca. – Gratulujemy wam odwagi – pocieszał mnie najstarszy stopniem. Lecz mnie było wszystko jedno. Bez garnituru nie mogłem iść do Barbary. Tymczasem mężczyzna w cywilu opowiadał szeroko, że u wybrzeży amerykańskich rozbił się tankowiec. Wytruł ryby, zniszczył życie na dnie morza i oto jest tragedia na skalę ludzkości. Z tą chwilą stało się dla mnie jasne, że chcą mi wsadzić medal i sprawę zakończyć. Poczułem jednak ufność i powiedziałem, że może dla nich ryby oraz dno morza są ważne, ale to nie moja sprawa i chciałbym prosić o 1870 złotych. Najstarszy stopniem odpowiedział, że tego zrobić nie mogą, byłaby to anarchia, Teksas i szeroko rozreklamowany liberalizm, a poza tym na pewno byłem pijany. W każdym razie mogłem przynajmniej zrzucić marynarkę, jak leciałem do wody, i zdobyć się na więcej wyrobienia.

Z rozpaczą udałem się pod magazyn. Gałła zrobił nowy zakup. Nagle poczułem uderzenie krwi do głowy: pod magazynem siedziały sobie uratowana z matką. Poprosiłem, żeby trzymano je na odległość, bo za nic nie ponoszę odpowiedzialności. Matka przyniosła wyciętego z papieru koguta i wyraźnie zamierzała wprosić się na picie. Gałła odprawił ją, bo to nie miało być picie dla przyjemności, ale w celu uzyskania jasności umysłu. Po godzinie powzięliśmy decyzję udania się do domu Tylutkiego w moim obecnym stanie.

Podeszliśmy od strony wymarzonej przeze mnie werandy. Ustawiłem się pod oknami. Wiatrak i Gałła machali zza rogu. Poczułem się tak słabo, że uderzałem kolaniem o kolano, ale wszedłem.

Rodzina Tylutkich siedziała dookoła stołu. Popatrzyła na garnitur, tłuste plamy, cery Wiatra i odwróciła wzrok. Tylko Barbara chciała uśmiechnąć się do mnie, ale posmutniała. Tylutki nie powiedział w ogóle nic. Siedzieli i pili jak gdyby nic – mleko. A synowa raz po raz dopełniała z wiadra. Obaj mężczyźni popijali małymi łykami i zagryzali herbatnikami. Czas upływał, aż Barbara podsunęła mi krzesło ze współczucia. Popijali dalej, a synowa stała z wiadrem nade mną patrząc coraz to na jednego, coraz to na drugiego, czy lać mi do szklanki, czy nie lać. Potem im dołała, a mnie nie. Syn Tylutkiego zaczął mówić ogólnie o ludziach, którzy nic nie potrafią, a pchają się na oczy, którzy swego nie robią, a udają, że robią cudze, i którzy jeszcze żerują na byle czym, na krótką metę, nie patrząc w jutro, w przyszłość rodziny, a zwłaszcza dzieci. – Gdyby tata był nie taki, to czy ja bym wchodził kutrem do Szwedów? – Tylutki pociągnął ze szklanki i patrząc na mnie, jakbym był powietrzem, powiedział, że mi Barbary nie odda. Tego nie przeczuwałem. Więc spytałem dlaczego. – Ponieważ ludzie przestali ciebie szanować – wyjaśnił syn Tylutkiego. – Już o tobie było w radiu. – Liczyłem, będzie miała Basica u ciebie ciche szczęście. Co jej teraz udostępnisz, buzerancie? – retorycznie pytał Tylutki. Tego Barbara nie wytrzymała. Łzy pokapały jej z oczu i poprosiła: – Jakże to, tato, tak bez poczęstunku? – I nie czekając napełniła mi szklankę. – Polej i nam – powiedział Tylutki i zaraz wtrącił zgrabnie: – Ludzie w kosmos latają, sztuczne serca montują, a ty w garniturze wchodzisz do wody. – Z sercami nie bardzo wierzę – oznajmił syn Tylutkiego. Stary kolejarz zamyślił się i orzekł, że jeśli ktoś jest naprawdę wybitnym lekarzem, to nie musi przy pomocy kłamstwa ściągać klienteli. I przytoczył przykład doktora Majewskiego, który, jeżeli do niego przyjdzie się na prywatną wizytę (za 150 złotych), to pozwala pić przy penicylinie. Zebrałem się na odwagę i przypomniałem, że Baśka jednak jest zdefektowana. – Może i jest, ale narzeczonego dla niej innego znajduję.

Kiedy opuściłem ten dom bez żadnej nadziei, powziąłem decyzję, z której zwierzyłem się czekającym za winklem kolegom, że jestem zdecydowany opuścić swoje środowisko. Gałła okazał mi wielką dobroć, doradzając, że albo mogę powyrywać włosy i posypać się popiołem, albo wziąć się do działania, na przykład uczestniczyć w uroczystości. Natomiast podług Wiatra uratować mnie mogła rozpusta. Dzięki niej osiągnę użyteczny spokój, skoro rozpaczanie w znieczulonym świecie mija się z celem. Nie chciałem zostać lubieżnikiem, lecz Wiatrak wytłumaczył mi, że Barbara nie kocha mnie, tylko moją pozycję w magazynie. Gałła nadal korcił mnie działaniem. Zaproponowałem, że może wystarczy się zapisać, by odzyskać samopoczucie i szczęście. Nie zgodzili się, przytaczając argument, że wypadłoby to drożej. Po czym udaliśmy się za Wiatrakiem na poszukiwanie ladacznicy.

Długo poszukiwaliśmy odpowiedniej dla mnie kobiety, ponieważ większość już spała, a rano szły do pracy, lub też reprezentowały różne stanowiska w sprawie wynagrodzenia. Na koniec szczęśliwy los postawił na naszej drodze wdowę. Pragnęła jedynie, by Gałła napisał jej podanie o rentę po mężu. Zatraciłem się z nią na łóżku, podczas gdy Gałła i Wiatrak dyskutowali przy stole tekst podania, zaś moja kochanka szeptała mi dane. Przeżycie było piękne, ale koledzy ponaglali mnie, ponieważ ciągnęło od okna. Kiedy wyszliśmy na dwór udając się w pobliże parku, znów coś mnie tknęło, bo wydało mi się, że ktoś się kołysze w wodzie. Wtedy zrozumiałem, że rozpusta mnie z tego nie wydobędzie, a jeżeli, to na krótko. Zrozumiałem także, że rozpusta zapowiada bytowanie bez perspektyw oraz że mam wymęczoną duszę, a co gorsza, ciało. Ponadto martwiło mnie, że nie mam w stosunku do pierwszej kochanki żadnych zobowiązań, jakie chciałem mieć wobec kobiety. Nadal tęskniłem do Barbary i obawiałem się, że mogę utracić charakter, a nie odzyskać spokoju. Więcej nawet, zwątpić w sens miłości między ludźmi. Gdy oznajmiłem to przyjacielom, Gałła powiedział:

– Działanie. – Wiatrak zaś: – Życie wewnętrzne. – Po czym wdali się w dyskusję światopoglądową.

Wtedy sam skierowałem się do portowego basenu. Słońce wschodziło, z daleka dochodziły dźwięki orkiestry, bo przecież to dziś miała być uroczystość. Udawało się tam coraz więcej

ludzi. Właśnie orkiestra prowadziła cały pochód. Następnie zebrani zatrzymali się równo. Nad wszystkimi sterczał nasz transparent. Przez włączone mikrofony głos zaczął mówić pięknie o pracy i wspólnych osiągnięciach. Naciskano mnie zewsząd, ale nie było to uczucie nieprzyjemne, raczej poczułem tajemnicze pieczenie. Zwłaszcza że dokoła wszyscy sprawiali wrażenie przejętych, a z przodu kołysała się czapa Tylutkiego. Wtedy właśnie, w tym ścisku, pod mikrofonem, wyobraziłem sobie, że ludzie sobie pomagają. Wyobraziłem sobie także cały naród przy pracy, że stoję ja, obok Tylutki, Wiatrak, Gała, Baśka bez szyi, wdowa i wytwarzamy ogromne osiągnięcie. Pomyślałem też, że byłoby pięknie, gdyby tak wyglądało życie na ziemi. Wtedy można by było odzyskać zaufanie do siebie, o nic się nie troszczyć. Z radością poczułem się silniejszy. Bo jeden za wszystkich, wszyscy za niego.

Co trzeba, niech pan wygładzi uzupełniając mój głęboki namysł i różne powody. W szeregu organizacji chcę działać uczciwie do celu. Niech pan mocno podkreśli, to mnie przyjmą. Muszę mieć prostą drogę do życia.

SPIS TREŚCI

Wirówka nonsensu	2
Wizyta	20
Volvo dla mause-killera	24
Kongo dla Kubusia Puchatka	32
Polowanie na muchy	38
Nowy taniec la-ba-da	50
Ból gardła na dwóch	64
Kuszenie Czesława Pałka	85
Raport Piłata	102
Materiał	119